

M.L. LONGWORTH

# ZBRODNIA



W

# BOŻE

# NARODZENIE

Głos Longworth jest jak wykwintny rocznik  
musującej Dorothy Sayers i dojrzałej Donny Leon.

— *Booklist*

M. L. Longwort

# Zbrodnia w Boże Narodzenie

Verlaque i Bonnet  
na tropie  
Tom 8

Przekład:  
Małgorzata Trzebiatowska  
Agnieszka Nowak-Młynikowska

smak  słowa

Sopot 2022

**Tytuł oryginału:** Noël Killing

Copyright © Mary Lou Longworth, 2019.

Published by arrangement with Macadamia Literary Agency and Curtis Brown, Ltd.

All rights reserved. The moral rights of the author have been asserted.

Copyright © 2022 for the Polish edition by Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Trzebiatowska and Agnieszka Nowak-Młynikowska

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

**Edytor:** Anna Świtajska

**Redakcja i korekta:** Anna Mackiewicz

**Skład:** Maciej Goldfarth

**Projekt okładki:** Agnieszka Karmolińska

**Druk:** Drukarnia Abedik

**Konwersja do EPUB/MOBI:**

<http://www.epubio.pl>

<https://www.facebook.com/epubio>

[kontakt@epubio.pl](mailto:kontakt@epubio.pl)

**ISBN:** 978-83-66420-92-2

**Smak Słowa**

ul. Bohaterów Monte Cassino 6A

81-805 Sopot

tel. 507-030-045

Zapraszamy do księgarni internetowej wydawnictwa



[www.smakslowa.pl](http://www.smakslowa.pl)



# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Książki z cyklu](#)

[Dedykacja](#)

[1.](#)

[2. Sześć miesięcy później](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[22.](#)

[23.](#)

[24.](#)

[25.](#)

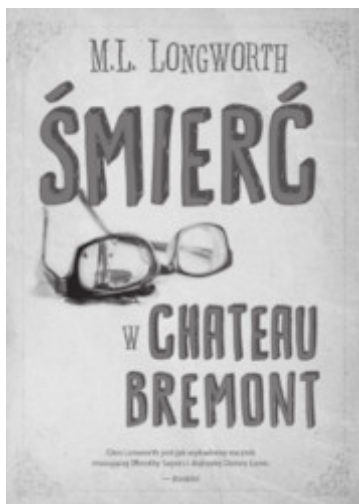
[26.](#)

27.

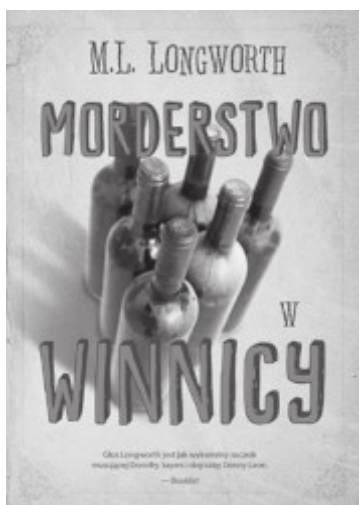
28.

29.

## W SERII UKAZAŁY SIĘ:



Śmierć w Château Bremont



## Morderstwo w winnicy



## Morderstwo przy rue Dumas



## Morderstwo na Île Sordou

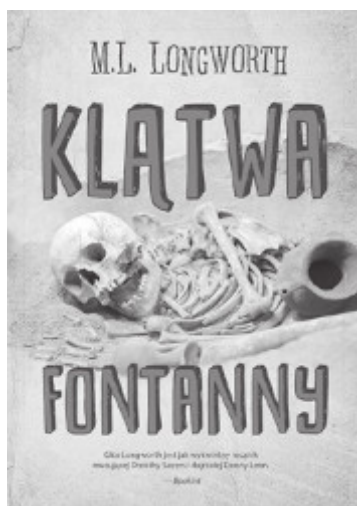




Tajemnica odnalezionego płótna Cézanne'a



Tajemnice Bastide Blanche



Klątwa fontanny



*Dla Kena i Evy*

# 1.

Tego ranka Debra Hainsby bardzo starannie dobierała swoją garderobę. Zdecydowała się na jedną ze swoich najlepszych kreacji: dopasowany wełniany żakiet w stylu Chanel. Kupiła go w sklepie Rose Dress for Less razem z jasnozieloną dzianinową spódnicą, dopasowaną kolorem do jednego z pasków w splocie żakietu. Właśnie zaczynała się wiosna, wiała chłodna bryza, więc Debra miała nadzieję, że nie zrobi się zbyt ciepło. Z satysfakcją popatrzyła na swoje odbicie w lustrze, zadowolona, że zachowała szczupłą sylwetkę, mimo iż ponad dziesięć lat temu urodziła dwójkę dzieci.

Cieszyła się, że tego dnia nie musi jak zwykle pracować w dwujęzycznej szkole, w otoczeniu wiecznie niezadowolonych nauczycieli i hałaśliwych dzieci, ale spędzi ten czas ze swoim szefem, Alainem Sorbą. Wybiorą się do działów personalnych dwóch największych pracodawców w regionie. „To nasze cyrkowe występy - musimy się zareklamować” - żartował Sorba. Debra założyła kolczyki z pereł, ślubny prezent od matki, i zdała sobie sprawę, że Sorba tak naprawdę nie żartował, kiedy mówił o cyrku. Jego prywatna dwujęzyczna szkoła, do której uczęszczały dzieci od szóstego do siedemnastego roku życia, funkcjonowała dzięki pomocy finansowej miejscowych firm. Zatrudniały one przybywających do Francji ekspatów i oferowały im wysokie pensje na zagranicznym poziomie. Kto byłby na tyle szalony, by wrzucać swoje pociechy do staromodnego, rygorystycznego francuskiego systemu szkolnego, kiedy w mieście znajdowała się dwujęzyczna szkoła z kortem tenisowym i basenem?

Godzinę później siedziała na miejscu pasażera obok Sorby i podziwiała widok z wysokiego, niemieckiego SUV-a, który jej siostra nazwałaby pożeraczem paliwa. Ale Cheryl mieszkała w Kalifornii i żywiła się tylko organicznym jedzeniem. Taka dieta to luksus, na który Debra, jej mąż Cole i ich dzieci nie mogliby sobie pozwolić. Pomyślała o Cole'u i ich kłopotach finansowych, które trapiły ich nieomal od chwili, kiedy dostała kolczyki z pereł. Ta myśl sprawiła, że jej żołądek się zacisnął, odwróciła się więc w stronę szefa, by skoncentrować się na tym, co mówił.

- Większość rodzin ekspatów ma tylko jedno dziecko, więc oferujemy zniżkę na każde następne - powiedział Sorba, gestykulując nad kierownicą.

Debra, od niedawna zatrudniona jako asystentka dyrektora, czasem słyszała, że nauczyciele coś szepczą na jego temat, naśladując sposób, w jaki mówił, i wymachując przy tym rękoma. Uznała, że po prostu zazdrościli mu tego, iż będąc synem marsylskiego rybaka, dorobił się własnej szkoły. Oni wszyscy mogli być w niej tylko pracownikami, otrzymującymi stawkę godzinową.

- Firmy nie lubią płacić chesnego, więc każda, nawet drobna zniżka pomaga - mówił dalej Sorba. - W każdym razie już są nasi! - powiedział ze śmiechem. - *Pas de chance, les cons!* - Uderzył dłonią w kierownicę. - *Les cons!*

Debra uśmiechnęła się uprzejmie, wiedząc, że *con* to przekleństwo, ale nie była do końca pewna, co oznaczało. Coś podobnego do głupka, pomyślała.

Starła się wyglądać profesjonalnie i otworzyła leżący na kolanach segregator.

- Pierwsze spotkanie mamy w HeliIndustries - powiedziała staranną francuszczyzną. Mimo że Alain Sorba prowadził dwujęzyczną szkołę, nie była pewna, czy dobrze mówił po

angielsku. Może nie miał tej umiejętności i stąd jej uczestnictwo w dzisiejszych spotkaniach.

- Największy na świecie producent helikopterów - powiedział Sorba z uśmiechem, który nie schodził z jego twarzy. - I szczęśliwie dla nas ich siedziba znajduje się tu, w Marsylii, niedaleko brzegu, gdzie mój ojciec miał swoją łódkę i *cabanon*!

Tak, pomyślała Debra, to było dogodne, że Marsylię dzieliło od Aix tylko dwadzieścia pięć minut jazdy samochodem i że chociaż miało tam siedzibę kilka ważnych firm, to większość obcokrajowców wolała mieszkać w sennym, spokojnym Aix. Podobnie jak ona.

- Och, twój ojciec miał *cabanon*? - zapytała, starając się podtrzymać lekki ton rozmowy. - I widok na morze! Marzenie.

- Na pewno - odparł ze śmiechem. - Szopę postawił w weekend, a teraz ja sprzedałem ją producentowi telewizyjnemu z Paryża za pięćset tysięcy euro!

Debra wzdrygnęła się, próbując wyobrazić sobie taką sumę i to, jak bardzo mogłaby ona pomóc Cole'owi w rozkręceniu biznesu. Poczowała złość na Cole'a - dlaczego nie wiedział, jak zarabiać pieniądze, skoro nawet syn starego rybaka potrafił oskubać grzecznego paryżanina?

- Dodałam nowe kolorowe zdjęcia ze szkolnych ogrodów - powiedziała, wskazując na segregator. - I sądzę, że z pełnym przekonaniem możemy zapewnić ludzi w HeliIndustries, że nasze nowe laboratorium naukowe zostanie otwarte przed końcem roku szkolnego. Wczoraj rozmawiałam z architektem.

- Świetnie! - ucieszył się Sorba. - Dobra robota, Deb. Co ja bym bez ciebie zrobił?

Debra poczuła przyływ dumy i starała się powstrzymać uśmiech.

- Co więcej, nasze laboratorium będzie doskonałą przynętą dla rodziców, którzy pracują w Iterze - mówiła dalej. -

Przygotowuję teraz prezentację w tej firmie.

- O tak, Iter! Stacja badawcza nowej elektrowni jądrowej - skomentował Sorba, na chwilę puszczając kierownicę i zacierając ręce. - Kocham energię jądrową. *Les cons!*

- A pracownicy otrzymują międzynarodowy status dyplomatyczny, więc nie płacą podatku dochodowego - uzupełniła, pochylając się w stronę swojego szefa tak, jakby przekazywała mu tajną informację. Tak naprawdę dowiedziała się tego, podsłuchując dwoje nauczycieli matematyki, którzy narzekali, że tak niewiele zarabiają, bo muszą płacić taki podatek.

Sorba się zainteresował:

- Nie obowiązuje ich podatek dochodowy? Tym więcej pieniędzy mogą wydawać tutaj w Prowansji!

- Ale Iter będzie się mieścił na północ od Manosque - zauważyła Debra. - To godzina jazdy od Aix, za to w pięknej części Luberonu.

Sorba potarł brodę.

- Szczury. Jednak biorąc pod uwagę ceny na rynku nieruchomości, można uznać, że wiele z tych rodzin zechce zamieszkać w Aix.

Debra przygryzła wargi, czuła się winna, że wspomniała o tym, jak daleko będzie się znajdowała elektrownia jądrowa.

- Czy to nie będzie dla nich zbyt kosztowne? - zaniepokoiła się, jednocześnie wyobrażając sobie życie kobiety, która nie musi pracować, a zamiast tego chodzi na zajęcia jogi i na lunche z koleżankami.

Sorba klepnął dłonią w skroń.

- Podniesiemy im chesne - wyjaśnił. - To dlatego nigdy nie publikujemy kwoty chesnego na naszej stronie internetowej. Skoro nie płacą podatków, to mogą sobie pozwolić na opłatę za naukę dzieci. To wszystko wychodzi w praniu, Debro, i nawet



na tym wszystkim zarobimy. W tym tygodniu spotkam się z mer Aix i nie omieszkam porozmawiać z nią o Iterze.

Debra wyglądała przez okno, myśląc o gabinecie pani mer. Wyobrażała sobie, całkiem słusznie, że tamtejszy sufit pokryty jest freskami. Uznała, że Alain Sorba, w skrojonym na miarę, ciemnym garniturze, z przystojną twarzą i donośnym głosem, będzie wspaniałym dodatkiem do luksusowego wnętrza.

Trzy godziny później Alain Sorba manewrował swoim ogromnym pojazdem, jadąc w dół wąskich uliczek najstarszej części Marsylii.

- Nie mogę uwierzyć, że nigdy nie byłeś w Panier! - zawołał, podekscytowany bardzo owocnym spotkaniem z międzynarodowym zespołem kierującym produkcją helikopterów.

W ciągu następnych kilku miesięcy HeliIndustries spodziewało się przybycia kolejnych inżynierów z Monachium i Teksasu. Oczywiście razem z rodzinami. Debra także poczuła przypływ entuzjazmu, wiedziała, że jej prezentacja dla HeliIndustries była pierwszorzędna i że zrobiła na nich wrażenie.

- Zawsze w Marsylii czuję się trochę niepewnie - wyznała, patrząc na pastelowe, kamienne ściany oddalone zaledwie o kilka centymetrów od jej okna.

- Mówisz jak prawdziwa ekspatka! Zamierzam zabrać cię na lunch do restauracji, o której wiedzą tylko miejscowi. Nie przyjmują rezerwacji, tak naprawdę nie mają nawet telefonu.

Jakimś cudem udało mu się wcisnąć samochodem pomiędzy dwa metalowe słupki sterczące przed opuszczonym kilkusetletnim budynkiem.

- Nigdy nie płacę za parking - oznajmił, kiedy wysiedli, po czym zamknął drzwi. - To wyrzucanie pieniędzy.

Debra spojrzała na budynek i zauważyła, że nie jest on taki zaniedbany, jak jej się wydawało. Na parapetach stały skrzynki

z kwiatami, a bładoniebieskie okiennice pięknie się prezentowały na tle ścian w kolorze ochry.

- Właściciel tej restauracji ma na imię Étienne - powiedział Sorba, kiedy wchodzili na niewielkie wzgórze. - Był kolegą mojego staruszka, łowili razem ryby. Mam nadzieję, że lubisz pizzę i kalmary.

- Uwielbiam i jedno, i drugie.

- To dobrze, bo to jedyne pozycje w menu.

Debra prawie się zatrzymała.

- Poważnie?

- Tak - potwierdził. - I przed drzwiami będzie kolejka.

- A czy podają kalmary po marsylsku, tylko z czosnkiem i pietruszką?

Sorba spojrział na nią uważnie.

- Więc jednak wiesz to i owo o lokalnej kuchni! Jestem pod wrażeniem!

Słyszac tę pochwałę, Debra znów poczuła przypływ dumy.

Tak jak przewidział Sorba, kiedy doszli do Chez Étienne, przed drzwiami stało pięć czy sześć osób. Debrze wydawało się, że słyszy język angielski, nie byli tu więc jedynymi obcokrajowcami. Sorba objął ją w tali i delikatnie popchnął w kierunku wejścia.

- *Étienne! Mon Ami!* - zawołał.

- *Putain!* - odkrzyknął starszy mężczyzna w białej czapce rybackiej, podchodząc do Sorby i składając *bises* na jego policzkach. - A kim jest to cudowne stworzenie? - zapytał, także Debrę całując w oba policzki.

Debra zaczerwieniła się, poczuła się tak, jakby już była stałą bywalczynią. Sorba przedstawił ją jako swoją sekretarkę, a Étienne poprowadził ich do baru.

- Za kilka minut będziemy mieli dla was stolik - powiedział.

- A tymczasem napijcie się ze mną anyżówki. Na koszt firmy.

Debra była tak wszystkim zachwycona, że nawet lukrecjowy smak aperitifów jej odpowiadał, choć miałaby większą ochotę na kieliszek różowego wina.

- Smakuje ci ta anyżówka? - zapytał Sorba, jakby czytając w jej myślach.

- Jest cudowna! - odpowiedziała szybko.

Sorba uśmiechnął się i pochylił w jej stronę, muskając ramieniem jej ramię. Zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nie jest bardzo wysoki, ale nosi się w taki sposób, że jego sylwetka sprawia wrażenie imponującej. Nie mieli wyboru i musieli stać blisko siebie, gdyż nad malutkim barem pochylała się jeszcze jedna para. Udręczone kelnerki biegały w tę i z powrotem, niezadowolone, że Étienne wciąż odsyła ludzi na tyły restauracji, by tam czekali.

- Trzeci stolik po lewej, przy oknie - szepnął do Debry Sorba. - Mer Marsylii i jego towarzystwo.

Debra z wrażenia szeroko otworzyła oczy, ale starała się nie wpatrywać nachalnie w ważnego gościa. Czym innym były kontakty Alaina z mer Aix, a czym innym jego znajomość z merem drugiego co do wielkości miasta we Francji. Jak na komendę mer spojrzał w górę i do nich zamachał. Sorba zawołał przez całą restaurację:

- Jeanie-Charles'u! Zostaw dla nas trochę kalmarów!

- Sorba, następnym razem przyjdźcie przed południem! - odkrzyknął mer, uderzając dłonią w swój zegarek.

Alain i Debra roześmiali się. Ponownie pojawił się Étienne i poinformował ich, że stolik jest gotowy.

- No cóż, rozumiem, że nie ma tu żadnego menu - powiedziała Debra, gdy usiedli.

- Nie, najpierw podają pizzę, potem kalmary.

Sorba poprosił o dzbanek różowego wina i butelkę gazowanej wody mineralnej. Kiedy zamawiał i wymieniał

pozdrowienia z dwoma mężczyznami przy sąsiednim stoliku, Debra pośpiesznie sprawdziła wiadomości na swoim telefonie komórkowym, który od czasu do czasu wibrował w jej torebce. To mogły być jakieś problemy w pracy, a ona akurat była tutaj, z właścicielem szkoły. Oczywiście pojawił się mail od kierownika działu personalnego Iteru z pytaniem, czy ich mała szkoła średnia umożliwiła zdobycie międzynarodowej matury.

Sorba odwrócił się do Debry i nalał jej kieliszek wina.

- Wszystkich tutaj znasz? - zapytała ze śmiechem.

- Prawie - odparł, mrugając okiem. - Albo chodziliśmy razem do szkoły, albo graliśmy w piłkę, albo nasi rodzice się przyjaźnili.

Debra wskazała na swój telefon i przekazała Sorbie pytanie z Iteru.

- *Merde* - zaklął, pociągając łyk wina. - Kto zarządza tą firmą? Brytyjczycy?

- Tak - potwierdziła, chociaż wcale nie była tego pewna. - Sądzę, że musimy to organizować przez Uniwersytet w Cambridge.

- Dobrze - odparł, nalewając im obojgu więcej różowego wina. - Zajmij się tym, zrób wszystko, co trzeba. Kupię ten cholerny program, jeśli będę musiał. A potem po prostu...

- Podniesiemy im chesne? - zgadywała Debra.

- Szybko się uczysz! - Sorba roześmiał się, stukając kieliszkiem w jej kieliszek.

Kelnerka podała pizzę i Alain nałożył im obojgu po kawałku. Debra dopiero teraz uświadomiła sobie, jak strasznie jest głodna. Pizza smakowała doskonale, chociaż ciasto było dużo cieńsze niż w amerykańskiej. Sorba musiał dostrzec jej szeroki uśmiech, bo powiedział:

- Jeśli uważasz, że pizza Étienne'a jest dobra, to poczekaj, aż spróbujesz kalmarów.

Debra miała ochotę się uszczypnąć. Gdyby tylko Cheryl mogła ją teraz zobaczyć, gdy tak świetnie odnajduje się w tej typowo marsylskiej scenerii, a o kilka stolików dalej siedzi mer. Zachwycało ją jedzenie, wytrawne wino oraz najwyraźniej szczęśliwi goście. Z przyjemnością patrzyła na Étienne'a, który wolno krążył pomiędzy stolikami i rozmawiał z gośćmi, kładąc przy tym dłoń na ramieniu każdego z nich.

- Postaraj się umówić z Iterem na przyszły tydzień - rzekł Sorba.

- Nie ma problemu.

- Wiesz, co zrobimy przed spotkaniem?

- Nie, co takiego?

- Kupimy sobie trochę nowych ubrań - wyjaśnił Sorba. - Mój kuzyn ma najlepszy butik z modą męską i damską w Marsylii. Zaopatrzymy się w eleganckie stroje, a w Iterze nawet nie zauważą, jak owiniemy ich sobie wokół małego palca. Na takich spotkaniach trzeba wyglądać na kogoś zamożnego. Nie na biednego syna rybaka, prawda?

W tej chwili podszedł Étienne i zaprosił ich na swój jacht w najbliższą niedzielę. Sorba klasnął w rękę.

- Powinnaś zobaczyć łódź Étienne'a, Debro.

- Dlaczego nie? - odparła. Kręciło jej się w głowie od wina i wymarzonego towarzystwa. - Chętnie się wybiorę.

Cole może zostać w domu z dziećmi. To przecież wyjazd służbowy.

## 2.

### Sześć miesięcy później

France Dubois nie lubiła Place des Cardeurs. W XIX wieku zburzono tu całe pierzeje budynków, by utworzyć przestronny plac. Teraz zajmował on zbyt wielką przestrzeń i zazwyczaj wydawał się martwy, jakby uderzył w niego meteor i wybił wielką wyrwę w centrum miasta. Ale być może to lepiej, że zniknęły wąskie, zatłoczone domy. Wzdrygnęła się na myśl o warunkach życia w średniowieczu, kiedy to duże rodziny dzieliły ze sobą dwa albo trzy źle oświetlone pokoje. Miała szczęście, że posiadała duże mieszkanie w dzielnicy Mazarin tylko dla siebie. Nie, szczęście to nie było odpowiednie słowo. Była wybranką losu. Kimś uprzywilejowanym.

Dochodziła połowa grudnia i bożonarodzeniowy jarmark trwał w najlepsze. Plac wypełniały białe namioty, w większości z nich sprzedawano prezenty, które France uważała za zupełnie nieciekawe. Przechodząc wzdłuż stanowisk, próbowała się uśmiechać i nie okazać współczucia młodej kobiecie, która zrobiła kolorowe, zbyt drogie mydła, ani mężczyźnie w średnim wieku, który rzeźbił uśmiechnięte zwierzątka z drzewa oliwnego. Czy zauważyli jej uśmiech, czy też skupiali się tylko na sprzedaży? Miała nadzieję, że niektórym z mieszkańców Aix

na tyle podobały się te wyroby, że zdecydowali się nabyć jeden czy dwa.

France szła dalej, wiedząc, że w tłumie klientów tak naprawdę nikt jej nie dostrzega. Była trzydziestopięcioletnią singielką, niską i szczupłą, z półdługimi włosami w mysim kolorze. Nie interesowała się modą, była na to zbyt oszczędna, i nie umiała zwracać na siebie uwagi, jak to robiły inne kobiety o przeciętnej urodzie, które nosiły ekstrawaganckie, kolorowe stroje. Jej sąsiedzi z rue Cardinale na jej widok uprzejmie mówili „Bonjour, Mlle Dubois”, ale z pewnością nie znali jej imienia. Cieszyli się, że mieszka sama - żadnych hałaśliwych przyjęć z głośną muzyką, żadnych małych dzieci biegających w tę i z powrotem ponad ich głowami - a poza tym w ogóle się nią nie interesowali. Była sąsiadką doskonałą.

Zatrzymała się przy namiocie wypełnionym kręgami sera. W każdy z nich wetknięto małą, zielono-biało-czerwoną flagę.

- *Boungiorno!* - zawołał do niej wysoki, szeroki w ramionach mężczyzna stojący za prowizoryczną ladą w postaci składanego stołu ozdobionego czerwonym obrusem. Zapytał, czy chciałaby spróbować sera.

- *Si, grazie!* - odparła.

Włoch puścił do niej oko i podał dwa cienkie plasterki parmezanu na pergaminowym papierze. Uśmiechnęła się i skinęła głową. Pogryzając orzechowy ser, żałowała, że sprzedawca nie ma odrobiny białego wina.

- Uwielbiam Perugię - powiedziała po włosku z francuskim akcentem.

- Och, była pani w naszym mieście? - zainteresował się.

- Dwa razy - odpowiedziała. - Z rodzicami. - Nie dodała: „kiedy żyli”. Próbowwała zażartować na temat tych wszystkich kancelarii prawnych, które widziała w Perugii na starym mieście. Do każdej z nich prowadziły ciężkie, rzeźbione, drewniane drzwi z tablicami z brązu. - Być może dlatego

Perugia jest partnerskim miastem Aix – zastanawiała się. – Nasz uniwersytet prawniczy należy do najstarszych we Francji, więc od zawsze jesteśmy miastem prawników...

– Tak, kto wie? – odezwał się Włoch ze śmiechem.

Dał jej czekoladę z Perugii, więc podziękowała i wręczyła mu swoją wizytówkę. Próbował nie skrzywić się na widok jej miejsca pracy, kościoła protestanckiego w Aix, a ona szybko zapewniła, że nie zamierza go nawracać.

– W niedzielny wieczór organizujemy wspólne śpiewanie kolęd w katedrze – powiedziała. – Co roku zapraszamy przedstawicieli naszych miast partnerskich, by przyszli i w miarę możliwości przynieśli potrawy, którymi wszyscy się częstujemy podczas wczesnej kolacji po nabożeństwie. – Kiedy wspomniała o nabożeństwie, Włoch znów się wzdrygnął. – Tak naprawdę nie jest to takie nabożeństwo z prawdziwego zdarzenia – wyjaśniła. – To raczej koncert angielskich kolęd.

Z uśmiechem skinął głową.

– Angielskie kolędy? Więc nie może nas tam zabraknąć. Ani naszego jedzenia!

France podziękowała i właśnie miała podać mu adres, ale nagle zaśmiała się sama z siebie i wskazała na ośmiokątną iglicę katedry, widoczną nad czerwonymi, ceramicznymi dachami.

– To właśnie tam – powiedziała. – Byłoby świetnie, gdybyście o siedemnastej przyszli do sali, która znajduje się za rogiem, na prawo od drzwi wejściowych. Nabożeństwo... koncert... zaczyna się o siedemnastej trzydzieści, a gdy się skończy, wszyscy zjemy kolację.

– A czy pozostałe partnerskie miasta – zapytał, znowu puszczając oko – także przynoszą coś do jedzenia?

– Owszem – odparła France. – Właśnie idę, by to potwierdzić. Niektórzy przyjeżdżają do Aix od lat.



- Specjały z Bath! - zawołał, klepiąc się w udo. - I z Filadelfii! - Pochylił się, wybuchając śmiechem.

- Angielskie desery są naprawdę całkiem dobre - próbowała protestować France, ale on nie mógł opanować śmiechu.

- Najważniejsze, że będziemy wszyscy razem - mówiła dalej, ale przerwała, gdy do namiotu weszła kobieta, którą sprzedawca najwyraźniej znał.

Zwrócił się do niej po włosku, wciąż rozbawiony, a France wyszeptała kilka słów podziękowań i zakłopotana ruszyła dalej. Miała nadzieję, że w niedzielę mężczyzna nie będzie się zachowywał tak jak przed chwilą.

Wyjęła z torby kartkę i postawiła haczyk przy słowie Perugia. Następna na liście była Kartagina w Tunezji i France wypatrzyła tunezyjski namiot wypełniony bawełnianymi tkaninami w kolorach ziemi oraz biało-niebieską ceramiką.

Tunezyjczyk pomachał do niej ręką. Pamiętał ją z poprzedniego roku, kiedy kupiła drogą miskę do sałaty zrobioną z oliwnego drewna i podziwiała jej marmurowe brzegi. Nie zapomniał też koncertu ani łez, które napływały mu do oczu, gdy słuchał kolęd i głosów wypełniających katedrę.

Ponownie się sobie przedstawili i zaczęli rozmawiać o tegorocznym koncercie. Tunezyjczyk uścisnął jej dłoń i obiecał przynieść jakieś dania.

- Pamiętam wasze ciasteczka z wodą różaną - powiedziała France. - To moje ulubione, panie Abdelhak.

- Proszę mówić do mnie Mehdi. Nie smakowały ci pistacjowe?

- O tak! Te były zaraz na drugim miejscu.

- Przed bakławą?

France roześmiała się, wyczuwając, że Mehdi się z nią przekomarza.

- Ona także bardzo mi smakowała.

Chociaż, jak pamiętała, baklava Mehdiego była bardziej sucha niż te, których kosztowała w Grecji. Wolała tę grecką, opływającą miodem.

France ociągała się z wyjściem, przesuwając dłonią po bladoniebieskiej bawełnianej narzucie na łóżko. Byłaby idealna na początek lata, kiedy prześcieradło nie zawsze wystarcza. France często miała zimne stopy.

- Ręcznie tkana - zachwalał Mehdi, unosząc brzeg materiału, by France mogła się lepiej przyjrzeć.

- Zastanowię się - odparła z uśmiechem. - Do zobaczenia w niedzielę.

Ruszyła dalej, wciąż z uśmiechem na twarzy. Świeciło słońce, a mieszkańcy Aix jak zwykle w porze lunchu tłumnie wylegli na ulicę. Plac wypełniony był odgłosami rozmów i śmiechem, a od czasu do czasu rozbrzmiewało nawoływanie ulicznego sprzedawcy. Burczało jej w brzuchu, a fale głodu nasilały się, w miarę jak zbliżała się do namiotu Filadelfii, gdzie już uformowała się kolejka. Nie będzie to zatem najlepszy czas, by porozmawiać z Amerykanami - bratem i siostrą, o ile dobrze pamiętała - o śpiewaniu kolęd. Właśnie serwowali swoje gorące kanapki ze stekiem i mieli pełne ręce roboty. Rok temu nie odważyła się nawet tych kanapek spróbować.

- *Philly cheesesteaks! Kanapki filadelfijskie!* - zawołał Amerykanin. - *World-famous Philly cheesesteaks right here in Aix-en-Provence!*

Naprzeciwko namiotu z Filadelfii znajdował się namiot brytyjski z Bath, obsługiwany przez dwie starsze kobiety, które wyglądały na znudzone. France doskonale wiedziała, dlaczego Bath zostało wybrane na partnerskie miasto Aix: oba miasta były kiedyś rzymskimi uzdrowiskami.

- Dzień dobry - przywitała się jedna z kobiet, ta niższa i pulchniejsza. - Pamiętamy panią z ostatniego roku, prawda, kochana Eunice?

- Oczywiście - przytaknęła Eunice, odkładając na bok robótkę na drutach. - Ma pani na imię France. Bardzo łatwo je zapamiętać, prawda, Sally?

France uśmiechnęła się, wzruszona tym, że kobiety ją pamiętają, i zadowolona, że przypomniały jej swoje imiona. Pomyślała, że imię Eunice doskonale pasowało do starszej brytyjskiej damy, która robi na drutach, natomiast Sally nadawało się raczej dla nastolatki, a nie dla niewysokiej, krągłej damy z białymi, cienkimi kosmykami. Eunice z kolei była wysoka, miała szerokie ramiona i czarne włosy, z całą pewnością farbowane.

- Czy przyszła nas pani rozweselić, moja droga? - zapytała Sally. - Dziś rano było u nas bardzo spokojnie. Nie podajemy gorących kanapek ani piwa, jak Niemcy i Amerykanie...

- Ale wasze desery są przepyszne - odparła France szczerze. - Na pewno po południu pojawi się tu więcej ludzi.

- Proszę się poczęstować ciasteczkami z rodzynekami - zaproponowała Eunice.

- O, dziękuję. - France skorzystała z zaproszenia i wbiła zęby w puszyste ciasto. Nadzienie rozplęwało się w ustach - jasnobrązowy cukier o smaku karmelu, jaja, rodzynek i dużo masła.

- Czy w tym roku śpiewanie kolęd znowu odbywa się w katedrze? - chciała wiedzieć Sally. - W zeszłym roku tak nam się podobało...

- Oczywiście - potwierdziła France, trzymając rękę pod brodą, by złapać okruszki. - Byłoby nam bardzo miło, gdyby Bath ponownie mogło uczestniczyć.

- Och, na pewno przyjdziemy - zapewniła ją Sally, klaszcząc w dłonie.

- Naprawdę dobrze mówi pani po angielsku - powiedziała Eunice.

- Dziękuję. Codziennie rozmawiam po angielsku w tutejszym kościele protestanckim, uczyłam się też na uniwersytecie.

- Czy to kościół anglikański? - zapytała Sally. Nie potrafiła ukryć nadziei w głosie.

- Nie, jest wielowyznaniowy - odparła France.

- Sally, kochana, tobie najbardziej odpowiada Kościół wysoki<sup>1</sup> - zasugerowała Eunice, potrząsając głową.

- Tak, chyba masz rację - westchnęła Sally. - To dlatego polubiłam katolickie msze we Francji. Msze i nowego papieża.

France zauważyła, że na wzmiankę o papieżu Franciszku Eunice szeroko otwiera oczy z przerażenia, i próbowała powstrzymać uśmiech.

- Zatem do zobaczenia w niedzielę o siedemnastej w sali spotkań, tak jak w ubiegłym roku.

- Za nic byśmy tego nie przegapiły - oznajmiła Sally.

- To będzie doniosła okazja - dodała Eunice, prawie surowo.

France podziękowała gospodyniom i wyszła, zastanawiając się, co Eunice chciała powiedzieć przez słowo „doniosła”. Nie wydawało jej się, żeby pasowało ono do opisu świątecznego nabożeństwa z kolędami. Przejechała językiem po zębach i zauważyła, że wcześniej umknęły jej uwadze inne smaki ciasteczka, takie jak ziele angielskie i cytryna. A może to była pomarańcza?

Marine Bonnet podskakiwała, żeby się rozgrzać.

- Mogliby już przestać reklamować te kanapki filadelfijskie - powiedziała jej matka, odrobinę za głośno. - To oczywiste, że właśnie po nie stoimy w tej kolejce.

- Sylvie zapewniała mnie, że warto poczekać - odparła Marine.

- Sylvie! - fuknęła Florence. - Nie wiedziałam, że jest taką epikurejką!

- Spójrz na te biedne kobiety z Bath. - Marine wskazała na namiot z Anglii, próbując zmienić temat. - Nie mają żadnych klientów.

- Nikogo nie interesują te ich kalendarze i kubki z rodziną królewską - skomentowała Florence. - Rodzina Windsorów to banda endogennych Niemców, którzy żyją z podatków Brytyjczyków...

- *Maman!* Czy ty dobrze spałaś?

Florence wzruszyła ramionami.

- Twój ojciec tak strasznie chrapie. - Miała powiedzieć coś jeszcze, kiedy zobaczyła France Dubois. - Widzisz tę dziewczynę, która rozmawia z kobietami z Bath?

- Tak - powiedziała Marine. - Chociaż to już raczej nie jest dziewczyna. Pewnie ma mniej więcej tyle lat co ja.

- Cóż, nosi się jak dziewczyna. Tak czy siak, znam ją, nazywa się France Dubois. Jest sekretarką w APCA.

Kolejka posunęła się mniej więcej o pół metra i kobiety zrobiły krok do przodu.

- APCA? - zapytała Marine. Czują coraz większy głód.

- Angielski Kościół protestancki w Aix<sup>2</sup>. Pomagamy im przy niedzielnym nabożeństwie z koncertem kolęd.

- Och, uwielbiam to nabożeństwo - rzekła Marine. - Mam zamiar zaciągnąć na nie Antoine'a.

Florence prychnęła.

- Antoine Verlaque w kościele? Nie mogę sobie tego wyobrazić...

- On nie jest poganinem, *maman*, tylko agnostykiem.

- Mhm. Przypuszczam, że skoro jego babcia była Angielką, przynajmniej zna słowa pieśni.

- Właśnie - przytaknęła Marine z ulgą. - To twój chór się udziela?

- Kilkanaście osób. Pastor kościoła protestanckiego - nazywają go wielbnym Dave'em - zaczęła Florence - poprosił nas o pomoc. To tam ją spotkałam. - Florence przekrzywiła głowę w kierunku France Dubois, a Marine patrzyła, jak młoda kobieta próbuje z gracją zjeść miękkie, brytyjskie ciastko.

- Wygląda na bardzo miłą - zauważyła Marine.

- Na wydziale teologii spotykam studentki, które są do niej podobne. Typ France Dubois.

Teraz były już drugie w kolejce i Marine wyciągnęła szyszki, by zobaczyć, jak Amerykanin przewraca steki na prowizorycznym grillu. Nie powie Antoine'owi, który w kwestii jedzenia był snobem, o jasnopomarańczowej, płynnej substancji wyciekającej z kanapek.

- O! Jaki to typ, *maman*?

- Kogoś z pozoru potulnego, niepozornego, kto jednak z dystansu obserwuje, co się dzieje. Nic nie umknie jego uwagi.

- Samotniczka?

- Tak, ale nie znałaś takich osób, więc nie zrozumiesz.

- Chyba rozumiem - zaproponowała Marine.

I już miała dodać coś o koleżance z klasy, której imienia nie pamiętała, ale zatrzymała się w pół słowa. Zdała sobie sprawę, że jej matka - emerytowana profesor, autorka wielu prac naukowych, kobieta silna i nieustępliwa - właśnie się zwierzała - otóż ona sama także podpierała kiedyś ściany. Marine niewiele wiedziała o młodości swojej matki, może tylko o jej sukcesach zawodowych. Chciała zapytać o jej szkołę średnią w małym miasteczku na południowym zachodzie, ale zdała sobie sprawę, że znalazły się przy ladzie.

- *Hello!* - usłyszały męski głos. - *Welcome to Philly cheesesteak heaven!*

- *Thank you!* - odkrzyknęła Marine po angielsku.

- *O, Mon Dieu* - szepnęła Florence, przyciągając córkę bliżej do siebie. - Czy to jasnopomarańczowe coś to ma być ser?

---

1 Wewnątrz Kościoła anglikańskiego od XIX wieku zaznaczają się trzy główne nurty: High Church - Kościół wysoki, konserwatywny, zbliżony do rzymskiego katolicyzmu, kultywujący liturgię; Low Church - Kościół niski, bardziej ludowy i bliższy kalwinizmowi; oraz liberalny i tolerancyjny Broad Church - Kościół szeroki. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczek).

2 Po angielsku: Anglo Protestant Church of Aix (APCA).

### 3.

Święta Bożego Narodzenia budziły w Antoine Verlaque'u sprzeczne uczucia i nie pomagał fakt, że Cours Mirabeau zapełniał się teraz chatkami w stylu alpejskim, w których sprzedawano świecidełka. Właśnie wracał z długiego, wyczerpującego spotkania z prawnikiem sądowym. Omawiali niedoszłe porwanie bogatej żony paryskiego biznesmena, który posiadał dom w Aix. Verlaque czuł zbliżający się ból głowy. Marine, jego żona, powiedziałyby: za dużo espresso i za mało wody.

Zerknął na swój telefon, minęła już dwunasta i poczuł głód. Zatrzymał się, by wybrać numer Marine. Przechodnie wpadali na niego ze swoimi ogromnymi torbami reklamującymi modne ostatnio sklepy. W tym roku najwyraźniej należały do nich Sandro i Maje, choć on nigdy o nich nie słyszał. Podejrzewał, że oferowały odzież damską. Za rok inne sklepy staną się le must, a te z metkami Sandro i Maje trafią do lamusa albo zostaną wyrzucone. Ból głowy nasilał się, a przez to Verlaque wpadał w coraz gorszy nastrój. Naprawdę nie znosił Bożego Narodzenia, teraz nabrał co do tego pewności. Usunął się na bok, bliżej budynku, aby zejść z drogi przechodniom.

Kiedy czekał, aż Marine odbierze, przyglądał się jednej z chatek, w której sprzedawano dmuchane, szklane zwierzęta na aksamitnych poduszczkach. Skrzywił się i odwrócił, by zająć się czytaniem tablicy na budynku z numerem trzy, gdzie dziesiątego października 1799 roku zjadł kolację Napoleon. Niestety bardzo zawiódł gospodarzy, którzy z pewnością mieli



nadzieję gościć tego dziarskiego Korsykanina nieco dłużej, tymczasem on wyszedł zaraz po posiłku.

- *Oui, Antoine?* - Marine odezwała się w chwili, kiedy już miał się rozłączyć.

- Gdzie jesteś? - zapytał. - Jest tak głośno, że ledwie cię słyszę.

- Cóż, mnie także miło cię słyszeć.

- Przepraszam, jestem na Cours.

- Och, to tłumaczy twój nastrój - skomentowała Marine. - Czy zdecydowałeś już, co chcesz w prezencie na święta?

- Chcę nowego mera, który nie pozwoli na te... na te... - urwał, wskazując na rozciągający się przed nim widok, a Marine roześmiała się.

- Posłuchaj, Antoine, właśnie jem lunch z *maman* - powiedziała. - Na Place des Cardeurs, dlatego jest tak głośno. Czy to coś ważnego?

- Nie, nie - zapewnił ją, wiedząc, że musi zjeść sam. - Do zobaczenia w domu po lunchu. Pozdrów mamę.

Rozłączył się i ruszył w górę Cours, myśląc o tym, że Napoleon miał powrócić do Aix w roku 1814, będąc już w niełasce, w drodze na wygnanie na Elbie. Tego wieczoru Verlaque nie zje kolacji w centrum miasta, tylko zrobi sobie krótki przystanek w oberży na północy Aix, która teraz zamieniła się w pizzerię.

Przyglądał się przechadzającym się po promenadzie ludziom. Niektórzy przystawali, by pooglądać sklepiki. Przy jednym z nich - sprzedającym *santons* - zatrzymała się dobrze ubrana para. Oboje mieli czarne kaszmirowe płaszcze i drogie buty, uznał więc, że są paryżanami. Kobieta lekko przekręciła głowę w kierunku Verlaque'a i wtedy ją rozpoznał, podobnie jak kilkoro innych przechodniów, którzy zatrzymali się i szeptali coś do siebie nawzajem. To była Margaux Perrot, aktorka.

Kupili parę *santons* i ruszyli, ramię w ramię, w stronę Verlaque'a.

- Verlaque? - odezwał się mężczyzna, kiedy znaleźli się jakiś metr od niego.

- Léo? - rzekł Verlaque, mając nadzieję, że dobrze pamięta jego imię. Czy to był Léo, kolega ze studiów prawniczych?

- Słyszałem, że mieszkasz w Aix - powiedział mężczyzna, wyciągając dłoń. - Jesteś tu sędzią śledczym, prawda? Och, przepraszam. To moja żona, Margaux.

- Miło mi panią poznać. - Uścisnął jej dłoń.

Zastanawiał się, czy nie powinien dodać czegoś w stylu: „Uwielbiam pani rolę”, ale tak naprawdę nie widział wielu spośród jej ostatnich filmów, w większości komedii romantycznych.

- Kupiliśmy kilka figurek do naszego żłóbka - powiedziała pośpiesznie Margaux, jakby była zakłopotana.

- To jeden z autentycznych prowansalskich produktów, które można tu znaleźć w sprzedaży - wyjaśnił, ponieważ mimo wszystko miał słabość do miniaturowych figurynek uosabiających różne postaci z dziewiętnastowiecznej Prowansji - brukarza, winiarza, praczkę czy kowala. - Studiowałem prawo razem z Léo - dodał.

- Nie wiem jak ty, Antoine, ale dla mnie to odległe wspomnienie - rzekł Léo. - Masz jakieś plany na lunch? - zapytał, odwracając się do swojej słynnej żony i szukając u niej aprobaty.

- O tak, to świetny pomysł - odparła. - W ten sposób wy dwaj będziecie mogli nadrobić stracony czas, a ja posłucham i wszystko dokładnie zanotuję.

Verlaque roześmiał się, oczarowany.

- Tak się składa, że jestem wolny i znam dobrą restaurację, która znajduje się dokładnie za nami. Ale nie jestem pewien,

pani Perrot, czy nasze studenckie wysoki choć trochę panią zainteresują.

- Léo zupełnie nic mi nie mówi o swojej przeszłości. Będę wdzięczna za każdą, nawet najdrobniejszą ciekawostkę.

W tym momencie Verlaque przypomniał sobie nazwisko starego przyjaciela - Vidal-Godard - i niektóre, jak to określiła jego żona, „ciekawostki” z jego życia po studiach prawniczych w Bordeaux: najróżniejsze biznesy, niektóre bardziej, inne mniej rentowne, kilka małżeństw i rozwodów, i, jeśli dobrze zapamiętał, sprawę sądową. Zastanawiał się, od jak dawna tych dwoje jest po ślubie.

Otworzył drzwi Café Mazarin i powiedział coś do Frédéric, kierownika sali. Ten poprowadził ich na górę do obitej drewnem jadalni, gdzie szczęśliwie znalazły się dwa małe wolne stoliki. Frédéric szybko zestawił je razem, dyskretnie zebrał czwarte nakrycie i wysunął krzesło dla Margaux.

- Urocze miejsce - powiedziała kobieta z uśmiechem.

- Moi przyjaciele nazywają je biurem - napomknął Verlaque.

- Często spotykamy się na dole na kawę, jeszcze zanim zaczniemy pracę.

Kiedy Mme Perrot studiowała menu, Verlaque mógł rzucić okiem na jej twarz, która wyglądała jak wyrzeźbiona z białego marmuru, z akcentami niebieskich oczu i czerwonej pomadki.

Frédéric pojawił się ponownie i Margaux mogła złożyć zamówienie. Tak jak przewidział Verlaque, poprosiła o dużą sałatkę i gazowaną wodę mineralną, on i Léo wzięli specjalność dnia - golonkę z soczewicą.

- Zatem kim są twoi koledzy z biura? - zapytała Margaux, pochylając się do przodu.

Verlaque spojrzał na nią zaskoczony. Czy chciała dowiedzieć się czegoś o jego współpracownikach z Pałacu Sprawiedliwości? O jego sekretarce, wytwornej Mme Girard?

Po chwili roześmiał się, uświadamiając sobie, że chodzi o spotkania na parterze kawiarni.

- Mój najbliższy przyjaciel Jean-Marc, prawnik sądowy, nasz komisarz policji Bruno Paulik oraz moja żona Marine, która do niedawna wykładała prawo na tutejszym uniwersytecie.

- Do niedawna? - zapytał Léo. - Rzuciła prawo?

Verlaque uśmiechnął się, powstrzymując się przed powiedzeniem: „Tak samo jak pani”.

Gdy jedli lunch, rozmowa zeszała na nieruchomości w Aix, gdyż Margaux i Léo jakiś czas temu przeprowadzili się tutaj z Paryża. Verlaque zapytał dlaczego, ale nie uzyskał satysfakcjonującej odpowiedzi. Z pewnością ze względów zawodowych Margaux Perrot powinna pozostać w stolicy. Dodatkowo wspomniała, że jej dzieci z poprzedniego małżeństwa, w wieku trzynastu i piętnastu lat, raczej nie były zachwycone jej decyzją o przeprowadzce.

- Może Sasze udałoby się nie wylecieć z tutejszej szkoły średniej - zauważył Léo z uśmiechem na ustach.

- Sacha to mój trzynastolatek - wyjaśniła Margaux, wyraźnie zakłopotana. - Nie potrafi akceptować autorytetów...

Verlaque szukał stosownej odpowiedzi, zdziwiony gruboskórnością Léo. Jak się wydawało, Sacha nie dostaje od ojczyma męskiego wsparcia. Margaux zmieniła temat, a Verlaque zatrzymał się myślami na kwestii męskiego wzorca. Jego ojciec uzyskałby tutaj trzy punkty na dziesięć, jego dziadek ze strony ojca, Charles, raczej siedem. Charles mógłby osiągnąć lepszy wynik, ale za bardzo pochłaniało go prowadzenie czterech należących do rodziny młynów, ponadto pochodził z pokolenia, w którym mężczyźni nie bawili się z dziećmi ot tak, bez okazji. Niemniej dziadek wywarł na niego duży wpływ mimo ograniczonego czasu, jaki razem spędzili. Dziadkowie ze strony matki zmarli, kiedy był bardzo mały. Zastanawiał się, jak on sam wypadłby w tej roli, zwłaszcza

gdyby pełnił ją wobec małego chłopca. Starał się skierować uwagę w stronę Margaux i Léo, którzy sprzeczekali się zawzięcie o ceny domów, ale to pytanie pozostało z nim bardzo długo.

France Dubois próbowała się na nich nie gapić. Zwłaszcza dlatego, że robili to wszyscy pozostali goście kawiarni. Wiedziała, że ta kobieta jest aktorką, ale w tej chwili nie mogła przypomnieć sobie jej nazwiska. Kelner postawił przed France danie, a ona od razu pożałowała swojego wyboru. Będzie w stanie zjeść soczewicę, ale jak, u licha, zje całe to mięso? Podniosła rękę i kelner wrócił do jej stolika.

- *Un verre de rouge, s'il vous plait* - poprosiła.

Na pewno przyda jej się kieliszek czerwonego wina, bo wciąż nie mogła się rozgrzać po porannym spacerze po Place des Cardeurs.

Wino podniesie rachunek i France przekroczy sumę, jaką zwykle pozwalała sobie wydać na lunch. Będzie musiała spożytkować dwa talony restauracyjne i jeszcze dopłacić gotówką. Ale, tłumaczyła sobie, czasem w ogóle nie wykorzystywała talonów, chcąc zaoszczędzić je na zakupy u rzeźnika. Przynosiła sobie wtedy na lunch jakieś resztki z domu. Uśmiechnęła się, zadowolona, że mieszka w kraju, w którym państwo częściowo pokrywa koszt lunchów pracowniczych, mimo że jeden talon wart był tylko siedem i pół euro. Dzięki temu ludzie częściej wybierali się do miasta, restauracje miały więcej gości, z pewnością przynosiło to też korzyści innym lokalnym firmom. Wychodząc na posiłek, można było też wpaść do jakiegoś sklepu po małe zakupy.

Zaczęła kroić mięso, które łatwo odchodziło od kości. Zostało ugotowane z soczewicą i marchewką, w białym winie, było słone i pyszne. Być może uda jej się skończyć danie. Nadal patrzyła na gości przy sąsiednich stolikach, starając się na nikim nie zatrzymywać wzroku. Gwiazda filmowa siedziała do niej tyłem, ale France miała dobry widok na dwóch

towarzyszących jej mężczyzn. Założyła, że jeden z nich jest mężem aktorki albo jej chłopakiem, bo od czasu do czasu chwycił ją za rękę. Dwa razy nalał wino, nie proponując go drugiemu mężczyźnie. France z dezaprobatą zmarszczyła brwi, po czym skarciła sama siebie i spojrzała w dół. Gdy ponownie podniosła głowę, cała trójka przed nią śmiała się, ale nie był to prawdziwy, szczerzy śmiech. Raczej wymuszony. Ich przyjaciel, ten drugi mężczyzna, patrzył swoimi ciemnymi oczyma to na aktorkę, to na jej męża, jakby ich oceniał. Kim był? Starym kompanem? A może ich prawnikiem? Bogaci celebryci zawsze mieli stada prawników i księgowych, którzy dla nich pracowali.

France odchyliła się do tyłu i z przyjemnością upiła łyk wina. Od lat obserwowała ludzi i wymyślała o nich historie, nawet wtedy, gdy jeszcze żyli jej rodzice. Czasem martwiło ją to, że tworzyła sobie świat fantazji. Ale dzisiaj pozwoliła sobie na tę małą, grzeszną przyjemność. Była w dobrym nastroju, może sprawiła to atmosfera Bożego Narodzenia, może miłe słowa, które wymieniła na Jarmarku Miast Partnerskich z Angielkami i Tunezyjczykiem. Po południu wróci tam, by porozmawiać z Amerykanami i Niemcami, kiedy nie będą tak zajęci jak w porze lunchu. Oderwała kawałek chleba i pomyślała o Włochach, zastanawiała się, czy w ogóle ich lubi. Wtem jeden z mężczyzn przy sąsiednim stoliku uderzył pięścią w stół. Podskoczyła, starając się nie patrzeć w tamtą stronę, a zamiast tego w skupieniu zanurzała chleb w sosie z czerwonego wina.

- Nie martw się - powiedział jeden z tych mężczyzn po francusku z silnym amerykańskim akcentem. - Ty ciągle się martwisz.

- Któryś z nas musi - odpowiedział jego towarzysz, który siedział przodem do France. To był młody Francuz, mniej więcej trzydziestoletni. Choć był środek zimy, miał bardzo opaloną twarz. - Ty nigdy nie myślisz o finansach. W jakiś

sposób wierzysz, że pieniądze zawsze się znajdują i wszystko się uda.

- Zawsze się udawało - przekonywał Amerykanin.

Kątem oka widziała, jak szerokim gestem wyrzucił ręce do góry.

Sięgając po karafkę z wodą, przyjrzała się mężczyznom. Obaj byli szczupli, ale młodszy miał mocno umięśnione ręce - które jej się nie podobały - i wyglądał na sportowca. To tłumaczyło jego opaleniznę. Narciarz? Rowerzysta? Żaden z mężczyzn nie pił wina.

- Widzę, że to ja będę musiał się wszystkim zająć - powiedział Francuz, pochylając się w stronę swojego towarzysza. - Jak zwykle.

- Nie musisz nic robić - zapewnił go Amerykanin. - Moje nowe pomysły działają cuda.

Francuz prychnął w odpowiedzi, odsuwając od siebie na wół zjedzoną sałatkę.

- Nie skończysz, Damien? - zapytał Amerykanin.

France widziała, jak wbija widelec w kawałki sałaty i fasolki szparagowej leżące na talerzu sportowca. Zażenowana, zatopiła wzrok w swojej książce. Chciała zobaczyć twarz Amerykanina, bo jego głos wydał jej się znajomy. Społeczność ekspatów w Aix była niewielka, a on z pewnością mieszkał tu i pracował. Wielu przedstawicieli tej społeczności - szczególnie ze Stanów - przychodziło do kościoła, w którym pracowała.

Spojrzała w górę dokładnie w chwili, gdy do sali wszedł kelner. Dała znak, że prosi o rachunek. Gwiazda filmowa i jej towarzysze już wyszli.

- Naprawdę działasz mi na nerwy, Cole - odezwał się młodszy z mężczyzn, krzyżując ręce na piersiach i odchylając się do tyłu.

France zamarła, mocno ściskając widelec. A więc rzeczywiście знаła ten głos. Imię Cole raczej nie należało do popularnych. To musiał być Cole Hainsby, miejscowy biznesmen, chyba prowadził jakieś biuro podróży oferujące wycieczki po Prowansji. France знаła jego żonę, Debrę, która udzielała się w kościele. Nie pamiętała, skąd pochodzili Hainsby'owie, ale być może ze Środkowego Zachodu. Nigdy nie spotkała Cole'a, ponieważ w weekendy on najczęściej prowadził wycieczki, ale oczywiście wiedziała, kim był.

Kiedyś rozmawiała z nim przez telefon i nie podobał jej się jego głos. Mówił zbyt szybko, zbyt radośnie, tak naprawdę nie słuchał odpowiedzi. I był za bardzo przyjacielski, gadatliwy, mimo że się nie znali. Pamiętała, że podczas tej rozmowy wyobrażała sobie szeroki uśmiech na jego twarzy. Pomyślała, że jest w angielszczyźnie słowo określające ludzi takich jak on: pozer. Dwa razy powiedział jej wtedy, zupełnie niepotrzebnie, że mieszka z rodziną w Saint-Marc-Jaumegarde, bogatym przedmieściu Aix.

Pośpiesznie zebrała swoje rzeczy, zawstydzona, że podsłuchiwała rozmowę gości przy sąsiednim stoliku. Drżały jej dłonie. Miała nadzieję, że Cole Hainsby nie rozpozna jej, jeśli się spotkają. Kiedy zeszła na parter i skierowała się w stronę słynnego baru z cynkowym blatem, poczuła na twarzy przypływ gorąca. Zdała sobie sprawę, że spotka Cole'a Hainsby'ego w tę niedzielę, na bożonarodzeniowym koncercie. On i Debra występowali w tym roku w roli gospodarzy.



## 4.

Verlaque patrzył na gaj oliwny i przypomniał sobie czyjeś słowa, że takie gaje były pierwszymi świątyniami. Ale nie pamiętał, kto to powiedział. Poeta? Polityk?

Dziesięć lat temu ich przyjaciel, Jacob, poprzedni właściciel domu, posadził tu piętnaście drzew w trzech rzędach. Verlaque rozejrzał się i pomyślał, że zebranie owoców nie będzie trudne, bo większość drzew nie wyrosła wyżej niż dwa metry. Oczywiście do zerwania oliwek z górnych gałęzi będą musieli użyć drabiny. Przesunął dłońmi po srebrzystych liściach, zachwycając się ich gładkością. Nie będą mu nawet potrzebne rękawice, właśnie tak będzie uprawiał ogród.

Marine zatrzymała samochód na żwirowym podejździe, wysiadła i pomachała. Verlaque przyglądał się, jak jego wysoka i szczupła żona idzie w jego stronę zdecydowanym krokiem. Nieodrodna córka Florence Bonnet. Tak naprawdę Marine odziedziczyła jakieś cechy po każdym z rodziców. Po ojcu, emerytowanym lekarzu rodzinnym, przejęła uprzejmość i spokojną naturę, po matce, która przez lata kierowała wydziałem teologicznym aixańskiego uniwersytetu – błyskotliwą inteligencję i energię.

Marine pocałowała go i powiedziała:

- Widzę, że rozłożyłeś już siatki. Dobra robota. Co teraz?

Verlaque wzruszył ramionami.

- Bruno nie miał czasu, by mi powiedzieć. Włożył siatki i wiadra do mojego samochodu i już go nie było. Czy myślisz, że powinniśmy potrząsnąć drzewem?

Marine popatrzyła na błękitne niebo widoczne pomiędzy gałązkami.

- To chyba dość brutalne, prawda? Choć z drugiej strony drzewa oliwne wydają się najmocniejsze ze wszystkich. Przetrwały tysiące lat mrozów, susz, palącego słońca...

Verlaque sięgnął w górę i potrząsnął jedną z gałęzi. Patrzyli, jak na ziemię spadają trzy duże owoce.

- Tak naprawdę nie chcę trząść mocniej.

- Ależ ty masz gołębie serce - skomentowała i pocałowała go jeszcze raz. - Co też myśmy zrobili, kupując dom na wsi?

Verlaque roześmiał się.

- Posłuchaj, oboje skończyliśmy prawo na bardzo dobrych uniwersytetach i pracujemy w prestiżowych zawodach. Więc z pewnością potrafimy zebrać trochę oliwek.

- Zielone chyba nie są jeszcze całkiem dojrzałe - powiedziała Marine. - Dlatego nie spadają. - Zerwała jedną i trzymając ją na dłoni, stwierdziła: - Są naprawdę piękne.

- I taka będzie też oliwa. - Przejechał dłonią po jednej z gałązek, delikatnie pociągając przy tym za owoce, i około tuzina oliwek spadło na ziemię. - Proszę bardzo!

Marine zrobiła to samo i pracowali tak w ciszy przez dziesięć minut. Siatka pod ich nogami zapełniała się zielonymi i czarnymi owocami.

- Antoine, depczesz po oliwkach!

- *Merde!*

- Zbierzmy je do wiadra - zasugerowała Marine i opadła na czworaki.

- W tym tempie potrwa to wieki - zauważył Antoine, niechętnie idąc w jej ślady.

- Ale jak tak zagrabiamy rękoma, to jakoś idzie.

- Och, grabie! - zawołał Verlaque. - Bruno był bardzo zły na siebie, bo zapomniał wziąć dla nas grabie. Powiedział, że to

powinny być takie małe, jakimi dzieci bawią się na plaży.

- Rzeczywiście, przydałyby nam się takie. - Marine usiadła i po chwili dodała: - Przyszło mi coś do głowy, zaraz wracam.

Wstała i pomaszerowała do domu, a Antoine nadal zrywał ich plony, tym razem zwracając uwagę, gdzie stawia stopy. Popatrzył na inne drzewa. Nie wyobrażał sobie, że przed zapadnięciem zmroku uda im się skończyć choćby to jedno. Zdecydowanie łatwiejsze było kupienie oliwy prosto z tłoczni. Mimo wszystko nie przerywał pracy. Po kilku minutach zagłębił się w myślach, czując, jak miękkie liście przesuwają się pod jego dłońmi.

- Tadam! - zawołała Marine, stając przy nim z dwoma małymi, wiklinowymi koszykami, każdy z nich miał dużą rączkę. Podała jeden z nich mężowi.

- Będziemy zbierać oliwki do koszyków, a kiedy się wypełnią, przesypiemy owoce do wiadra.

- Genialny pomysł.

Marine przewiesiła koszyk przez lewą rękę, a prawa pozostała wolna. Verlaque, nie chcąc zostać w tyle, znalazł wystający sęk i zahaczył o niego koszyk, mógł więc swobodnie operować obiema rękoma. Dla lepszego efektu podniósł je w górę. Marine roześmiała się.

- Postarajmy się przed kolacją zrobić chociaż to jedno drzewo - rzekła. - Jestem pewna, że kiedy już zaczniemy, wszystko pójdzie gładko.

Wrócili do pracy i wiklinowe koszyki zapełniły się przed upływem kwadransu. Rozmawiali o mijającym dniu i Marine rozbawiła Antoine'a opowieścią o tym, jak jej matka jadła brejowatą kanapkę filadelfijską.

- Ale najśmieszniejsze, że kanapka była naprawdę dobra.

- Oczywiście, smakowała dobrze - powiedział Verlaque. - Na tym właśnie polega problem z fast foodem.

- Cóż, nie nazwałabym tego fast foodem! - zaprotestowała Marine, ale jej mąż nie wyglądał na przekonanego.

- Nie zgadniesz, z kim jadłem lunch.

- Margaux Perrot? - Marine uśmiechnęła się szeroko.

Antoine, zaskoczony, przerwał zrywanie oliwek i obrócił głowę w stronę żony.

- Skąd, u licha...

- Sylvie widziała, jak wychodzisz z biura - to znaczy kawiarni - z Perrot i jeszcze jednym mężczyzną.

- W Aix nie da się niczego ukryć.

Marine potrząsnęła głową z uśmiechem.

- Więc jaka ona jest?

- Bardzo miła. Z Léo, jej mężem, studiowaliśmy prawo. To jeden z tych gości, którzy co dwa lata rozkręcają nowy biznes, z góry skazany na niepowodzenie. Ostatnio to jakaś firma wydobywcza w północnej Afryce, chyba w Tunezji.

- O rany - powiedziała Marine. - Margaux musi mieć wielką cierpliwość. Co robili w Aix?

- Teraz tutaj mieszkają - wyjaśnił Verlaque. - Ten exodus z Paryża...

Marine westchnęła, wracając pamięcią do dni, kiedy paryżanie jeszcze nie sprowadzali się tak masowo do ich miasta.

- Mają dzieci? - zapytała.

- Margaux ma dwoje nastolatków z poprzedniego małżeństwa. Chodzą do jakiejś prywatnej szkoły na północy Aix.

- Prywatnej! - oburzyła się Marine i przestała zbierać spadające oliwki. - Dlaczego, u licha, prywatnej? Publiczne są dużo lepsze.

- Wiem - zgodził się z nią Verlaque. - Ale jej syna relegowano ze szkoły publicznej, stąd taka decyzja.

Marine ściągnęła kolejne owoce z gałęzi i patrzyła, jak wpadają do jej koszyka.

- Dzieci. - Pokręciła głową. I biorąc głęboki oddech, dodała:  
- Pewnie ciągle trzeba się o nie martwić. - Zerknęła w bok, żeby zobaczyć reakcję męża, ale on dalej zajęty był pracą.

- Tak, zwłaszcza takie bogate, rozpieszczone dzieciaki - skomentował. - Takie, jakim ja byłem, ale jakimś cudem wyszedłem na ludzi.

- Ta szkoła jest dla dzieci dwujęzycznych - wyjaśniła Marine.  
- Słyszałam, jak ktoś o niej mówił. Jest horrendalnie droga.

- To świetnie - stwierdził. - Bo ojciec tego chłopca to jakiś amerykański producent filmowy.

- Nie ruszaj się przez chwilę. Zrobię zdjęcie, jak pracujesz na roli.

- Nie nabijaj się ze mnie.

Sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła telefon.

- Antoine, uśmiechnij się i spójrz tutaj.

Verlaque posłusznie odwrócił się w jej stronę. Marine walczyła z telefonem, zezując na jego mały ekran. Wreszcie wyciągnęła go daleko przed siebie i wycelowała w Verlaque'a, jednocześnie machając palcem wskazującym, niepewna, którą ikonkę w końcu nacisnąć. Antoine roześmiał się. Patrzył na swoją piękną żonę, z jej falowanymi, kasztanowymi włosami, odcinającymi się od tła ze srebrnych liści i błękitnego nieba.

- O, to jest naprawdę dobre - powiedziała, patrząc na fotografię na ekranie telefonu. - Wydrukuję je, oprawię i dam twojemu ojcu pod choinkę.

Tak wiele słów cisnęło mu się na usta. Miał mieszane uczucia wobec świąt Bożego Narodzenia i rodzinnych uroczystości. Wobec swojego ojca, który mieszkał w Paryżu z dużo młodszą od siebie historyczką sztuki, wobec nieżyjącej już matki, z którą nigdy nie był blisko, i wobec brata, który stał się

dla niego obcym człowiekiem. Ale Marine ruszyła już do domu, by włączyć piekarnik - zamierzali zjeść mały rostbef - więc po prostu złożył siatkę, starannie wybierając z niej przedtem resztę owoców. Wrzucił je do jednego z dużych, czarnych wiader, które pożyczył im Bruno. Na wierzchu położył koszyki i siatkę i zaniósł kubeł do kamiennego budynku gospodarczego na tyłach domu, gdzie trzymali narzędzia i letnie meble z patio. Zrobiło się już ciemno i zanim dotarł do domu, mocno się oziębilo. Patrzył, jak Marine nacina w wołowinie płytkie kieszonki. Zaraz włoży w każdą z nich plasterek czosnku. Pochyliła się, skupiona, nie nuciła, jak to miała w zwyczaju przy gotowaniu. Wiedział dlaczego - z tego samego powodu, z którego on sam miał ściśnięte gardło. Jej uwaga na temat dzieci dotyczyła ich samych, ich małżeństwa. Nie przeszła niezauważona. Tyle że jej nie skomentował.

Czy aixañczycy w ogóle kiedykolwiek pracują, idą do domów, idą spać? - zastanawiał się Gerhard Rösch, kiedy pośpiesznie otwierał nową paczkę z papierowymi talerzami i układał je przed sobą na stole. Jego sąsiad z Tybingi (który rok temu spędzał w Aix Boże Narodzenie i odwiedził tutejszy Jarmark Miast Partnerskich) zasugerował, by Gerhard wystąpił o licencję na sprzedaż swojego sera, kiełbas i knedli. To była doskonała rada, bo on i Anna desperacko potrzebowali pieniędzy. Nikt w Aix nie będzie wiedział, że wszystko, co posiadali w Tybindze, to budka z przekąskami.

Gerhard miał pewność, że jego wyroby są dobrej jakości, ale interes w ich miasteczku bardzo ucierpiał, kiedy lokalne liceum przeniosło się do nowego budynku, o cztery kwartały od jego popularnej budki. Uczniowie liceum przez lata byli wiernymi klientami i oboje z Anną uwielbiali zawieszać na ścianie pocztówki od dawnych licealistów, którzy teraz studiowali, podróżowali (stąd te kartki), podjęli pracę, niektórzy założyli rodziny. Synowie Röschów, Edmund i Clovis, studiowali

stomatologię na wydziale medycyny i właśnie wtedy, kiedy najbardziej potrzebowali wsparcia rodziców, roczny przychód Gerharda i Anny okazał się najniższy w ich dwudziestopięcioletniej karierze zawodowej.

Przed ich namiotem utworzyła się niewielka kolejka i zauważył, że Anna się uśmiecha i intensywnie słucha. Mówiła po francusku dużo lepiej niż on. Odwróciła się w jego stronę i odezwała się po niemiecku z zaśpiewem z jej rodzinnego Schwarzwaldu. Prosiła Gerharda, by podał dwie zupy z kołdunami. Wziął papierowe miseczki – zadowolony, że przywieźli ze sobą te droższe, grubsze – i nalał zupę, wiedząc, że francuscy klienci zachwycają się jego kołdunami z przepisu przekazywanego w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie.

Zerknął w górę i naprzeciwko ich namiotu zobaczył młodą kobietę, która stała wyprostowana, opierając się o lampę, i mu się przyglądała. Rozpoznał w niej France – nie mógł przypomnieć sobie jej nazwiska – dziewczynę z angielskiego kościoła. Właściwie już nie była dziewczyną, miała co najmniej dziesięć lat więcej niż jego synowie. Wcześniej tego popołudnia zgodził się, że wraz z Anną dołoży się do kolacji w katedrze, nawet jeśli zmniejszy to ich zarobki. Nie chciał, by tylko ich miasto nie wzięło w tym udziału. Ponad parą z knedli i oślepiającymi bożonarodzeniowymi światełkami nie mógł dostrzec, czy France patrzy na niego, czy na Annę. W pewnej chwili do France podszedł Amerykanin – młody mężczyzna, który nie przestawał głośno zachęcać do kupowania kanapek – i powiedział jej coś do ucha. Cofnęła się, Amerykanin zaś zrobił krok za nią i chwycił ją za ramię. Kobieta skrzywiła się, strąciła jego dłoń i szybko ruszyła w tłum. Gerhard zamarł, nie wiedząc, czy ma za nią pobiec i sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy, czy też iść i pogrozić Amerykaninowi, który teraz z rękoma w kieszeniach i uśmiechem na twarzy wracał do swego namiotu.

Pomimo kolejki Anna także zauważyła, że France obserwuje ich stanowisko. Ale w przeciwieństwie do Gerharda zupełnie nie była tym zakłopotana.



## 5.

Jadąc samochodem, Damien Petit obiecywał sobie, że nie da się Cole'owi Hainsby'emu wyprowadzić z równowagi. Ani przestraszyć tym, co robi. Co Cole myślał, zwracając się o pożyczkę właśnie do nich? Nie dalej jak przed miesiącem Petit czytał zatrwajający wstępniak w „Le Point” poświęcony korsykańskiej mafii z południa Francji.

Zatrzymał samochód przed domem Hainsby'ego, zadowolony, że tu się dzisiaj spotykają. Lubił Debrę i trochę jej współczuł życia z Cole'em. Jako kawaler, Damien zawsze doceniał domowy posiłek, a Debra należała do tych ekspatów, którzy z determinacją dążyli do mistrzowskiego wykonania każdego dania z francuskiej kuchni.

- *Bonsoir!* - zawołał Cole z otwartych drzwi frontowych.

Damien uśmiechnął się, myśląc, że może zbyt surowo oceniał swojego współnika. Poza tym Amerykanie, który zgłaszali się na ich wycieczki, lubili ten jego entuzjizm.

- Dzień dobry - odparł Damien, wręczając Cole'owi butelkę miejscowego czerwonego wina.

- „Hélène Paulik” - przeczytał Cole z naklejki. - Kobieta!

- Tak! Wyobraź sobie! - odpowiedział Damien, zdając sobie sprawę, że mówi teraz tak samo głośno jak gospodarz i lekko się z nim droczy.

Wszedł do pokoju dziennego, gdzie ku swojemu zadowoleniu zobaczył płonący w kominku ogień. Na dworze było zimno - zmarzł mu nos, a tego nie znosił - i wiał wiatr. Damien wychował się w Nicei i zawsze zaskakiwały go chłodne zimy w

tej części Prowansji. Nie mogli tu nawet uprawiać drzew cytrynowych.

- Dzieci są na górze - poinformował go Cole, biorąc jego płaszcz. - Już jadły.

Damien pomyślał o swojej rodzinie w Nicei, o tym, że zawsze jadali razem, nawet w tygodniu. Właśnie miał zapytać, czy to jest taki amerykański zwyczaj jeść osobno, ale z kuchni wyszła Debra, wycierając ręce w ściereczkę.

- Nie mogły czekać, przepraszam - wyjaśniła. - Poza tym, ponieważ będziemy rozmawiać o wycieczkach, pozwoliłam tym razem, by zjadły w swoich pokojach. Mają też dużo pracy domowej.

- Nic nie szkodzi - zapewnił ją Damien. - Pozdrów je ode mnie.

- Dzieci! - rozdarł się Cole. - Zejdźcie i przywitajcie się z Damienem!

Damien usłyszał głośne tupanie i przypomniał sobie, że dzieci zawsze biegają, nigdy nie chodzą. Mary - zgadywał, że miała około trzynastu lat - dała mu bises, a młodszy o rok Sean uścisnął mu rękę. Wróciły na górę równie szybko, jak się pojawiły.

- Daj znać, mamó, kiedy będziesz podawała deser - zawołał Sean ze szczytu schodów.

Debra uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Tarta cytrynowa - powiedziała.

- W stylu francuskim - wtrącił się Cole. - Bez bezy.

- O, pycha - ucieszył się Damien, myśląc o drzewku cytrynowym w ogrodzie jego rodziców w Nicei, które teraz z pewnością pokryte było owocami.

- Cole, nalej Damienowi kieliszek białego wina, a ja podgrzeję talerze.

Pod wpływem cudownych zapachów płynących z kuchni Damienowi zaburczało w brzuchu.

- Dziękuję - powiedział, kiedy Cole wręczył mu kieliszek z winem.

- Mam naprawdę wspaniały pomysł na wycieczkę - oznajmił gospodarz i usiadł.

- Naprawdę? - Damien poczęstował się kilkoma solonymi migdałami z miseczki stojącej na stoliku. Był głodny i miał nadzieję, że mu wypada, chociaż gospodarz mu ich nie zaoferował.

- Poczekaj, aż przyjdę, Cole! - krzyknęła Debra z kuchni.

Czyżby musiała zatwierdzać wszystkie jego pomysły? - zastanawiał się Damien.

Zatem mężczyźni zaczęli rozmawiać o Aix, narzekając na trwające prace budowlane, a potem przeszli na temat zwycięskiej passy marsylskiej drużyny piłki nożnej.

- *A table!* - powiedziała Debra, trzymając przez rękawice kuchenne duże naczynie żaroodporne.

- Kurczak w winie - rzekł Cole, zacierając ręce.

- Cole, czy możesz otworzyć wino od Damiena? - zapytała Debra i ponownie znikła w kuchni.

- Oczywiście! - Jej mąż podskoczył od stołu, zastanawiając się głośno, gdzie jest korkociąg.

- Na bocznym stoliku! - zawołała Debra.

Damien uśmiechnął się, zadowolony, że nie jest żonaty. Wydawało mu się, że Debra bardzo się zmieniła przez ostatni rok, nawet przez kilka miesięcy. Tak jakby stała się bardziej dojrzała, starsza. Nie, raczej silniejsza. Patrzył, jak Cole otwiera butelkę i nalewa do każdego kieliszka zbyt dużą, jego zdaniem, ilość wina. Debra ponownie wyszła z kuchni, niosąc następną potrawę. Usiadła, spojrzała na kieliszki i westchnęła.

Zauważyła, że Damien się jej przygląda, i z uśmiechem nałożyła mu porcję kurczaka z ziemniaczanym purée.

- Purée - ucieszył się Damien, uśmiechając się w odpowiedzi. - To jedna z moich ulubionych potraw, Debra, a twoje wygląda na bardzo gładkie.

- *Du beurre, du beurre, et encore du beurre* - zacytowała Debra.

- Escoffier, *bien sûr* - rzekł ze śmiechem Damien.

- Kto to? - zainteresował się Cole.

- Dziewiętnastowieczny autor książek kulinarnych - wyjaśniła Debra. - Wycieczka kulinarna... - mówiła dalej, próbując kurczaka. Uznała, że tym razem doskonale udało jej się dobrać proporcje czerwonego wina, mięsa, grzybów i słonego bekonu. - Czy to nie byłoby ciekawe? Od zawsze do Prowansji przyjeżdżają z zagranicy pisarze zajmujący się kuchnią.

Cole skrzywił nos, jedząc kolację, ale Debra widziała, że tak naprawdę nie zauważa smaku potraw.

- Mam lepszy pomysł - oznajmił. Odłożył widelec i przenosił wzrok z Damiena na Debrę i z powrotem.

- Cole, firma traci pieniądze... - zwróciła mu uwagę Debra.

- To rzuci was na kolana - zapewnił ich Cole, oczy błyszczały mu z podniecenia. - Wycieczka z solą w temacie.

- Próbowanie soli? - zapytał Damien, pokaszując.

- Starożytny szlak solny. Od dwóch tysięcy lat przewozili tutaj sól!

- To prawda - przytaknął Damien. - To mogło być ekscytujące w przeszłości, z tymi wszystkimi rzymskimi drogami i bandami złodziei, ukrywającymi się wzdłuż trasy, ale nie jestem pewien, czy dzisiejszy podróżnik - celowo nie użył słowa „turysta” - zechce to oglądać.

Cole mówił dalej, jakby go nie słyszał:

- Moglibyśmy zaczynać w Camargue, gdzie wciąż pozyskują sól, potem jechać wzdłuż brzegu morza aż do Ventimiglia w Ligurii, następnie wybierać się w góry, wzdłuż szlaku. Korzystał z niego nawet Hannibal.

Debra przechyliła głowę i zasugerowała:

- A może sól mogłaby być przewodnim tematem posiłków serwowanych po drodze? W zeszłym tygodniu próbowałam fantastycznej dorady pieczonej w całości w skorupie z soli.

Cole spojrzał w górę.

- Gdzie to było?

- W Marsylii - odpowiedziała Debra pośpiesznie. - Byliśmy tam służbowo.

- Jedzenie mogłoby odgrywać w tym jakąś małą rolę - powiedział Cole. - Ale przede wszystkim będziemy po drodze organizować pikniki. Taki twardy powrót do natury, jak za dawnych, dobrych czasów.

- Nie masz chyba na myśli średniowiecza? - zapytała Debra, nie próbując ukryć swojej irytacji.

- Bez sztucców? - zaniepokoił się Damien.

- Jeszcze nie przemyślałem szczegółów - odparł Cole, nie zauważając sarkazmu współnika. Wyrzucił ręce w powietrze. - Mam fioła na punkcie historii! Dajcie mi spokój!

- Proszę, dolej gościowi trochę wina - powiedziała Debra zdecydowanie.

- Cole - rzekł Damien, pochylając się do przodu. - Tak jak zauważyła Debra, firma cienko przedzie. Zamówionych wycieczek mamy tyle, co kot napłakał, na stronie internetowej zainteresowanie prawie żadne. - Pomyślał o tym, czy Debra wie o małym interesie Cole'a z Korsykanami, i nerwowo przełknął ślinę.

- To na pewno się przyjmie - upierał się Cole.

Damien podniósł głos.

- Cole, to poważna sprawa. Żeby rozkręcić tę firmę, zainwestowałem spadek po mojej ukochanej ciotecznej babci. Naprawdę nie sądzę, aby Amerykanie pisali się na objeżdżanie szlaku solnego i piknikowanie na zimnej, wilgotnej ziemi.

- Damien ma rację - powiedziała Debra, w jakimś stopniu współczuła mężowi jego żalostnej naiwności. - Wasi klienci będą chcieli chodzić do pięknych restauracji, zobaczyć jakieś atrakcje historyczne i kulturalne, kupić miejscowe produkty i wrócić do domu.

- No właśnie - przytaknął Damien, starając się pozyskać uwagę Cole'a. - Miałem też pytania od rowerzystów, czy zorganizujemy wycieczkę specjalnie dla nich. Z furgonetką na przedzie, która weźmie bagaż.

- Przez całe średniowiecze monopol na sól mieli książęta Prowansji - kontynuował Cole, niezrażony. - Aż do Piemontu. Potem wkroczyli w to lordowie Savoy, ale nie najlepiej pamiętam ich losy.

Debra wyłączyła się z rozmowy i skupiła na smaku przesiąkniętego winem kurczaka. Chciałaby znaleźć się gdzie indziej. Damien zatrzymał nieco wina na języku i starał się lepiej zbadać jego walory. W tej chwili zauważał jedynie aromat ziemi. Ziemisty smak mojego grobu - pomyślał gorzko - kiedy Korsykanie przyjdą do nas odebrać swój dług.

W jednym z mieszkań w centrum, w przytulnym salonie u Fanny Jaquet ten wieczór przybrał formę aperitifów w gronie czterech koleżanek. Jeżeli klienci bistra Fanny czuli się w nim jak w domu, to także dlatego, że przeniosła tam styl swojego mieszkania: wyraziste kolory, mnóstwo paproci w doniczkach. Miała obsesję na punkcie tych roślin. Ściany były pomalowane na ciemnoczerwono, czy też, jak wołała mówić Fanny, na kolor cykorii. Mała sofa obita była zielonym aksamitem, a naprzeciwko niej, oddzielone stolikiem kawowym z lat

siedemdziesiątych ze szklanym blatem, stały dwa niebieskie fotele, nie od kompletu, każdy w innym odcieniu.

Pierwsza zjawiała się Rachida Hammoudi i jak zwykle rozejrzała się po mieszkaniu, zastanawiając się, jak ktokolwiek może w takim lokum wytrzymać. Jej własne, znajdujące się tuż za rogiem przy rue Emeric David, tchnęło spokojem. Taki spokój we wnętrzach widziała podczas wycieczki do Sztokholmu i u swoich trzech kolejnych chłopaków, Szweda, Fina i Duńczyka. Rachida pracowała w często odwiedzanej przez klientów aptece przy Cours Mirabeau i kiedy wracała do domu, pragnęła znaleźć się w otoczeniu kremowych barw, białych świec i beżowych narzut (oczywiście z naturalnych tkanin). Rośliny we wnętrzu także były w złym guście, pomyślała, czy kiedykolwiek można je zobaczyć w eleganckim czasopiśmie wnętrzarskim? Nigdy. Rachida usiadła na sofie i zaczęła układać leżące na stoliku czasopisma w równy stosik. W tym czasie Fanny przygotowywała w kuchni przekąski.

- Dida, wiem, że sprzątasz - zawołała z kuchni gospodyni, rozsmarowując zeszkloną cebulkę na świeżo zrobionym, surowym cieście. Palcami układała na niej filety z anchois w kształt wiatraczków.

- Tylko robię trochę miejsca - mruknęła Rachida, trzymając czasopisma i zastanawiając się, co z nimi zrobić. Wzruszyła ramionami i upchnęła je pod sofą.

Fanny odsunęła tartę na bok i odwróciła się, by włączyć piekarnik. Wyszła z kuchni z korkociągiem i butelką schłodzonego białego wina.

- Możesz otworzyć? - zapytała i wręczyła butelkę Rachidzie. Rozległ się dzwonek domofonu, więc podeszła i podniosła słuchawkę. - Cześć, Jennifer - przywitała się. - Trzecie piętro, ostatnie. - Rozłączyła się i rzekła do Rachidy: - To Jennifer, znajoma ze Stanów. Kto wie, kiedy przyjdzie Brigitte?

- Ona jest zawsze ostatnia - skomentowała Rachida, otwierając wino. - Musi najpierw położyć dzieci do łóżka. Czy Jennifer mówi po francusku?

- Oczywiście! - odparła Fanny. - To ona zaopatruje moje bistro w te wspaniałe ciasta.

- Och, wiem - westchnęła Rachida. - Moje biodra je znają.

Fanny spojrzała na swoją wysoką, elegancką koleżankę z podziwem, ale nie zazdrością. Rachida mogła jeść jak nastolatka, a mimo to nigdy nie przybierała na wadze. Fanny chciałaby mieć też jej włosy, gęste, czarne i kręcone, oraz nieskazitelną brązową cerę. Wiedziała jednak, że ludzie o takim kolorze skóry musieli mierzyć się z innymi problemami w tej konserwatywnej społeczności.

Po chwili przyszła Jennifer i gospodyni dokonała prezentacji. Rachidzie spodobały się rude, kręcone włosy Jennifer i jej piegi, duże wrażenie zrobiła na niej kreacja żony pastora: krótka spódniczka i jedwabna bluzka ze sklepu Sandro. Rachida miała teraz obsesję na punkcie tej marki.

- Mówisz bardzo dobrze po francusku - odezwała się, napełniając kieliszek Jennifer.

- Dzięki - odparła Amerykanka. - Przez rok studiowałam we Francji, i to tutaj, w Aix.

- Tak jak Bradley Cooper! - zawołały Rachida i Fanny jednocześnie, Rachida udawała przy tym, że mdleje.

Po dziesięciu minutach przyszła też Brigitte Plantier. Wyglądała na wykończoną.

- Wino proszę, dowolnego koloru - powiedziała, padając na kanapę obok Rachidy.

Fanny podała ciepłą tartę na staromodnych talerzach.

- Czy to *pissaladière*? - zapytała Jennifer. - Nigdy jej nie robiłam.

- Och, to takie proste - odparła Fanny. - Lubisz anchois?



- Oczywiście - skłamała Jennifer.

Ugryzła kęs, wiedząc, że może popić tę obslizgłą rybę łykiem białego wina. Poczuła sól, smak ryby na szczęście pozostawał w tle. Przesunęła w stronę Rachidy talerz z cienko pokrojonym salami, ale ta powstrzymała ją ruchem dłoni.

- O, przepraszam! - powiedziała Jennifer. - Chodzi o wieprzowinę, prawda?

Brigitte prychnęła.

- Nie jada wieprzowiny, ale pije jak smok - skomentowała.

- Idę na pewne ustępstwa. - Rachida uśmiechnęła się szeroko i sięgnęła po garść orzeszków nerkowca.

- Ile masz dzieci, Brigitte? - zapytała Jennifer, wiedząc, że Fanny i Rachida są singielkami.

- Dwoje, a ty?

- Też dwoje - odparła Jennifer. - Pracujesz?

Brigitte upiła duży łyk wina.

- Tak, uczę literatury francuskiej w prywatnym liceum.

- Four Seasons? - zainteresowała się Jennifer.

- Tak! Czy twoje dzieci tam chodzą?

- Nie, oboje uczą się w École Sallier.

- I całe szczęście - skomentowała Fanny. - Ja też wysłałabym swoje dzieci do francuskiej szkoły.

- Tak, trzeba rzucić je na głęboką wodę - zgodziła się z nią Rachida.

Brigitte i Jennifer wymieniły spojrzenia, przyjmując rady od bezdzietnych koleżanek.

- Nie wolałabyś uczyć w szkole publicznej? - dociekała Jennifer.

- Nie zdobyłam francuskich uprawnień - wyjaśniła Brigitte.

- Mieszkałam w Montrealu - mój mąż jest z Quebecu - i kiedy zaszłam w pierwszą ciążę, przeprowadziliśmy się tutaj, by być bliżej mojej rodziny. Drugie dziecko pojawiło się rok później,

więc nigdy tak naprawdę nie miałam czasu, by zdać egzaminy. I choć jestem magistrem literatury francuskiej, pozostaję na łasce Alaina Sorby.

Jennifer skinęła głową, nie wspominając o tym, że zna Sorbę poprzez kościół swojego męża.

- Nauczyciele lepiej zarabiają tu w oświacie publicznej, prawda?

- Mniej godzin, lepsze płace i niezła emerytura - wyjaśniła Brigitte.

- Poza tym tutaj, we Francji, do prywatnych szkół chodzą tylko rozpuszczone bachory - oznajmiła Rachida.

- Dida - odezwała się Fanny. - Przesadzasz.

- Nie, można to powiedzieć o większości francuskich uczniów - stwierdziła Brigitte. - Ale dzieciaki z innych krajów są wspaniałe. - Tu przyszła jej na myśl Mary Hainsby.

Fanny przeprosiła i ruszyła do kuchni po kolejne danie - zupę grzybową ze śmietaną i trybulą, swoją nową ulubioną przyprawą. W tym czasie rozmowa zeszła na ostatni film Paola Sorrentino, który Jennifer na szczęście obejrzała w jednym z dwóch kin studyjnych w centrum.

- Przyniosę drugą butelkę wina - zawołała Fanny z kuchni.

- Raczej trzecią - odkrzyknęła Brigitte.

- Już trzecia? - Fanny wystawiła głowę zza framugi. - Wszystkie przyszłyście pieszo, prawda?

- Tak! - zapewniły jednym głosem.

- Och, prawie bym zapomniała! Parę dni temu widziałam Margaux Perrot - odezwała się Rachida. - Na Cours. Szła ze swoim mężem i naszym sędzią śledczym.

- Jej dzieci też uczą się w Four Seasons.

- Sędzia Verlaque jak zwykle był ponury - mówiła dalej Rachida.

- Może nie lubi tych świątecznych stoisk albo Bożego Narodzenia w ogóle - zasugerowała Jennifer.

Fanny pojawiła się ponownie, niosąc tacę z czterema miseczkami z zupą.

- Z tymi stoiskami to możesz mieć rację. Antoine Verlaque ciągle jada w moim bistrze i z pewnością nie jest ponury.

- A ja chodziłam z jego żoną do liceum - oznajmiła Brigitte. - Czy to nadaje się do małomiasteczkowych plotek?

- Już się zagubiłam - powiedziała Jennifer.

Fanny podawała miseczki, tłumacząc się:

- Przepraszam, nie przygotowałam zupy tak, jak to zwykle robię, z kruchym ciastem na wierzchu.

- No cóż, jeśli tak, to wychodzę - droczyła się Rachida, rzucając serwetkę na stolik kawowy.

- Co robiłyście przez cały dzień? - zapytała Brigitte ze śmiechem. - Mogłyście chociaż kupić gotowe kruche ciasto w Monoprixie.

Kiedy Fanny podawała łyżki i materiałowe serwetki, ręce trzęsły się jej ze śmiechu.

- Nigdy w życiu... nie kupiłam... gotowego ciasta. Nawet bym nie wiedziała, gdzie go szukać.

- W lodówkach, obok mleka i masła - odpowiedziały Jennifer i Brigitte unisono.

## 6.

Był słoneczny i zimny poranek, kiedy wielebny Dave Flanagan szedł z rękoma w kieszeniach i pogwizdywał melodię *All Things Bright and Beautiful*. Lubił chodzić pieszo ze swojego służbowego mieszkania w La Torse, trochę na wschód od centrum, do kościoła. Cieszył się, że je otrzymał i że znajdowało się tak blisko śródmieścia. Kościół stał przy małej uliczce na wschód od dużo większej świątyni - La Madeleine. Budynek niczym się nie wyróżniał, został zbudowany w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych dla mieszkających w okolicach Aix anglikanów - głównie pochodzących z Anglii. Jednonawowa budowla mieściła nieco ponad dwustu wiernych.

Na rue des Brenton zatrzymał się, by przeczytać stary napis na ścianie, którego wcześniej nie zauważył. Teraz jednak światło słoneczne padało prosto na wyblakłe litery i udało mu się odczytać jedno ze słów: „ulica” po angielsku. Spojrzał w górę, mrużąc oczy, i zdumiony odkrył, że nie tylko to jedno słowo, ale cały tekst zapisano po angielsku. Zaczął nucić inną melodię - kolędę *Hope Was Born This Night* - i komórką zrobił zdjęcie napisu.

- „Amerykanom i Kanadyjczykom wstęp na tę ulicę wzbroniony” - czytał Dave, zatrzymując się na każdym słowie, by odcyfrować wyblakłe litery. - Co, u licha? - Potrząsnął głową, zdezorientowany.

- *Mais oui - usłyszał za sobą męski głos. - Interdit aux soldats Américains!*

- *Et les Canadiens apparemment!* - odparł Dave, uśmiechając się do starszego mężczyzny, który stanął obok

niego. – Ale dlaczego? *Pourquoi?*

Starszy mężczyzna z zaczerwienioną od chłodu, drobną twarzą wskazał na gmach przed nimi, który według Dave’a wyglądał jak każdy inny stary budynek w Aix.

– *Une maison close!* – odezwał się.

– Zamknięty dom? – powtórzył Dave. Nie rozumiał, co oznaczało francuskie słowo *close*. Czy pochodziło z angielskiego? Posłużył się gestem i skrzyżował ręce w literę „x”. – Zamknięty? *Fermée?*

Starszy pan roześmiał się, chwytając Dave’a za przedramię.

– *Mais non!* Absolutnie nie zamknięty! – Znowu się roześmiał. – Bardzo otwarty! – Teraz to on wykonał gest rękoma – pokazał kształtną kobietę o dużym biuście.

– Dobry Boże – zdumiał się Dave. – Dom publiczny? Burdel?

– *Mais si! Un bordel!*

Dave był zadowolony ze swojej francuszczyzny, wiedział, że si to bardzo emocjonalne „tak”. Teraz zdał sobie sprawę, co jego francuscy koledzy mieli na myśli, używając słowa *un bordel*, gdy w biurze Dave’a panował bałagan.

– Ale skąd zakaz dla zagranicznych żołnierzy? – zapytał.

– Le Claridge należało do najlepszych takich przybytków w Aix – powiedział szybko po francusku starszy mężczyzna. Dave, zaciekawiony, pochylił się w jego stronę, starając się zrozumieć jak najwięcej. – Klienci pochodzili z aixańskiej elity i nie życzyli sobie, żeby hałaśliwi żołdacy zakłócali im, mhm, spokój.

– Czy te miejsca były legalne?

– Oczywiście! Aż do 1946. W Aix było kilka burdeli, w Paryżu całe setki.

– Naprawdę?

– Ale nie musi pan współczuć waszym chłopcom – mówił dalej starszy pan. – Mieli dokąd iść.

– Tak? – zapytał Dave, zaszokowany.

- Les Milles! La Pioline.

- Tam, gdzie jest supermarket?

Mężczyzna roześmiał się.

- Miłego dnia - powiedział. - W najbliższych dniach ma się ochłodzić.

Dave wyciągnął rękę i uściśnął dłoń mężczyzny, który uprzejmie zdjął swoją skórzaną rękawiczkę.

- Dziękuję za tę lekcję historii - odezwał się Dave.

- Aix kryje wiele niespodzianek - odparł starszy pan. - Trzeba się po prostu uważnie rozglądać. Mieszkam przy tej ulicy, widzę, jak ludzie mijają ten znak. Pan się zatrzymał.

Dave uśmiechnął się, polechtany tymi słowami.

- Czasem jestem za bardzo ciekawski - rzekł. - Przez to często się spóźniam!

Spojrzał na swój zegarek i roześmiał się - dochodziła dziewiąta trzydzieści, a on zaraz miał prowadzić spotkanie połączone z lunchem z parafianami, którzy będą pomagać przy bożonarodzeniowej mszy w niedzielę.

Starszy człowiek uśmiechnął się, zasalutował i odszedł w dół ulicy. Dave patrzył za nim, podziwiając jego wyprostowaną sylwetkę i elegancki strój. Spojrzał w górę na Le Claridge, na białe koronkowe firanki w oknach i skrzynki na kwiaty. Czy ten starszy pan mieszkał w Aix przed 1946? Dave szybko policzył - jeżeli miał osiemdziesiąt kilka albo dziewięćdziesiąt kilka lat, musiał urodzić się około 1925 roku. Zatem w chwili zamknięcia Le Claridge był mniej więcej dwudziestolatkiem. Wielebny zadrżał i ruszył dalej, jednocześnie rozbawiony i poruszony tym, że jego nowy znajomy mógł należeć do klientów tego miejsca. A może przychodził tu jego ojciec? Czy matka wysyłała po niego chłopca? „Ruszaj, synu, biegiem, przyprowadź tatę! Znowu poszedł do tego przeklętego Claridge!” Dave zaczął nucić, starając się wyrzucić z głowy ten ponury scenariusz. Za

to z wielką przyjemnością opowie Jennifer, swojej żonie, o napisie i historii opowiedzianej przez przechodnia. Ona była dużo bardziej liberalna niż on. Poza tym lubiła francuską kinematografię.

Jennifer Flanagan pomagała France Dubois przenosić naczynia z kuchni kościoła protestanckiego do małej, ale często wykorzystywanej sali jadalnej. Właśnie miał się tu spotkać komitet organizacyjny niedzielnego koncertu kolęd i krótko omówić przebieg wydarzenia. Jako żona pastora Jennifer nie musiała pomagać w tym spotkaniu, ale zawsze lubiła to robić, szczególnie teraz, gdyż ten dzień był dla jej męża jednym z najważniejszych w roku. - Przepraszam, France, ale dzisiaj ruszam się jak mucha w smole - powiedziała. - Wczoraj miałam spotkanie z koleżankami.

Właśnie miała podać kilka szczegółów, kiedy zdała sobie sprawę, że może zranić uczucia France. Zastanawiała się, czy dziewczyna ma przyjaciół. Co pomyślałaby o wieczorze u Fanny?

- To bardzo miło z twojej strony, że mi pomagasz - odparła France bez cienia zazdrości czy smutku w głosie. - Są też Hainsby'owie, McGregorowie i M. Sorba.

- Alain Sorba? - zainteresowała się Jennifer, myśląc o Brigitte i jej pracy w prywatnej szkole. - Dlaczego przyszedł?

- Kilkoro dzieci z dwujęzycznej szkoły pomaga w czasie nabożeństwa i potem w kolacji z partnerskimi miastami.

- Ach, to ma sens - uznała Jennifer. Właśnie miała zapytać, gdzie jest chleb, gdy z jadalni dobiegł brzęk tłuczonego szkła.

- Przepraszam, France - powiedziała Debra Hainsby, wpadając biegiem do małej kuchni. - Cole tak gestykulował... To był kieliszek do wina... Zajmę się tym.

- Zmiotka jest pod zlewem - zawołała France przez ramię i weszła do sali jadalnej. Na dużym drewnianym stole, który razem z wielebnym Dave'em przenieśli wcześniej na środek

sali, postawiła talerz z francuską zapiekanką. – Quiche lorraine dla wszystkich – zawołała!

– Czy jest z bekonem? – chciał wiedzieć Cole.

– Tak, oczywiście – odparła France, starając się nie okazać irytacji. Chciała dodać: Quiche lorraine zawsze jest z bekonem.

– Dlaczego pytasz, Cole? Nie jadasz mięsa?

– Jestem wegetarianinem – wyjaśnił Cole.

– Od wczoraj – dodała Debra Hainsby, wchodząc do sali ze zmiotką i szufelką.

– Pomogę ci – zaofiarował się Dave Flanagan i ukląkł na jedno kolano z szufelką w ręku.

– Jest też quiche z pomidorami i bazylią – powiedziała Jennifer Flanagan. – Zaraz przyniosę.

– We Francji niełatwo być wegetarianinem – stwierdził Alain Sorba.

– Och, tutaj się nie zgodzę – odparł Cole, chwycił garść orzeszków ziemnych i wrzucił połowę do ust. Kilka spadło na podłogę. Sorba się skrzywił. – Zwłaszcza tutaj, w Prowansji.

– Może rzeczywiście – odrzekł powoli Sorba po angielsku, ale z silnym francuskim akcentem. – Tu jest dużo ryb.

Cole Hainsby pokręcił głową.

– Ryb także nie jadasz? – zdumiał się Sorba, mrużąc swoje ciemne oczy.

– Nie, nigdy nie lubiłem ich smaku.

– Cóż, dzięki tej diecie zaoszczędzisz dużo pieniędzy! – stwierdził Jim McGregor.

– Jim, to brzmi aż za bardzo po szkocku – powiedziała po angielsku jego żona Claudie i ujęła go pod ramię. France z jej uśmiechniętej twarzy wyczytała, że kobieta żartuje, drażni się z mężem. France miała wrażenie, że Claudie, choć urodziła się w Aix, przyswoiła sobie sarkastyczne poczucie humoru Brytyjczyków.



- Dzisiejsze poranne spotkanie było bardzo owocne - obwieścił wielebny Dave, podnosząc butelkę czerwonego wina.  
- Więc proponuję, byśmy pozwolili sobie na mały toast i z góry pogratulowali sobie wspaniałego, mam nadzieję, nabożeństwa bożonarodzeniowego.

- Prawdziwe kieliszki do wina - zauważył Alain Sorba, podnosząc jeden, by mu się przyjrzeć. - Jestem pod wrażeniem.

- Uparłam się - wyjaśniła Jennifer Flanagan. - Kiedy tu przyjechaliśmy, w kuchni znaleźliśmy mnóstwo plastikowych. Nie tylko szkodzą środowisku, ale zmieniają smak wina.

- Racja! Dobrze mówi! - zawołał Jim McGregor, podnosząc kieliszek. - Dokonałaś bardzo dobrej inwestycji w imieniu naszego małego kościoła.

- *Jamais! Jamais!* - wzdrygnęła się Claudie McGregor. - Nigdy nie wypilałabym wina z plastiku, nawet gdyby było ono z jakiejś niższej półki, *non?*

- Chciałbym podziękować za przekazanie nam pałeczki - odezwał się Cole Hainsby i uniósł swój kieliszek w stronę McGregorów, nie zauważając, że czerwone wino niebezpiecznie zbliża się do rantu kieliszka. - Debra i ja jesteśmy zachwyceni, mogąc poprowadzić tegoroczne śpiewanie kolęd.

- Nie ma potrzeby, byś nam dziękował - powiedziała Claudie, sznurując usta.

France wiedziała, co Claudie ma na myśli - decyzja nie należała do nich. Cole Hainsby tak długo zawracał głowę nowemu pastorowi, że ten wreszcie się poddał. McGregorowie prowadzili to nabożeństwo od lat.

- Będziecie świetni - powiedział Alain Sorba, patrząc na Debrę Hainsby.

Debra uśmiechnęła się, odwzajemniła spojrzenie i zaczerwieniła się.

France, lekko zmieszana, zaczęła podawać quiche, Dave nalewał wino, a tym, którzy woleli – wodę gazowaną. Jennifer podeszła, by pomóc France. Serwując danie, rozmawiały o miastach partnerskich. Jennifer zauważyła, jak były hojne – nie tylko uczestniczyły w nabożeństwie, lecz także przekazywały różne potrawy na późniejszą kolację.

- O, tak – potwierdziła France. – Szczególnie podekscytowani byli Włosi.

Jennifer roześmiała się.

- Tak, właśnie po nich bym się tego spodziewała. Czy Amerykanie też pomagają?

- Tak.

Jennifer spojrzała na France, oczekując, że ta powie coś jeszcze, ale dziewczyna kręciła kieliszkiem, patrząc, jak wino spływa po ściankach. Z całą pewnością była dziwaczką.

- Tylko Niemcy zareagowali z rezerwą, prawie tak, jakby nie mogli się zdecydować.

- Nie chcę powiedzieć, że to wydaje się bardzo niemieckie – skomentowała Jennifer. – Właśnie zgodnie ze stereotypem oceniłam Włochów.

- Spotkałam szczodrych, towarzyskich Niemców – zauważyła France.

- Ja też – odparła Jennifer, kiwając głową. – Po raz pierwszy są w Aix, prawda? Być może są nieśmiali albo nie wiedzą, czego oczekiwać.

- Tak, właśnie tak myślałam – powiedziała France. – Poza tym nie każdy lubi chodzić do kościoła.

- Ale tak naprawdę chodzi o bycie razem i śpiewanie kolęd.

- Tak, wiem, ale czasem...

- Cole! – krzyknęła Debra Hainsby. – To nie jest twój talerz!

France mocno zacisnęła dłonie na swoim talerzu i zerknęła na Jennifer, która odpowiedziała jej spojrzeniem, delikatnym

uśmiechem i wzruszeniem ramion.

- Naprawdę musisz bardziej uważać - powiedziała Debra z westchnieniem. - Jadłeś z talerza Jima McGregora!

- Postawiłem swój na stole dwie sekundy temu - tłumaczył się Cole. - Musiałem je pomylić.

- To żaden problem - zapewnił go Jim McGregor. - To moja wina, postawiłem mój talerz obok twojego i z zachłanności chciałem nalać sobie więcej wina.

- Ty nałożyłeś sobie quiche lorraine, Jim - odezwała się Claudie McGregor. - Nie zauważyłeś tego, Cole?

Alain Sorba roześmiał się z przymusem i powiedział:

- Muzyczne talerze!

Debra Hainsby z hukiem postawiła na stole swój pusty talerz, odwróciła się na pięcie i wybiegła z płaczem.

## 7.

Damien Petit ostrożnie położył swój rower na kępach roślin, które uznał za dziki tymianek. Czuł jego cytrynowy zapach albo wydawało mu się, że go czuje – mieszał się z aromatem sosnowych igieł i innych wolno rosnących ziół, które składały się na *garrigue*<sup>3</sup>. Zdjął swój mały plecak, usiadł na suchej ziemi i oparł plecy o sosnę. Popatrzył na majaczącą w pewnej odległości Mont Sainte-Victoire, obsesję Cézanne’a. Do tej skalistej, białej góry dałoby się dotrzeć rowerem w piętnaście minut, ale ze względu na jej rozmiary wydawało się, że znajduje się dużo bliżej. Miał wrażenie, że mógłby wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Otworzył plecak, wyjął kanapkę z szynką i zaczął jeść, myśląc o tym, jak Cézanne codziennie – nawet gdy skończył sześćdziesiąt lat – pokonywał pieszo dystans, który on sam właśnie przejechał rowerem. Damien chciałby mieć taką obsesję. Oczywiście, kochał różne sporty i znalazł sposób, jak z tego żyć, ale czy pochłaniało go to tak, jak Cézanne’a pochłaniała jego sztuka? Nie, wiedział, że nie.

W trakcie lunchu ubolewał nad tym, że *boulangeries* nigdy nie dodawały musztardy do kanapek z szynką, a potem powędrował myślami do obrazów Cézanne’a. Przypomniał sobie, że tak naprawdę nie doceniał ich do czasu, kiedy była dziewczyna zaciągnęła go do małego muzeum w Paryżu i znalazł się przed jednym z pejzaży artysty. Nie mógł się poruszyć. Do tamtej pory widział już kilka Cézanne’ów, zarówno martwych natur, jak i portretów. Obraz przed jego oczyma przedstawiał zagajnik otwierający się na ciemnozielone sosny, przez które przeziarało błękitne niebo i czerwona ziemia.

Długo się weń wpatrywał, choć dziewczyna ruszyła dalej. Z tabliczki pod malowidłem dowiedział się, że to widok z Le Tholonet, wioski, przez którą właśnie przejechał, a która stała się obecnie domem szwajcarskich milionerów i prezesów paryskich firm. Widok był prawie taki, jaki roztaczał się przed nim teraz. Damien wychował się w Aix i w tamtym muzeum po raz pierwszy zobaczył krajobraz tak mu bliski, który jednak dzięki przeniesieniu na płótno zyskał nowy wymiar. Przekraczał ramy realizmu. Chociaż malarz bardzo wiernie oddał kształty i kolory, to cechowała je pewna przesada, tak charakterystyczna dla Prowansji. Zielenie tak zielone, błękitne niebo tak jasne, że bolały oczy. Pejzaż miał w sobie coś podniosłego.

I właśnie to uwierało go w pracy z Cole'em Hainsbym. Cole nie dostrzegał sztuki i nie potrafił się nią wzruszać. Damien miał świadomość, że sam wciąż się tego uczy (choć ówczesna dziewczyna zniknęła z jego życia) i że wielu dzieł nigdy prawdziwie nie poznał. Ale teraz czuł, że może je zrozumieć. Cole za bardzo się rozpraszał, nie umiał zatrzymać się w jednym miejscu wystarczająco długo, by się skoncentrować. Wciąż myślał nad nowymi rozwiązaniami, które, jak zdążył się przekonać Damien, zazwyczaj okazywały się chybione. Ale Damien, podobnie jak wielu klientów, uległ charyzmie Cole'a, zaraził się jego entuzjazmem. W dużej mierze to w tym tkwił problem – Cole zachwycał się wszystkim. Nie kierował się żadnymi wytycznymi, nie miał też żadnych ograniczeń. Poznając go, przejmowało się jego zapał. Damien zauważył, że zachowanie męża irytowało Debrę Hainsby. Westchnął, jego również Cole irytował. Zadzwoił telefon, Damien spojrzął na niego z rozdrażnieniem. To był Cole.

- Cześć – powiedział, wpatrując się prosto przed siebie na górę.

- Gdzie jesteś?

- Zrobiłem sobie wycieczkę rowerową wokół Mont Sainte-Victoire - odparł Damien. - Pamiętasz? Mówiłem ci, że zamierzam dzisiaj wyruszyć.

- Ach, tak. Posłuchaj, musisz wrócić do Aix. Mam trochę pomysłów na wycieczki po Langwedocji, które moglibyśmy organizować.

- Cole - zaczął Damien, starając się zachować spokój. - Langwedocja to piękne miejsce, ale naszą specjalnością jest Prowansja. Powinniśmy trzymać się jednego regionu. Dzięki temu będziemy bardziej wiarygodni.

- Nie, bo tracimy...

- Poza tym nie mogę teraz wrócić do Aix, bo jeszcze nie objechałem góry. Sprawdzam czas naszej wyprawy dla zaawansowanych rowerzystów.

- Sewenny to naprawdę piękne góry. Jeszcze nie całkiem odkryte...

Damien wyciągnął telefon przed siebie i spojrzał na ekran. Czy Cole w ogóle usłyszał jego argumenty?

- Cole, zgadzam się, że musimy porozmawiać, ale nie o wycieczkach na terenie, o którym nic nie wiemy. Musimy pogadać o spotkaniu, które miałeś w zeszłym tygodniu. Nadal mnie to martwi.

- Jakie spotkanie?

Damien westchnął głośno i zanim odpowiedział, rozejrzał się dookoła. Właśnie miał się odezwać, gdy nagle powstrzymała go myśl, że jego telefon może być na podsłuchu.

- Wiesz jakie - powiedział. - I nie wypowiadaj nazwisk tych ludzi przez telefon!

- To świetni goście. Nie masz pojęcia...

- Nie, nie, Cole. To nie są świetni goście.

- Nawet ich nie poznałeś!

- Wystarczy, że o nich słyszałem - odparł Damien. - Wychowałem się w Aix. To Korsykanie, to... - Znowu się rozejrzał, ale od dziesięciu minut nic nie przejechało obok. Nie słyszał żadnych dźwięków poza śpiewem ptaków i szumem wiatru. - Oni są... niebezpieczni. Nie można po prostu iść do takich typów i prosić o pożyczkę.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi nic takiego w zeszłym roku, kiedy ci o tym mówiłem?

- Ponieważ nie poinformowałeś mnie, że zamierzasz iść po pieniądze do Korsykan. Powiedziałeś „do przyjaciół”. Skąd miałem wiedzieć? A teraz ci przyjaciele chcą, byśmy zwrócili im pożyczkę, prawda? - Damien zerknął przestraszony na telefon. Czy mogli podsłuchiwać ich rozmowę? Z pewnością byli do tego zdolni. Do tego i do czegoś dużo gorszego - bardzo często czytał o ich poczynaniach w „La Provence”. - Powtarzałem ci, że powinniśmy iść do banku po pożyczkę. Ale nie chciałeś słuchać.

- Powiedziałem im, że mamy nowy plan...

- My?

- Tak. Oni wszystko o tobie wiedzą.

Damien poczuł suchość w ustach, taką, że nawet gdyby wiedział, co powiedzieć, nie mógłby tego z siebie wykrztusić. W tym momencie zatrzymał się przy nim czarny trzydrzwiowy sedan marki BMW. Damien przełknął ślinę i spojrzał na swój rower. Czy potrafi wyprzedzić taki wóz? Nie, ponieważ zabrał kolarzówkę, a nie rower górski. Słyszał, że Cole coś mówi, ale koncentrował się na samochodzie, jego marce i kolorze, które zawsze kojarzyły mu się z kryminalistami w Prowansji. Nie widział, ile osób siedziało w środku, gdyż szyby były przyciemniane. Oczywiście. Drżącymi rękoma sięgnął po butelkę z wodą.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę do domu i wezmę prysznic - powiedział do słuchawki, starając się nie jękać.

- Dobrze, tylko się pośpiesz - odrzekł Cole.

Rozłączył się i zaczął wciskać opakowania po lunchu do plecaka. Okno od strony kierowcy w bmw otworzyło się na kilkanaście centymetrów, ale nie na tyle, by Damien mógł dostrzec cokolwiek we wnętrzu. Gwizdał, udając, że nawet nie zauważył samochodu. Kierowca wyłączył silnik i powoli otworzył drzwi. Ukazała się w nich noga w czarnych spodniach i wyjściowych butach. Damien poczuł, że się poci, bo to nie był strój piechura czy turysty. Oddychał głęboko i obmyślał, co robić. Był w dobrej formie, prawdopodobnie lepszej niż bracia Orezzowie razem wzięci. Ale to mu nie pomoże, jeśli oni są uzbrojeni. Wysunięta z samochodu noga się nie poruszała. W pewnej chwili dał się słyszeć głęboki, męski głos.

Damien właśnie miał wstać, kiedy kierowca bmw w końcu ukazał się jego oczom. Był wysoki i szeroki w ramionach, miał na sobie garnitur i krawat, ale zdaniem Damiena był starszy niż bracia z Korsyki. Co najmniej o dwadzieścia lat. Damien nie widział dokładnie jego twarzy, bo obawiał się otwarcie w niego wpatrywać.

Mężczyzna chciał zamknąć drzwi, lecz nagle zatrzymał się, sięgnął do samochodu i podniósł coś z siedzenia. Ruszył w kierunku Damiena, trzymając ten przedmiot w ręku. Damien wstał, przygotowany na ucieczkę w las. Oczywiście potrafi biec szybciej niż ten człowiek. Oparł mocno stopy, czując, jak palce nóg wbijają się w ziemię i tężeją mięśnie łydek. Kiedy mężczyzna znalazł się mniej więcej dziesięć metrów od niego, Damien spiął się przygotowany do sprintu. Wtedy otworzyły się drzwi pasażera i ukazała się w nich starsza kobieta.

- Przepraszam - zawołał mężczyzna łamaną francuszczyzną. Podniósł to, co tak ostrożnie trzymał w ręku. To była mapa. - *Sprechen Sie Deutsch?*

---

3 *Garrigue* - niskopiennie, wiecznie zielone krzewy, które pokrywały wapienne prowansalskie wzgórza; wśród nich m.in. lawenda, rozmaryn i



tymianek.

## 8.

Antoine Verlaque usiadł w pokoju dziennym, w swoim ulubionym fotelu, i położył nogi na stoliku kawowym. Rozciągnął się, zrelaksowany, wspominając miły niedzielny lunch, który właśnie zjadł w towarzystwie żony. Wczesnie rano razem zrobili zakupy na rynku, potem wrócili do swego mieszkania w Aix i zabrali się do gotowania. Każde z nich wybrało potrawę z książki z wiejskimi przepisami, którą Verlaque odziedziczył po dziadkach. Niektóre jej strony były poplamione, inne wysuwały się ze zszycia.

Marine zdecydowała się na *garniture* ze świeżych kasztanów, orzechów włoskich, fenkułu i cebuli. Trzeba było ich obojga i uważnej lektury książki kucharskiej, by pozbawić kasztany twardej łupiny.

- Łatwiej było zdać egzamin adwokacki - zażartował Verlaque. Szybko jednak odkryli, że kilkuminutowe podgrzewanie kasztanów w gorącym oleju sprawia, że łupinka łatwo odchodzi od miąższu. Kiedy wystygły, Marine mogła je obierać, zdejmując łupiny i wewnętrzną skórkę. Choć wcześniej martwiła się, że nie będą miały wyrazistego smaku, to okazały się pyszne - właśnie ich delikatność przypadła im obojgu do gustu. Marine zblendowała perłowe cebule i fenkuły, dodała rosół i masło oraz orzechy wraz z kasztanami.

Potrawa wybrana przez Verlaque'a okazała się mniej czasochłonna w przygotowaniu, ale w jego opinii wcale nie łatwiejsza - chrupiące ziemniaki smażone w tłuszczu z kaczki.

- Muszę wyplukać ziemniaki - narzekał, poprawiając okulary, by zobaczyć małą czcionkę w przepisie. - Dwa razy.

- Yhm - mruknęła Marine, mieszając orzechy włoskie. - A to dlaczego?

- Aby obmyć je ze skrobi, dzięki czemu nie będą przywierały do patelni.

- Więc to chyba dobry pomysł - uznała Marine.

- I mam dodać soli i pieprzu, dopiero gdy zbrązowieją - tłumaczył dalej Verlaque. - Inaczej rozmiękną.

- Kto by pomyślał, że przygotowanie ziemniaków może być tak skomplikowane - skomentowała Marine z szerokim uśmiechem. Nie spodziewała się, że jej mąż wynajdzie w swoich zasobach taką absorbującą książkę kucharską. Ale on nieustannie ją zaskakiwał.

- Ostatnia notka jest zapisana odręcznie - mówił dalej, podnosząc książkę - przez Emmeline.

- Jakie to urocze - skomentowała Marine, patrząc na staranne, pochyłe pismo jego angielskiej babki. - Ona była bardzo wytworna, a czuła się równie dobrze w wysokich, paryskich sferach i na wsi w Normandii.

- Myślisz, że teraz dobrze dzieje się na wsi?

- Raczej nie da się porównać terenów wokół Aix z tymi w Normandii - odparła Marine, odkładając drewnianą łyżkę. - Tu nie ma wielu rolników.

- Tylko właściciele winnic, którzy zarabiają krocie.

- Właśnie - przytaknęła Marine. - Fajnie było tu przenocować i rano pójść na rynek.

- Też tak uważam. Tęsknię do tego mieszkania. Ale kiedy zrobi się ciepło, będziemy mogli codziennie pływać w naszym basenie. W zimie pewnie lepsze jest centrum miasta. A tak zmieniając temat, dlaczego ja gotuję dwa dania, a ty tylko jedno?

- Bo kotlety schabowe usmażysz w minutę - odparła Marine.

- Ale w czym?

Verlaque wzruszył ramionami i podniósł słoik z kaczym tłuszczem, który kupili u rzeźnika.

Marine roześmiała się.

- Oczywiście, głupie pytanie...

Posiłek był przepyszny i Verlaque miałby ochotę zapalić cygaro, ale wiedział, że przy zamkniętych oknach nie byłoby to w porządku wobec Marine. Westchnął i usiadł prosto, kiedy Marine podała mu espresso i cukiernicę.

Podziękował i wsypał sobie cukier niemożliwie małą łyżeczką, którą jego żona najwyraźniej uwielbiała.

- A ty nie pijesz?

- Właśnie wypijałam. Ty się trochę zdrzemnąłeś.

- Naprawdę?

- Tak, ale tylko przez jakieś dziesięć minut. Niedługo musimy iść...

- Dokąd? W takie spokojne niedzielne popołudnie?

- Na bożonarodzeniowe nabożeństwo - wyjaśniła Marine. - Nie mów, że zapomniałeś.

Verlaque jęknął.

Ciągiem pieszym prowadzącym do katedry płynęła rzeka ludzi. Kiedy Marine ujęła go pod ramię, Verlaque zmarszczył brwi.

- Będzie cudownie - powiedziała. - Moja mama nie może się doczekać spotkania z tobą. Podobnie jak Philomène Joubert. Pamiętasz ją, to moja była sąsiadka, śpiewa z *maman* w chórze.

Verlaque prychnął.

- Szalona kobieta z Saint-Jean-de-Malte.

- Więc się zachowuj.

- Jak mam zagadywać twoją mamę i Philomène, skoro będą śpiewać w chórze?

- Podczas kolacji - odparła Marine.

Verlaque zatrzymał się.

- Jakiej kolacji?

Marine pociągnęła go w stronę głównych drzwi do katedry, gdzie stała grupka ludzi czekających na wejście.

- Przyjęłam zaproszenie na uroczystą kolację po nabożeństwie - mówiła dalej ze sztuczną wesołością.

- To nie jest ani trochę zabawne.

Marine roześmiała się.

- Planowałem miłą, spokojną kolację we dwoje.

- Nie masz już dość ciągłego przebywania ze mną?

Verlaque pocałował ją w czoło.

- Nigdy. Chcę mieć cię tylko dla siebie - zadeklarował.

Marine uśmiechnęła się, ale coś ukłuło ją w serce. Wróciła myślami do tego popołudnia, kiedy zbierali oliwki i kiedy temat dzieci nie trafił na podatny grunt. Spojrzała na męża, który był zajęty czytaniem tabliczki znajdującej się po prawej stronie drzwi do katedry.

- Chodź, kolejka się przesuwa - rzekła do niego. - Chcę znaleźć dobre miejsce.

- Dobrze, pani kierownik - odparł Verlaque i szybko skończył czytać. - Wiedziałaś to o Cézannie?

- Niby co?

- Że pod koniec życia po każdej niedzielnej mszy stawał pod katedrą i rozdawał pieniądze biednym...

- Uhm - mruknęła Marine, kiedy wchodzili do środka. - Zaskakuje mnie raczej to, że Cézanne chodził na msze.

- No cóż, tam nie napisano, że chodził na msze - powiedział Verlaque. - Tylko to, że kiedy się kończyły, rozdawał pieniądze. I że robił to, będąc już starszym człowiekiem. Może zaczął obawiać się śmierci i próbował przejść na dobrą...

- *Bienvenue!* - zaśpiewał radosny głos i młoda kobieta z obsługi podała każdemu z nich cienką książeczkę i małą, białą świeczkę na papierowej podstawie.

- Proszę nie zapalać świec, zanim o to nie poprosimy, i przynieść nam śpiewnik z powrotem po nabożeństwie!

- Okej - zawołał Verlaque z udawanym entuzjazmem.

Marine dźgnęła go w żebra.

- Chodźmy poszukać miejsc siedzących - szepnęła, ciągnąc go za rękę.

- Kościół jest pełen - zauważył Verlaque, kiedy szli do prawej nawy, szukając wolnych miejsc w ławkach. - Jak na pasterce...

- A nawet bardziej - stwierdziła Marine. - Bo mamy jeszcze czterdzieści pięć minut do rozpoczęcia nabożeństwa.

- Co takiego?

- *Maman* ostrzegła mnie, że będą tłupy, więc wyciągnęłam cię wcześniej.

Verlaque westchnął.

- Powiniennem przynieść sobie jakieś wiersze do czytania.

- Możesz poczytać teksty kołęd.

Verlaque spojrzał na żonę, która uśmiechała się od ucha do ucha.

- Tutaj. - Marine wskazała na niewielką pustą przestrzeń w środku jednej z ławek, mniej więcej w połowie nawy.

- *Pardon!* - odezwała się, przeciskając się przed kolanami siedzących ludzi. - *Pardon!*

Verlaque wzruszył ramionami i podążył za nią.

- Przepraszam bardzo - powiedział po angielsku.

Dotarli do miejsca, które mogło pomieścić mniej więcej półtorej osoby. Verlaque pochylił się do żony i szepnął:

- Wszyscy tutaj tacy radośni, nawet kiedy przepychaliśmy się między ich kolanami. Tacy są Anglosasi. Francuzi byliby strasznie niezadowoleni i z pewnością by to okazywali...

- Jesteśmy Francuzami - odezwała się sąsiadka z ławki.

Verlaque odwrócił się w jej stronę. Atrakcyjna, sześćdziesięciokilkuletnia kobieta siedziała obok mężczyzny, być może męża, który wpatrywał się w teksty pieśni.

- Bardzo przepraszam - powiedział Verlaque.

Uśmiechnęła się.

- Przychodzimy na to nabożeństwo od lat. Zobacz pan - jest tu wielu miejscowych. To taka wspaniała okazja, by pośpiewać kolędy.

- Zgadzam się! - rzekła Marine, wychylając się zza męża, by na nią popatrzeć.

- No cóż - odparł Verlaque, posyłając Marine spojrzenie spod uniesionych brwi. - Lepiej zacznę czytać te teksty. Skoro nabożeństwo ma się zacząć nie wcześniej niż za czterdzieści minut.

Marine spojrzała na zegarek.

- To już za chwilę - powiedziała. - Popatrz! Idzie maman i reszta chóru.

- A gdzie twój ojciec? Jak udało mu się od tego wykręcić?

- Jest na konferencji medycznej w Lyonie.

- Emerytowani lekarze także jeżdżą na konferencje?

- Kiedy mają wszystko opłacone, wraz z lunchami i kolacjami w lyońskich restauracjach, to tak.

- Oczywiście. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę kuchnię twojej matki.

Marine roześmiała się wbrew sobie.

- Kiedy ty przyglądałaś się ludziom, ja nauczyłem się na pamięć wszystkich pieśni i rozejrzałem po kościele. Widzisz te trzy małe okna w kamiennej ścianie za nami? Mniej więcej na wysokości drugiego piętra?

Marine odwróciła się i spojrzała w górę.

- Nad kaplicą św. Rocha?

- Skoro tak mówisz, to tak - odparł, trochę zły, że jego żona zna nazwę kaplicy. Święty Roch był patronem Aix. - Wiesz, jaką pełnią funkcję? - Skrzyżował ręce i czekał.

Marine spojrzała na niego, po czym znowu przesunęła wzrokiem po uczestnikach uroczystości.

- Służyły chorym, którzy mogli przyjść na mszę, ale w ten sposób nie stykali się z pozostałymi wiernymi. Na wypadek, gdyby zarazili. - Znowu spojrzała do tyłu, na trzy okienka o dziwnym kształcie. - Ojej!

- Co?

- Kogoś tam widziałam.

Verlaque szybko spojrzał w tamtą stronę.

- Nikogo nie ma.

Marine wzruszyła ramionami.

- Może mi się przywidziało.

- O, zobacz, w końcu coś się będzie dziać - szepnął Verlaque. - Tutejsza szycha chwytą za mikrofon.

- To proboszcz katedry - poinformowała go Marine.

- To zaszczyt dla mnie i dla kongregacji tej wspaniałej katedry, że dzielimy dzisiaj jej przestrzeń ze społecznością angielskiego Kościoła protestanckiego i będziemy wspólnie świętować narodziny Pana. Nabożeństwo poprowadzi mój zasłużony kolega z angielskiego kościoła w Aix, wielbny David Flanagan, który nalega, bym nazywał go wielbnym Dave'em...

Wśród zgromadzonych rozległ się śmiech i ksiądz przerwał z uśmiechem.

- Chciałbym także podziękować chórowi z Saint-Jean-de-Malte. To zawsze jest przepiękna uroczystość i każdego roku od nowa się dziwię, że przybywa tutaj tak wielu ludzi z wielu krajów i z różnych środowisk, by się modlić, śpiewać, spędzić czas z sąsiadami. Ci spośród was, którzy nie byli wcześniej na naszym nabożeństwie, rozumieją, o czym mówię, kiedy



zaintonujemy *The Twelve Days of Christmas*. I w obecnych dniach, gdy Europa się zamyka i zatrzaskuje drzwi przed tymi, którzy próbują uciec przed ciężkimi doświadczeniami, wojną, ubóstwem, zapamiętajmy ten dzień, kiedy śpiewamy razem, niezależnie od różnic między nami...

- Ooo, nasz *padre* zapędził się w politykę - szepnęła Verlaque.

- Tak! I ta cała Marine Le Pen niech idzie do diabła ze swoim Frontem Narodowym - odszepnęła Marine.

Ksiądz mówił dalej:

- A teraz ja się wycofam i z przyjemnością usiądę tutaj jako widz. Proszę, wielebny Davie - przerwał i gestem wskazał miejsce, które zajmował za mównicą - Teraz ty!

Rozległy się gromkie brawa i Verlaque pomyślał, że kierowane są zarówno do księdza, jak i do młodego protestanckiego pastora. Rozejrzał się po katedrze i powiedział szeptem do Marine:

- Jeszcze niedawno bywało tu tak na pewno w zwykłe niedziele.

- Masz na myśli pełen kościół?

- Właśnie.

- I nareszcie jest tutaj ciepło. Tyle ludzi... - zauważyła Marine.

- W Aix nie może być tak wielu ekspatów. Przecież bym o tym wiedział.

Marine nieznacznie się uśmiechnęła. Skąd miałby to wiedzieć? Czy tylko z tego powodu, że jest sędzią śledczym?

- Mieszka tu wielu studentów z zagranicy. Przyjechali w ramach wymiany Erasmus. Zawsze kilkoro zapisywało się na moje zajęcia z historii i z prawa.

- Oczywiście...

Wielebny Dave powiedział kilka słów powitania i przedstawił prowadzących ceremonię, Cole'a i Debrę Hainsbych.

- Proszę państwa o powstanie do pierwszej pieśni *Joy to the World*, słowa znajdują się na trzeciej stronie naszego śpiewniczka - powiedział Cole.

Debra Hainsby powtórzyła polecenie po francusku. Verlaque przewrócił oczami i szepnął:

- Czy całe nabożeństwo będzie tłumaczone? To wcale nie jest konieczne. Jestem pewien, że każdy tutaj potrafi powiedzieć „strona trzecia” w obu językach.

Marine położyła palec na ustach i otworzyła śpiewniczek.

Godzinę później atmosfera w katedrze wydawała się Marine wręcz euforyczna. Nie mogła sobie wyobrazić, by ktokolwiek mógł nie cieszyć się tym wydarzeniem. Zerknęła na swojego męża zasłuchanego w kazanie wielebnego Dave'a, który, podobnie jak ksiądz, koncentrował się na tolerancji i otwartości wobec innych. Uśmiechnęła się, myśląc o młodym imigrancie z Mali, który w maju wspiął się na czwarte piętro bloku mieszkalnego w Paryżu, by uratować małe dziecko przechylające się niebezpiecznie przez barierkę balkonu. Później, kiedy udzielał wywiadu, był wyraźnie zakłopotany swoją sławą bohatera, po prostu wzruszał ramionami. Mówił, że kiedy wspinał się po balkonach, nie myślał o sobie ani o grożącym mu niebezpieczeństwie, ale wyłącznie o dziecku. Następnego dnia został zaproszony przez prezydenta Francji do Pałacu Elizejskiego, gdzie natychmiast uzyskał francuskie obywatelstwo i posadę strażaka. Cały ten Front Narodowy może się wynosić, pomyślała Marine po raz drugi tego wieczoru. Tutaj znajdzie się miejsce i rola dla każdego człowieka

Wielebny skończył kazanie i Hainsby'owie wrócili na mównicę.

- A teraz chwila, na którą wszyscy czekamy - powiedział Cole. - The Twelve Days of Christmas. Ci spośród państwa, którzy byli już na takim nabożeństwie, wiedzą, jak to się

odbywa. Dzielimy obecnych na dwanaście grup, złożonych z przedstawicieli różnych krajów. I tak: najpierw Francja, potem Stany Zjednoczone z Kanadą, trzecia grupa to Wielka Brytania i Irlandia, następnie Włochy i Hiszpania z Portugalią, po nich Niemcy i ich niemieckojęzyczni sąsiedzi, dalej Europa Wschodnia, w tym Belgia z Holandią, Australia śpiewa z Nową Zelandią, następnie Chiny, Japonia i wreszcie Afryka... Przepraszam państwa, wiem, że to kontynent, ale mamy tylko dwanaście zwrotek...

Verlaque jęknął i szepnął:

- *Quel con.*

- Cii, Antoine - strofowała go Marine, chociaż w głębi duszy przyznawała mu rację.

Cole Hainsby mówił dalej:

- Bliski Wschód i Izrael... Tylko dobrze się zachowujcie! - Roześmiał się. - I w końcu Skandynawia.

- Powtórzmy kolejność - powiedziała Debra Hainsby, czerwona na twarzy. - I będziemy państwa wywoływać w miarę śpiewania. Kiedy wymienimy nazwę państwa kraju, proszę o powstanie.

Pomimo mało eleganckich żartów Cole'a Hainsby'ego wykonanie tej kolędy okazało się dużym sukcesem - obywatele z państw z całego świata ochoczo podnosili się z ławek i radośnie śpiewali swój wers utworu. Kiedy Verlaque podniósł się po raz drugi po wywołaniu Anglii, Marine pociągnęła go za rękaw.

- Antoine! - szepnęła. - Już śpiewałeś, gdy była Francja!

- Przecież babcia Emmeline była Angielką! - odparł Verlaque głośniejszym głosem, niż zamierzał.

Marine i Verlaque nagrodzili oklaskami grupę kobiet z Bliskiego Wschodu z zakrytymi twarzami oraz stojącą za nimi szwedzką rodzinę, która dołączyła zaraz po nich.

Do czasu, gdy pieśń się zakończyła, zebrani śmiali się i rozmawiali tak głośno, że wielbny Dave musiał poczekać kilka minut, aż wszyscy się uspokoją.

- No cóż, to się nam naprawdę udało! - zawołał. - A teraz przyszedł czas na bardziej uroczysty moment, bo nasze zgromadzenie dobiega końca. Światła w katedrze zostaną wyłączone, a członkowie służby kościelnej będą chodzili wzdłuż naw i zapalali państwa świece.

Około tuzina mężczyzn i kobiet rozeszło się po kościele i wręczało zapaloną świecę osobie siedzącej na brzegu ławki, która następnie przekazywała ją dalej, tak by każdy z obecnych mógł zapalić od niej swoją. Nie minęło dziesięć minut, gdy paliły się już ich setki. Marine wydała stłumiony okrzyk zachwyty.

- Proszę o powstanie - odezwał się wielbny Dave. - Zaśpiewamy teraz pieśń *O Christmas Tree*, której tekst znajduje się na stronie...

- Siódmej - dokończył Verlaque i szybko się podniósł, odkładając śpiewniczek na ławkę. - Znam go na pamięć.

Marine uśmiechała się promiennie, słysząc, jak mąż fałszuje swoim barytonem. Z pewnością znał słowa dzięki Emmeline. Zebrani wykonali dwie zwrotki i muzyka ucichła. Wielbny Dave powiedział:

- Mogą państwo zająć miejsca. Teraz chciałbym poprosić niemieckojęzycznych uczestników nabożeństwa o powstanie i zaśpiewanie nam następnej zwrotki po niemiecku.

Około pięćdziesięciu Niemców, Austriaków i Szwajcarów, rozproszonych po całej katedrze, podniosło się z miejsc i zaintonowało pieśń głośno i czysto. Oczy Marine wypełniły się łzami. Kilka ławek przed sobą zobaczyła dwoje Niemców z Jarmarku Miast Partnerskich, którzy śpiewali z wielkim zaangażowaniem. Verlaque otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- To brzmi dużo lepiej po niemiecku - szepnął.

Marine skinęła głową. Verlaque uniósł brew, widząc, że wolebny Dave zerka na swój telefon komórkowy i szybko wychodzi bocznymi drzwiami. Czy ta rozmowa nie mogła poczekać?

Kiedy pieśń dobiegła końca, Cole i Debra Hainsby'owie podeszli do mównicy.

- Dziękujemy wszystkim państwu za uczestnictwo w tym wspaniałym nabożeństwie - zaczął Cole. - Za kilka minut zapalą się światła i będziecie mogli zgasić świece - mówił dalej.  
- Wychodząc, nie zapomnijcie oddać śpiewniczków...

- On jest taki irytujący - szepnęła Marine. Obróciła się do Verlaque'a, który bawił się świeczką, przesuwając dłoń nad płomieniem w jedną i drugą stronę. Mały chłopiec z ławki przed nimi przyglądał się temu zafascynowany.

## 9.

Kiedy Marine i Verlaque przechodzili przez katedralny dziedziniec, dobiegały do nich hałasy z sali jadalnej.

- Chyba cieszysz się, że przyszedliśmy? - odezwała się Marine, ściskając męża za ramię.

- Tak, bardzo ci dziękuję - odparł. - Nie wiedziałem, czego oczekiwać...

- A niepewność budzi lęk...

- Oczywiście, że nie! - odpowiedział Verlaque, śmiejąc się sam z siebie.

- Cudowne zapachy - zauważyła Marine, gdy przechodzili przez duże, drewniane, podwójne drzwi. Sceneria, jaka ukazała się ich oczom, była równie, a nawet bardziej świąteczna niż ta w kościele. Wielką przestrzeń rozjaśniały tuziny świec oraz elektryczne kinkiety. Wzdłuż najdalszej ściany znajdowało się sześć czy siedem długich stołów, nakrytych białymi obrusami i zastawionych jedzeniem. Za stołami stały grupki nieco zakłopotanych ludzi. Marine nie знаła nikogo z nich.

- Partnerskie miasta - szepnęła. - Mama mówiła, że wiele z nich podarowało potrawy na dzisiejszy wieczór.

- To bardzo miłe - skomentował Verlaque.

- Poczęstujmy się winem - zasugerowała Marine. - A potem pójdę przywitać się z *maman*. - Przeszli przez salę do stołu z winem, lawirując pomiędzy rozmawiającymi ludźmi. Verlaque rozpromienił się na widok Oliviera Bonnarda, jednego ze swoich ulubionych wytwórców win. Przed kilkoma laty pomógł Olivierowi, rozwiązując sprawę kradzieży cennych historycznych win z jego piwnicy.

- M. Bonnard - odezwał się Verlaque, ściskając dłoń mężczyzny.

- Antoine! - zawołał Bonnard i wręczył Verlaque'owi kieliszek wina.

Ten odwrócił się w stronę, gdzie jego zdaniem powinna znajdować się Marine, ale zatrzymały ją jej matka i Philomène Joubert. Verlaque uśmiechnął się, zadowolony, że udało mu się uniknąć ich szturmu.

- Co nowego w Domaine Beauclair? - zapytał Verlaque, pociągnął łyk wina i skinął głową z uznaniem.

- Zima. Czas odpoczynku - powiedział Bonnard. - W zeszłym tygodniu przycinaliśmy gałęzie. Wkrótce przyjedzie Victor, po pierwszym semestrze studiów. Jest nimi zachwycony.

- Gratuluję - rzekł z uśmiechem Verlaque. Lubił Victora, chłopca, który pomimo sławy Domaine Beauclair był *bien dans sa peau*. - Studiuje enologię, prawda? W Montpellier?

- *C'est exact.*

- A Elise?

- Jest tam. - Olivier wskazał na drugą stronę sali, gdzie stała jego atrakcyjna żona. - Ja dzisiaj serwuję wino, a ona wypożyczyła mnóstwo naczyń ze swojego sklepu.

- Ach, to dlatego sala nie wygląda jak kościelna piwnica - skomentował Verlaque.

Ktoś sięgnął po kieliszek wina tuż przed pierśią Verlaque'a i zaczął rozmowę z Olivierem na temat winorośli, więc Verlaque wycofał się i zaczął rozglądać po sali. Był szczęśliwy, i to, ku swojemu zaskoczeniu, w okresie Bożego Narodzenia. Radość ze śpiewania kolęd zdawała się wciąż unosić w powietrzu. Goście, już osmieleni, wznosili toasty i się śmiali. Szybko utworzyli kolejkę do stołów z potrawami na kolację, a kucharze z miast partnerskich nakładali porcje na porcelanowe talerze. Oni także nie wyglądali już na skrępowanych, śmiali się i

gestykulowali, rozmawiając z gośćmi. Verlaque poczuł głód i zaczął się rozglądać za Marine, ale ona jeszcze nie uwolniła się od swoich rozmówczyń – musiała wysłuchiwać jakiejś historii opowiedanej przez niziutką Mme Joubert. Odwrócił się w prawo i zobaczył Hainsbych, idących ramię w ramię. Żadne z nich się nie uśmiechało. Zakłopotany, szybko odwrócił wzrok i dostrzegł przyglądającą się mu młodą kobietę. Pomyślał, że pewnie ją zna, i poczuł się trochę nieswojo pod jej spojrzeniem.

- Czy przyniosłeś mi kieliszek wina? – zapytała Marine.

- Och, udało ci się wyswobodzić? Proszę, masz trochę mojego. – Wręczył jej swój kieliszek i chciał ponownie spojrzeć na młodą kobietę, ale już jej tam nie było.

- *Maman* i Philomène mają niezłego fioła – powiedziała Marine, upijając łyk wina. – Wow! – Uniosła kieliszek i spojrzała na niego pod światło.

- Od Oliviera Bonnarda.

- To wszystko wyjaśnia.

Verlaque zapytał:

- A o co im chodzi?

- Ach, o to, że protestanckie nabożeństwo było w porządku, ale brakowało odniesień teologicznych.

- Wydawało mi się, że Dave dobrze się spisał.

- Mnie również.

- Ale nie podobali mi się ci prowadzący – mówił dalej Verlaque. – Zwracali się do nas jak do...

- Prostacków.

- Właśnie. Czy tak jest w Kościele protestanckim?

- Nie sądzę. W Kościele protestanckim jest wiele wyznań, które różnią się od siebie. Tak jak Kościoły u nas.

- Nie. Kościoły katolickie są takie same – zauważył Verlaque, przewracając oczami.

- No dobrze, dobrze.



- Weźmy sobie coś do jedzenia - zasugerował Verlaque. - Zacznę od Niemców, to mi da dużo siły.

- Raczej tłuszczu - sprostowała Marine. Verlaque już otworzył usta, by zaprotestować, ale ona dodała: - Mam nadzieję, że zrobili swoje szpecle. - Ruszyła przed siebie i Verlaque musiał wyminąć dwóch starszych panów, by dotrzymać jej kroku.

- Mamy szczęście, że znaleźliśmy miejsca przy stole - rzekł Verlaque, odrywając kawałek chleba i maczając go we włoskiej potrawie z bakłażana i parmezanu. Z tokańską oliwą z oliwek. Po bokach widać było zielonkawy sos.

- Próbowałeś tego? - zapytała Marine, wskazując na ser pecorino przecinany cienkimi, czarnymi żyłkami.

Verlaque sięgnął po kawałek i włożył go sobie do ust. Zamknął oczy i odchylił się do tyłu, kładąc ręce na brzuchu. - Trufle.

- Jest jak narkotyk - zauważyła Marine. - Pewnie kosztuje fortunę. Jaka hojność!

- Tak, i jutro wszyscy będziemy stać w kolejce do ich stoiska. Powiedziałbym, że to dobry marketing.

Kobieta siedząca na prawo od Verlaque'a wstała i po kilku sekundach podszedł tam ktoś inny z wypełnionym po brzegi talerzem.

- Czy mogę dołączyć? - zapytał.

Verlaque odwrócił się i zobaczył katedralnego diakona, czy też rektora, który się do nich uśmiechał.

- *Père* Fernand - powitała go Marine, wyciągając do niego dłoń. - Proszę bardzo.

Wymienili uścisk dłoni, a ona przedstawiła duchownemu swojego męża.

- Jest pan sędzią śledczym - powiedział ksiądz, witając się uściskiem dłoni. - Matka Marine dużo mi o panu opowiadała.

- Zgadza się - odparł Verlaque. - To było wspaniałe nabożeństwo.

- Tak, mnie też się bardzo podobało.

- Czy był ksiądz na nabożeństwie w zeszłym roku? - zapytała Marine.

- O tak. Ta tradycja narodziła się sześć lat temu, ja nie opuściłem żadnego spotkania.

- Ten moment zapalania świec... - zaczął Verlaque. - Czy tak było także rok temu?

- Owszem - odparł *père* Fernand. - Chociaż nie jestem pewien, przy której pieśni. To taki efektowny sposób zakończenia nabożeństwa. Myślałem, że tylko my katolicy robimy taki teatr.

Verlaque uśmiechnął się. Odgryzł kęs smażonego w głębokim tłuszczu *boulette* i jego twarz rozjaśniła się. - Koper włoski, ale z przyprawami...

- *Karbar bès* - wyjaśnił ksiądz. - Jestem miłośnikiem tunezyjskiej kuchni. Im więcej przypraw, tym lepiej

Verlaque uznał, że ksiądz, który mógł się pochwalić okazałym brzuchem, należy - podobnie jak on sam - do wytrawnych smakoszy.

- Idę sprawdzić przepis na te *boulettes* - powiedziała Marine, wycierając usta papierową serwetką. - Na pewno nie są zbyt trudne do...

- Cole! - rozległ się kobiecy głos.

- Ojoj! - skrzywił się ksiądz. - Czy ktoś już wypił za dużo wina z *Domaine Beauclaire*?

- Cole, co z tobą? Czy jest tutaj lekarz?

- To Debra Hainsby - stwierdziła Marine, stojąc na palcach, by patrzeć ponad głowami Antoine'a i *père* Fernanda.

W sali słyhać było podniesione głosy i szuranie stóp przepychających się ludzi.

- Jestem lekarzem! - zawołał jakiś mężczyzna. - Proszę mnie przepuścić!

Verlaque ścisnął rękę Marine. Czuł, że nic nie mogą zrobić, tylko mieć nadzieję, że Amerykanin ma silne zawroty głowy albo cierpi na rozstrój żołądka, ale nie dolega mu nic poważniejszego.

- Przepraszam - mruknął père Fernand, wstał i powoli podszedł do grupy ludzi zebranych wokół leżącego Cole'a Hainsby'ego.

- Cole! - krzyknęła jeszcze raz Debra Hainsby i zaczęła szlochać.

Verlaque puścił rękę Marine, podniósł się od stołu i torował sobie drogę pomiędzy gośćmi, którzy zaczęli odsuwać się od leżącego mężczyzny, trzymając ręce w kieszeniach, jedna czy dwie osoby cicho płakały.

Verlaque podszedł do Cole'a i ukląkł. Nad ciałem Amerykanina pochylił się mężczyzna, w którym Verlaque rozpoznał członka chóru i lekarza zaprzyjaźnionego z ojcem Marine. Doktor najwyraźniej znał sędziego. Pokiwał głową.

- Nie żyje - szepnął.

- Co się stało? - zapytał Verlaque.

- Nie chciałem zgadywać - odparł lekarz - bo nie widziałem, co działo się, zanim upadł na podłogę. Jérémy Forestier, lekarz rodzinny. - Uścisnęli sobie dłonie i Verlaque popatrzył na Debrę Hainsby, skuloną na krześle i otoczoną ludźmi.

- To mógł być atak serca - powiedział doktor, pochylając się bliżej do Verlaque'a - albo niewydolność serca.

- Wezwałem karetkę - odezwał się wielebny Dave i ukląkł przy nich. Położył rękę na zimnym ramieniu Cole'a Hainsby'ego. - Atak serca? - zapytał, najwyraźniej nie mogąc oderwać wzroku od zmarłego.

- Na to wygląda - potwierdził doktor.

- No więc mamy tu zespół szybkiego reagowania - powiedział Dave. - Pójdę i pomogę père Fernandowi.

Verlaque popatrzył na stoły.

- Gdzie on siedział? - zapytał, podnosząc się.

Doktor Forestier także wstał i wskazał miejsce dłonią:

- Tam, przy drugim stole, w środku. Ja siedziałem bliżej końca.

U szczytu stołu stały dwie młode kobiety, jedna z nich trzymała dużą tacę, na której druga stawiała talerze i filiżanki. Obie panie zerknęły na siebie, tak jakby sprzątanie miało jakoś pomóc. Większość pozostałych gości stała dookoła w grupach, tocząc ciche rozmowy albo milcząc.

- Dziękuję, doktorze. Pójdę teraz i porozmawiam z Mme Hainsby - rzekł Verlaque. - Mój dziadek dostał zawału serca w Normandii podczas wydarzenia podobnego do tego... - Usłyszał, że głos mu się załamuje, nie był w stanie dokończyć zdania. Jakie słowa współczucia mógł powiedzieć właśnie owdowiałej Debrze Hainsby? Czuł jednak, że jako wysoki rangą pracownik miejski powinien przynajmniej się przedstawić i zaoferować wszelką pomoc, jakiej może udzielić.

Właśnie miał się podnieść, kiedy doktor pochylił się nad nim i położywszy dłoń na jego ramieniu, przyciągnął go bliżej do siebie.

- Nie chcę wzniecać niepotrzebnej paniki, ale jest w tym coś dziwnego...

- Proszę mówić dalej.

- Zmarły ma wysypkę - kontynuował doktor Forestier. - Chociaż możliwe, że pojawiła się wcześniej. Nie znałem go. Ale wokół jego ust jest coś, co wygląda na oparzenie.

- To nie jest objaw ataku serca, prawda?

- Nie - odparł doktor, rozglądając się po sali. - To raczej może świadczyć o otruciu. Mam nadzieję, że przekaże mi pan informacje od patologa. - Wręczył Verlaque'owi wizytówkę i jeszcze raz wyciągnął do niego dłoń.

Sędzia patrzył, jak lekarz przemierza salę i wychodzi przez zielone drzwi, po czym odwrócił się i ruszył w inną stronę. Wyciągnął sobie krzesło obok Debry Hainsby.

- Czy dobrze się pani czuje, Mme Hainsby? - zapytał po angielsku. - Nazywam się Antoine Verlaque i jestem sędzią śledczym tutaj, w Aix.

- Sędzią - powtórzyła, patrząc na niego nieobecnym wzrokiem. - Jednak bierze pan czynny udział w rozwiązywaniu spraw kryminalnych. Czytałam francuskie kryminały. - Ukryła twarz w dłoniach. - Nasze dzieci...

- Są tutaj? - zapytał Verlaque, przerażony. Czy właśnie widziały, jak umiera ich ojciec?

- Nie, wyjechały ze szkołą na narty. Na weekend - odparła, spoglądając na niego. - Jak mam im powiedzieć? Były takie rozczarowane, że to nabożeństwo je ominie. - Z jej tonu czytał, że mimo wszystko zauważała ironię tej sytuacji, podobnie jak on.

Starał się skoncentrować na tym, by jak najbardziej jej ulżyć. Słyszał wokół głosy i poruszających się ludzi. Słyszał, jak otwierają się drzwi i podjeżdża karetka.

- Czy mogę pani coś podać?

Debra Hainsby pokręciła przecząco głową.

- Czy pani mąż chorował? - zapytał.

- Nigdy. Nawet się nie przeziębiał.

- Czy w jego rodzinie zdarzały się zawały? Bo w mojej tak.

- Nie - szepnęła. - Nie, jego krewni raczej mają mocne serca. Za to często chorują na raka. Co się właściwie stało? - zastanawiała się, wycierając oczy papierową chusteczką. -

Narzekał, że wciąż chce mu się pić, i kilka razy poprosił, bym sprawdziła jego czoło. Był rozpalony.

- Niedługo będziemy wiedzieli więcej - odparł Verlaque. - Czy jeszcze coś mu dolegało? Ucisk w klatce piersiowej? Ból w klatce lub w rękach?

- Nie.

Podeszła do nich przyjaciółka Debry i położyła ręce na jej ramionach.

- Zabiorę cię do domu - powiedziała.

- Nie, chcę pojechać w karetce - odparła Debra, próbując wstać.

Verlaque wraz z koleżanką Debry pomogli jej się podnieść.

- Mam jechać z tobą? - zapytała przyjaciółka.

Mme Hainsby zaprzeczyła ruchem głowy.

Przyjaciółka odwróciła się, by z kimś porozmawiać, a Debra ujęła Verlaque'a pod ramię.

- Nie byłam dobrą żoną - powiedziała ledwo słyszalnym głosem.

Jak można było oczekiwać, w sali jadalnej panowała niezwykle spokojna atmosfera. Goście rozmawiali szeptem i trzymali się na obrzeżach pomieszczenia, jak gdyby uważali, że dalsze jedzenie czy picie byłoby niestosowne. Przed jednym ze stołów stanął père Fernand i podniósł ręce.

- Przyjaciele - zaczął, rozglądając się po sali. - To, co się właśnie stało w Domu Bożym, zaszokowało nas wszystkich. Chciałbym wam podziękować za dyskrecję i troskę okazywaną Mme Hainsby. Chcę też wykorzystać tę okazję, by podziękować partnerskim miastom, które hojnie dostarczyły potrawy na dzisiejszą kolację. Proszę, częstujcie się jeszcze, jeśli macie ochotę, a jeśli możecie, to sprzątnijcie ze swoich stołów, by ułatwić pracę naszym wolontariuszom. Teraz chciałbym oficjalnie przedstawić dżentelmena po mojej prawej stronie,

*maitre* Antoine'a Verlaque'a, który jest sędzią śledczym w Aix. Proszę, wysłuchajcie go z największą uwagą. Dziękuję.

- Dziękuję, *père* Fernandzie - powiedział Verlaque. - Proszę się nie niepokoić, ale skoro przez przypadek znalazłem się tutaj w chwili śmierci M. Hainsby'ego, chciałbym każdego z państwa prosić o pozostawienie imienia i nazwiska, adresu oraz numeru telefonu u dwojga oficerów policji, którzy będą stali w drzwiach. To tylko środki ostrożności.

- Co się dzieje? - zapytał mężczyzna z najdalszego kąta sali.  
- Dlaczego nie możemy po prostu pójść do domu?

Verlaque podniósł dłonie.

- Proszę się nie martwić. Powtarzam: to tylko środki ostrożności. Śmierć M. Hainsby'ego była bardzo nagła i nie ma powodu sądzić, że nie nastąpiła naturalnie, jednak znajomość państwa danych może okazać się pomocna, kiedy już poznamy przyczynę zgonu.

Verlaque rozejrzał się po zgromadzonych i na wielu twarzach dojrzał konsternację. Usłyszał też liczne pomruki, dlatego powtórzył prośbę po angielsku. Odsunął się na bok, myśląc, że teraz chętnie by wypił kieliszek wina.

- Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował - powiedział jakiś głos, a czyjaś ręka podała mu kieliszek czerwonego wina.

- *Merci*, Mme Bonnet - podziękował z uśmiechem, biorąc kieliszek od swojej teściowej. Florence Bonnet stała obok niego z talerzem w ręce.

- Myślę, że mogłeś przestraszyć niektórych gości.

- Tak - zgodził się Verlaque. - Nie jestem pewien, czy dobrze sobie z tym poradziłem.

- Zrobiłeś, co musiałeś. To niezwykle widzieć tak młodego człowieka, który potrafi zachować spokój - stwierdziła, zanurzając marchewkę w hummusie i rozglądając się po sali. -

Zazwyczaj udaje się to starym ludziom – dodała i wskazała na grupę siwowłosych kobiet.

Verlaque spojrział na nią zaskoczony, gdyż wiedział, że Mme Bonnet ma około siedemdziesięciu pięciu lat. Zanim się otrząsnął ze zdumienia, ona powiedziała:

- Siedemdziesiątka to nowa pięćdziesiątka.

- To świetna wiadomość – roześmiał się.

- Przeczytałam to w „Elle” – mówiła dalej. - W poczekalni u dentysty. - Wycelowwała w niego słupkiem z marchewki. - Co dokładnie się stało z tym mistrzem ceremonii? Widziałam, jak rozmawiałeś z Forestierem.

- To jeszcze zagadka – odparł i wykonał swoje najbardziej galijskie wzruszenie ramion. - To wygląda na atak serca.

- Czy ty i Forestier uważacie, że zmarł z innego powodu? - dociekała.

- Nie, nie – odparł, desperacko rozglądając się po sali w poszukiwaniu Marine.

- Ulubione narzędzie zbrodni u Agathy Christie to trucizna – oznajmiła Mme Bonnet.

- Nie wiedziałem, że czytasz Christie.

Czy słyszała ich rozmowę? W tym momencie przypomniał sobie, że kiedy rozmawiał z lekarzem nad ciałem Cole’a Hainsby’ego, ona stała tuż za nimi.

- Czytałam w młodości – wyjaśniła. - Ukrywałam się z książką w swoim pokoju.

- Ja robiłem tak samo.

- Tak samo co? Czytałeś Christie czy musiałeś się z tym chować?

- Też czytałem Agathę Christie – odpowiedział. - Ale nie musiałem się kamuflować, moi rodzice w najmniejszym stopniu nie troszczyli się o moje lektury.



Dzięki Marine Florence poznała opowieści o jego zimnych, wiecznie nieobecnych rodzicach i ze zrozumieniem skinęła głową.

- Nam nie wolno było czytać popularnych książek. Tylko klasykę, najlepiej po grecku lub łacińsku, albo żywoty świętych.

Verlaque uśmiechnął się. Nie musiał dodawać „wyszło ci to na dobre”, wybrzmiało to aż nadto wyraźnie w tonie jej głosu, w którym przebijała przyjemność i satysfakcja. Florence Bonnet miała za sobą wspaniałą edukację i wybitną karierę.

- Podczas kolacji obserwowałam tego młodego człowieka, który zmarł - mówiła dalej. Verlaque starał się nie skrzywić, zły na siebie, że nie zdążył w porę zmienić tematu. - Stał przede mną w kolejce i robił zamieszanie. Taka gaduła... Próbował potraw, kiedy jeszcze stał w kolejce, i wciąż sobie dokładał.

Verlaque spojrział na swoją wykształconą teściową, jak zwykle nie tyle zaskoczony, ile raczej zakłopotany jej miłością do plotek. Skinął głową i po raz pierwszy zastanowił się, czy Cole Hainsby mógł być narkomanem.

- Miał dobry apetyt - stwierdził.

- I to jaki! Ludzie przez cały czas coś mu dorzucali na talerz.

- Sprzedawcy z partnerskich miast?

- Tak, podchodzili do niego też jacyś przyjaciele i namawiali, by spróbował tego czy owego. Jego żona wmuszała w niego coś smażonego. Naprawdę wstrzymywał kolejkę! Philomène obawiała się, że zaraz umrze z głodu!

*Merde*, pomyślał. Wydaje się, że panował tu niezły chaos, a to doskonała okazja dla sprytnego zabójcy. Potem w duchu skarcił sam siebie za wyciąganie pochopnych wniosków. Do czasu zakończenia sekcji zwłok nie powinien się martwić. Ale nie opuszczało go wrażenie, że cały ten incydent był osobliwy, i powtarzał sobie w myślach słowa lekarza: „wysypka” i „wokół ust coś, co wygląda na oparzenia”. Przypatrywał się twarzom

zgrupowanych ludzi, podczas gdy Florence narzekała na niedawną decyzję miasta o zmianie tras autobusów.

- To on - odezwała się, a Verlaque automatycznie obrócił głowę, by na nią spojrzeć.

- Słucham?

- Tam. Ten duży facet - wyjaśniła, wskazując w bok kolejnym nadgryzionym słupkiem marchewki. - Wygląda na Włocha albo Korsykanina. W każdym razie to nowe pieniądze. - Skrzywiła nos i mówiła dalej: - Widziałam, jak żona zmarłego z nim rozmawiała.

- Ona nazywa się Debra Hainsby. I? - Verlaque starał się zachować cierpliwość wobec pruderii i wścibstwa Florence.

- Widzę twoje spojrzenie. Wiem, że to nic niezwykłego, kiedy zamężna kobieta rozmawia z innym mężczyzną.

- Rzeczywiście - rzekł z uśmiechem Verlaque.

- Ale to raczej niecodzienne, że ta kobieta je z talerza swojego rozmówcy i pije z jego kieliszka.

Marine przyglądała się, jak jej matka rozmawia z jej mężem. Wyobrażała sobie, o czym rozmawiają, i próbowała się nie roześmiać. W tym momencie podeszła do niej młoda kobieta i wyciągnęła rękę na przywitanie.

- Pani jest córką doktor Bonnet, prawda? Nazywam się France Dubois. Pracuję w kościele protestanckim w Aix.

- *Enchanté* - odparła Marine, ściskając jej dłoń.

Uznała, że France Dubois mogła poznać jej matkę. Szybko otaksowała młodą kobietę spojrzeniem, pamiętała ją z bożonarodzeniowego jarmarku. Mlle Dubois - Marine założyła, że France nie jest zamężna - byłaby doskonałą kandydatką do wizerunkowej metamorfozy. Wyobraziła sobie, że jest jej starszą siostrą czy może kuzynką i że razem wybierają dla France ciuchy, w których wygląda najkorzystniej, w jednym z

wielu sklepów odzieżowych w Aix. Uśmiełyby się tam, potem poszły na drinka albo na lody, żeby uczcić zakupy.

- To straszne, co się stało - odezwała się, uświadamiając sobie, że zrobiła zbyt długą pauzę. - Jak sobie pani radzi?

- Och, całkiem dobrze - odpowiedziała France, machnąwszy ręką.

- Znała go pani?

Wydawało się, że France przez chwilę się zawahała, zanim odpowiedziała:

- Tylko z widzenia.

Marine spojrzała na nią z ciekawiona. France nie wyglądała na poruszoną. Być może dostrzegła wyraz zaskoczenia na twarzy Marine, bo wytarła czoło, westchnęła i powiedziała:

- Przepraszam, jestem strasznie zmęczona. Organizowałam tę kolację. To było spore przedsięwzięcie logistyczne.

- Gratuluję. Wszystko było pyszne, a sala zupełnie odmieniona.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że goście będą chcieli zostać i się częstować - rzekła France, rozglądając się po pomieszczeniu. - Desery z Anglii są cudowne, choć chyba trochę za dużo w nich masła. Ale ostatnie badania mówią, że masło jest dla nas dobre!

- zachichotała i Marine poczuła, że zaczyna ją lubić.

- Przestałam czytać te badania - odparła Marine zgodnie z prawdą. - Po prostu trzy razy dziennie jem posiłki wykonane z dobrych, świeżych produktów.

- Zatem z pewnością robi pani coś dobrego, jeśli mogę tak powiedzieć. - Twarz France nieco się zaczerwieniła, ale kobieta mówiła dalej: - Jest pani osobą, która niewątpliwie mogłaby kogoś takiego jak ja nauczyć tego i owego na temat stylu!

Teraz to Marine się zaczerwieniła. Miała nadzieję, że tego nie widać. Czasami czuła się zakłopotana w towarzystwie ludzi wierzących - a za taką uważała France Dubois. Obawiała się,

że potrafią czytać w myślach, że mają magiczne moce. Składała to na karb zbyt wielu przeczytanych w dzieciństwie żywotów świętych.

- No cóż, pójdę teraz spróbować deserów - zdecydowała Marine. - Dziękuję za komplement i wskazówki kulinarne.-  
Cała przyjemność po mojej stronie - odparła France.

Odchodząc, Marine czuła wzrok młodej kobiety na swoich plecach.

## 10.

Ani Verlaque, ani Marine nie spali dobrze. Wrócili do domu osobno, Verlaque został w katedrze do wczesnych godzin rannych, częściowo dlatego, by porozmawiać z père Fernandem i sprawdzić, czy dobrze się czuje, ale także po to, by obserwować ostatnich spośród organizatorów kolędowego wieczoru. O trzeciej Verlaque włączył lampkę po swojej stronie łóżka, zmęczony już tym, że oboje wciąż się wiercą w pościeli.

- Może trochę poczytamy? - zaproponował.

- Nie dawałam ci spać? - zapytała Marine, podpierając się na łokciu i zwracając ku niemu twarzą.

- Nie. Myślałem, że to ja nie daję ci spać.

Marine obróciła się, włączyła swoją lampkę i sięgnęła po książkę, kryminał z akcją toczącą się w Wenecji.

- Wiedziałas, że twoja matka podsłuchiwała moją rozmowę z doktorem Forestierem? - zapytał.

Marine roześmiała się.

- To jej specjalność. Co usłyszała?

- Forestier powiedział, że Hainsby wyglądał raczej na ofiarę otrucia niż kogoś, kto zmarł na zawał serca.

- Myślisz, że Hainsby brał narkotyki? - zapytała Marine. - Biła od niego taka frenetyczna energia, przynajmniej takie odniosłam wrażenie. Ale oczywiście ledwo go znałam.

- Też to zauważyłem. - Verlaque spojrzał na okładkę jej książki z fotografią gondoli w księżycową noc. - Podróże bez ruszania się z domu?

- Uhm...

- Słyszałem w radio France Inter, że autorka nie mieszka już w Wenecji. Za dużo turystów.

Marine odłożyła powieść.

- Nie dobijaj mnie. Myślałam, że zamieszkamy tam na emeryturze. Myślisz, że możemy zostać tutaj?

Verlaque spojrział na nią sponad swoich okularów do czytania.

- W Aix? Nie... Nasz mer do tego czasu wybetonuje całe miasto, nie będą chcieli tu przyjeżdżać żadni turyści. - Palcami pokazał znaki cudzysłowu i powiedział: - Postęp.

- Masz rację - zgodziła się Marine, uśmiechnęła się i wróciła do lektury.

Następnego ranka Verlaque obudził się, zanim zadzwonił budzik. Spojrzął na zegarek, dochodziła siódma. Zdecydował się wstać i wypić kawę na mieście, by Marine mogła dłużej pospać. Miał ochotę się przejść i zastanowić nad tą nedorzeczną wczorajszą niedzielą. Narzucił na siebie jakieś ciuchy i wymył zęby, starając się nie hałasować. Dziesięć minut później był już na ulicy.

Wokół panowała cisza. Skierował się w stronę kafejek przy Place Richelme, chciał tam wypić espresso i zerknąć na dzisiejsze wydanie „La Provence”. Wszedł do jednej z nich, usiadł przy barze i obserwował sprzedawców ryb, którzy rozkładali swoje stragany. Zastanawiał się, skąd brali siły, by pracować tak każdego dnia, przez cały okrągły rok, w słońcu i w deszczu, a tutaj w Prowansji - przede wszystkim na wietrze. I przy tym wyglądali na szczęśliwych. Mieszkańcy miasta, zwłaszcza seniorzy, wstawali skoro świt i mijając stragany, machali ręką albo zatrzymywali się, żeby pogawędzić. Pracownik służb miejskich ubrany w jasnozielony kombinezon palił teraz papierosa z jednym ze sprzedawców ryb, a Verlaque patrzył, jak śmieją się i gestykują. Wyobrażał sobie, że

dyskutują o piłce nożnej. Dzięki Bogu za *le foot* - pomyślał. Zapewnia mężczyznom na całym świecie temat do rozmowy.

Trzy espresso i dwa croissanty później Verlaque skierował się do domu, by wziąć szybki prysznic i się ogolić. W „La Provence” nie znalazł nic ciekawego poza kosztowną, zajmującą ćwierć strony reklamą dwujęzycznej szkoły Four Seasons. Kilka dni temu jeszcze nic nie wiedział o tej placówce, a teraz codziennie docierały do niego jakieś wiadomości na jej temat.

Pokonał cztery biegi schodów do ich mieszkania, udając, że jest w formie i wcale się nie męczy. Kiedy przekręcał klucz w drzwiach, musiał przystanąć na kilka chwil i złapać oddech.

- Dzień dobry, moja piękna - powiedział cicho, wchodząc do środka. Marine, w szlafroku, stała do niego tyłem i wpatrywała się w ekspres do kawy. Wolno odwróciła się do niego i skinęła głową. Miała zapuchnięte oczy. - Ojej - mówił dalej. - Wracaj do łóżka, a ja przyniosę ci cappuccino.

Lekko poruszyła prawą ręką, ale podniosła ją ledwie do poziomu klatki piersiowej i szurając nogami, poszła w stronę ich sypialni. Przygotowując kawę, Verlaque gwizdał, wiedząc, że to działa jej na nerwy. Uśmiechał się szeroko.

- Cappuccino, croissant i szklanka schłodzonej wody - oznajmił, kiedy wszedł z tacą do ich sypialni. Położył ją na kolanach Marine i powiedział: - Wezmę prysznic, a potem zrobię ci drugą kawę.

- Dzięki. Dlaczego nie jesteś zmęczony?

- W kawiarni spotkałem jednego z młodych oficerów. Dał mi małą tabletkę i kazał popić red bullem.

- Co? - Marine usiadła prosto, wprawiając tacę w niebezpieczny taniec.

- Wiedziałem, że to cię obudzi! - Roześmiał się, wychodząc z pokoju, i wciąż się śmiał, kiedy wszedł pod prysznic i odkręcił wodę.

- Pacan - mruknęła Marine, zgarniając palcem mleczną piankę.

Pół godziny później oboje już po ablucjach siedzieli w salonie.

- Pięknie wyglądasz - zauważył Verlaque.

Marine miała na sobie ciemnoczerwony kaszmirowy golf, czarne wełniane spodnie nad kostkę oraz czarne czółenka na wysokim obcasie. Wiedział, że dziś będzie pisała, zawsze elegancko się ubierała, kiedy miała zamiar pracować nad książką. Normalnie wybierała stroje o klasycznym kroju i prawie nie nosiła biżuterii. Ale dziś założyła gruby, złoty łańcuch, który odcinał się od czerwonego tła. Wzruszyło go to, bo naszyjnik należał wcześniej do jego matki.

- Dziękuję - odparła. - Także za śniadanie do łóżka.

- Drobiazg. - Spojrzał na zegarek. - Niedługo muszę iść. Ale powiedz, co sądzisz o wczorajszym wieczorze?

Zacęła od tego, jak bardzo podobała im się ceremonia.

- A później, po kolacji? - zapytał Verlaque. - Co powiedziała ci ta samotniczka?

- Samotniczka? To ciekawe.

- Dlaczego?

- Moja mama też tak ją nazwała - wyjaśniła Marine. - Nazywa się France Dubois, pracuje w miejscowym kościele protestanckim, ale niewiele mi powiedziała. A my musimy zacząć myśleć o Bożym Narodzeniu.

Verlaque jęknął.

- Wiem, że to nie są twoje ulubione święta - mówiła dalej Marine. - Ale zaprosiliśmy twojego ojca i Rebecę oraz moich rodziców, więc powinniśmy pomyśleć o obiedzie i jakichś prezentach. - Odstawiła filiżankę. - Antoine - zaczęła. - Nasze Boże Narodzenie może być piękne.



Verlaque podszedł do okna. Patrzył na starą kobietę idącą w górę wąskiej uliczki z koszykiem z supermarketu przewieszonym na przedramieniu.

- Te święta przypominają mi o mojej matce. - Wziął głęboki oddech i mówił dalej: - Tak naprawdę o obojgu rodzicach. I o tym, jak spieprzyli nasze wychowanie.

Marine siedziała nieporuszona, by nie przerwać rozmowy, choć najchętniej podeszłaby do niego i go przytuliła.

- Zdarzały się święta, kiedy mamy nawet nie było w domu - opowiadał. - Więc ojciec się miotał i wreszcie zabierał nas w ostatniej chwili na narty, zwykle jechała też z nami jedna z jego dziewczyn, modelek, albo podrzucił nas Charles'owi i Emmeline. Oni byli zachwyceni, ale za bardzo starali się nam wszystko wynagrodzić. Jeżeli mama zostawała w domu na Boże Narodzenie, to nieustannie się z ojcem kłócili. Więc kiedy tylko wyprowadziłem się z domu, zacząłem całkowicie ignorować święta. Dwudziestego czwartego grudnia starałem się znaleźć w samolocie lecącym dokądkolwiek, byle daleko. Do Tokio, Tel Awiwu... - Przerwał i podrapał się po brodzie. - Powiedz mi jeszcze jakieś miasto na „t”.

- Toronto. - Uśmiechnęła się.

- Dzięki.

Marine podniosła się, przeszła przez pokój i otoczyła męża ramionami.

- Miłego dnia, kochanie - powiedział, odwzajemniając uścisk. - Do zobaczenia wieczorem. - Pocałował ją, chłonąc jej zapach... Czy to róże?... I ciepło jej ciała. - Nie wrócę późno - obiecał.

Marine stanęła przy oknie i patrzyła, jak Antoine zakłada płaszcz. Otworzył drzwi wejściowe, pomachał jej ręką i wyszedł. Podniosła swoją filiżankę i ruszyła z nią do kuchni, myśląc o swoim mężu i o wszystkim, co robił, zanim go poznała. Wiedziała, że jeśli zapyta go o przeszłość, on przyjmie postawę

obronną, zamknie się w sobie. Ale jednocześnie była ciekawa jego historii. Wzruszyła ramionami i włożyła filiżankę do zmywarki. Przekonywała siebie, że to, co minęło, nie ma znaczenia. Jednak wciąż miała przed oczyma Antoine'a w młodości - bez siwych włosów, z nieco smuklejszą sylwetką - jak spaceruje po dalekim, zamorskim mieście z rzędami palm, na przykład Tel Awiwie. Poczowała ciekawość i lekkie ukłucie tęsknoty.

Po wejściu do gabinetu Verlaque najpierw zrobił sobie espresso. Następnie wypełnił formularz zlecenia sekcji zwłok. Tym samym unikał konieczności czekania na zgodę Debry Hainsby. Zaniósł pismo do Mme Girard, swojej sekretarki, która akurat gdzieś wyszła, i położył go na jej nieskazitelnie czystym biurku. Spojrzał na oprawioną w ramkę fotografię jej trojga uśmiechniętych dzieci. Wiedział, że teraz są już dorosłe i mieszkają poza domem.

- *Trois, bien sûr - mruknął.*

Większość ludzi, których znał, jeśli już miała dzieci, to właśnie trójkę - zasilek rodzinny był wtedy najwyższy. Wrócił do gabinetu, zamknął drzwi i chwycił za telefon, by zadzwonić do Brunona Paulika.

Pięć minut później komisarz był już w gabinecie Verlaque'a i delikatnie trzymał w swojej wielkiej dłoni filiżankę do espresso. Kiedy sączył kawę, Verlaque opowiedział mu o wydarzeniach z poprzedniego wieczora.

- Wiem, że teraz nie dzieje się u nas za wiele, i dzięki Bogu - podsumowywał Verlaque - więc może sądzisz, że przesadzam?

Paulik odstawił swoją małą filiżankę na skraju biurka i skrzyżował ramiona.

- Facet po czterdziestce może nagle umrzeć - powiedział.

- Wiem.

- Miałem kuzyna...

Verlaque starał się ukryć uśmiech. Położył ręce na biurku i pochylił się do przodu, gotów wysłuchać jeszcze jednej historii o krewnym Paulika z Luberonu. Oboje jego rodzice pochodzili z wielodzietnych rodzin, więc Paulik miał setki kuzynów i setki opowieści.

- Yvan - mówił dalej Paulik - pewnego popołudnia zjadł na lunch cassoulet i padł martwy. Miał trzydzieści sześć lat.

Verlaque, który uwielbiał to składające się z mięsa i fasoli danie z południowego zachodu Francji, uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Pomyślał, że cassoulet w dużych ilościach było wystarczająco ciężkie, by wywołać atak serca.

- Ale to nie był atak serca - zapewnił go Paulik. - Lekarz powiedział nam, że ono się po prostu zatrzymało. Myślę, że Yvan miał złamane serce.

- Naprawdę?

- Tak. Kochał się w dziewczynie z Gordes, która kilka miesięcy wcześniej zaszła w ciążę i poślubiła jednego z tych wiejskich dupków, których nigdzie nie brakuje. W szkole nie przestawał nas dręczyć.

Verlaque skinął głową.

- Mieliśmy też takich w Paryżu.

Paulik opowiadał dalej, z coraz większą swadą, jak zawsze, kiedy relacjonował jakąś historię.

- Jego rodzice - on wciąż mieszkał w domu rodzinnym - znaleźli wiele listów, które Yvan napisał, ale nigdy do niej nie wysłał. Pochowali je wraz z nim.

- Straszna tragedia - stwierdził Verlaque. - To jak Ugolin z filmu *Manon u źródła*.

Paulik skinął głową i chrząknął.

- Tak. Yvan nawet wyglądał jak młody Daniel Auteuil. I biegał jak wiatr. - Przerwał i uśmiechnął się.

Verlaque wiedział, że jeżeli mały, żylasty Yvan był zaczepiany przez łobuzów z Gordes, Bruno potrafił go obronić. Bruno Paulik - dobrze znany w Luberonie dzięki swoim dokonaniom w rugby i dobrze znany Verlaque'owi ze swojego spokoju i łagodności.

- Gdyby nie było tak wcześnie, zaproponowałbym wzniesienie toastu za Yvana odrobiną rumu - rzekł Verlaque i ruchem głowy wskazał na szafkę pod półkami na książki, gdzie trzymał butelkę siedmioletniego Havana Club, dwie szklaneczki i wszystkie swoje cygarowe parafernalia.

- Chyba musimy to odłożyć - powiedział Paulik, wiedząc, co znajduje się w szafce.

Kiedy komisarz wyszedł, Verlaque ponownie usiadł i wrócił myślami do tego, co się stało. Po raz pierwszy poszedł na bożonarodzeniowy koncert, a po koncercie umarł mężczyzna. Nic dziwnego, że ani on, ani Marine nie mogli spać tej nocy. Dlaczego tak go to niepokoi? Czy to wspomnienie dziadka Charles'a, upadającego na podłogę podczas kolacji Lions Club niedaleko ich wiejskiego domu w Normandii? Jak kilka dni później Verlaque usłyszał od starszego sąsiada, dziadek zmarł z kieliszkiem swojego ulubionego wina w rękę. Czy chodziło raczej o słowa doktora Forestiera o wysypce i oparzeniu skóry wokół ust denata, a może o plotki Florence Bonnet? Tak, było coś w opowieści jego teściowej, co wywoływało w nim napięcie.

Wstał, sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął „La Provence”, którą wcześniej złożył na dwoje. Wrócił za biurko i rozpostarł gazetę na blacie, po czym przeszedł do całostronicowej reklamy dwujęzycznej szkoły. Oparł głowę na dłoniach i oglądał małe, czarno-białe zdjęcia. Każde z nich przedstawiało bardzo radosnych uczniów i nauczycieli w szkole, która, jak wyobrażał sobie Verlaque, kosztowała więcej za rok niż cała jego szkoła prawnicza. Poprawił okulary i wpatrzył się w trzecią fotografię. Najwyraźniej odbywało się właśnie jakieś uczniowskie

przedstawienie, scena ustawiona była na zewnątrz szkoły, widok obejmował pierwszy rząd widowni. Siedziała w nim między innymi Debra Hainsby, patrzyła na dziecięcych aktorów i się uśmiechała. Jej prawe ramię dotykało ramienia mężczyzny siedzącego obok – on także się uśmiechał, ale do Debry, nie do uczniów. To nie był Cole Hainsby. Verlaque podniósł gazetę, by lepiej się przyjrzeć. Rozpoznał mężczyznę, którego Florence Bonnet skwitowała słowami: „włoskie lub korsykańskie nowe pieniądze”. Na kolejnym zdjęciu mer Aix przekazywał dyrektorowi szkoły jakąś nagrodę, najpewniej za wkład w życie miasta. W podpisie pod zdjęciem wymieniono ich nazwiska, nazwisko mera Verlaque dobrze znał, a dyrektora szkoły przedstawiano jako Alaina Sorbę. To ten sam mężczyzna, który dzielił swój talerz i kieliszek z Debrą Hainsby, i ten sam, który siedział przy niej na uczniowskim przedstawieniu.

## 11.

O dziesiątej zadzwoniła do Verlaque'a patolog z Aix, doktor Agnès Cohen.

- Nie przeszkadzam? Co pan robi? - zapytała.

Verlaque przez godzinę spisywał, dlaczego jego zdaniem śmierć Cole'a Hainsby'ego mogła nastąpić w wyniku przestępstwa. Przez dłuższy czas wyglądał też przez okno na małą uliczkę poniżej, gdzie stałym strumieniem, wolno jechały samochody, a kierowcy mieli nadzieję zająć któreś z nielicznych miejsc parkingowych przy rue Mondar. Zastanawiał się, jak długo ta uliczka przetrwa, zanim zaatakują ją miejskie ekipy budowlane, powołując się na plany rozwoju przygotowane przez mera.

- Papierologia - odparł. Spojrzał w górę na kopułę kaplicy Les Oblats, a ponad nią na wysoką, spiczastą iglicę Saint-Jean-de-Malte. Niebo miało tę samą czystą barwę, jakiej używają dzieci, kiedy je malują.

- Mam wyniki badań - powiedziała. - Wyślę je kurierem. Ale pewnie chciałby pan już coś wiedzieć.

- Proszę mówić.

- Mężczyzna zmarł na skutek zatrucia. Wysiadła mu wątroba.

Verlaque skrzywił się i zaczął przemierzać pokój.

- Jaka to była substancja?

- Och, taka, której ja rzadko używam, ale wielu ludzi korzysta z niej codziennie albo co kilka dni. Nie trzeba mieć recepty. - Przerwała i Verlaque słyszał, jak coś żuje. *Pain au chocolat?* *Croissant?* - zastanawiał się.

- To był Doliprane.
- Paracetamol?
- Tak, lek przeciwbólowy.
- Jak to możliwe?

- Osiem tabletek tysięcgramowych zrobi swoje - wyjaśniła i tym razem coś wypła. Łyk kawy? Wody? - To bardzo proste. Panu zostawiam decyzję co do tego, czy M. Hainsby sam zażył lek, czy ktoś podał mu go w jedzeniu.

- Nie potrafi pani tego stwierdzić?
- Niestety nie.
- Naprawdę?

Namyśliła się chwilę, zanim odpowiedziała:

- Potrzebuję więcej czasu, ale nie mogę nic obiecać. - Rozłączyła się, zanim miał szansę jej podziękować.

- Doliprane? - mruknął. - Kto umiera od przedawkowania Doliprane'u?

Otworzył środkową szufladę biurka i zobaczył znajome małe, żółte pudełko. Takie samo trzymał w samochodzie, w schowku na rękawiczki. Wiedział również, że Mme Girard miała podobne w swoim biurku. Kiedyś musiał ją poprosić o tabletkę.

Zadzwoił do Brunona Paulika, przekazał mu nowe informacje i zasugerował wspólny lunch. Następne połączenie wykonał do APCA, wybierze się najpierw do nich, zanim zburzy spokój Debry Hainsby. Kto wie, gdzie ona teraz jest? Przerazała go myśl o jej następnym zadaniu: powiedzeniu dzieciom, że ich ojciec nie żyje.

Było słonecznie i zimno, kiedy Verlaque i Paulik przechodzili przez plac przed Pałacem Sprawiedliwości, skręcili w lewo w rue Chastel i weszli do Chez Fanny, ich ulubionego bistra. Prowadziła je miła blondynka, która przed laty sprzedała swoje mieszkanie i agencję nieruchomości w Paryżu, by przeprowadzić się do Aix.

Jej potrawy, proste i solidne, powstawały na bazie miejscowych, organicznych składników. Paulik zauważył wolny dwuosobowy stolik i chcąc go zająć, położył na krześle swój płaszcz i szalik. Skierowali się do baru, by złożyć zamówienie. Fanny przywitała ich i – jak zawsze dyskretna – zachowała dla siebie, że dwaj dobrze zbudowani mężczyźni, którzy właśnie weszli, to sędzia i komisarz policji.

Paulik uważnie przyjrzał się tablicy kredowej i zamówił stały punkt w tutejszym menu – *pan bagnat* z Nicei.

– A jakie jest danie dnia, Fanny? – zapytał Verlaque, mrużąc oczy, by przeczytać listę dań.

– Gulasz – odparła Fanny, przerzucając przez ramię biały, lniany ręcznik kuchenny. – Ugotowałam go z białym winem, nie z czerwonym.

Verlaque podniósł rękę.

– Przekonała mnie pani.

– Chwileczkę – odezwał się Paulik. – Zmieniłem zdanie i także wezmę gulasz.

– Co? – zdziwił się Verlaque, patrząc na Paulika, a potem uśmiechnął się szeroko do Fanny. – Nie chcesz zdrowej sałatki z tuńczykiem na chlebie?

– Jest zimno na dworze – wyjaśnił Paulik, dla lepszego efektu udając, że się trzęsie.

– Gulasz wołowy na pewno pana rozgrzeje – roześmiała się Fanny. – Proszę usiąść, ja wszystko przyniosę.

– Poprosimy jeszcze o czerwone wino – zawołał Verlaque.

– *Ça marche!* – odparła Fanny. – Przyniosę też karafkę wody.

Paulik usiadł i oparł przedramiona na stole.

– Kościół protestancki jest tuż za rogiem, prawda? – zapytał.

– Tak. Zadzwoniłem tam i poprosiłem, żeby wszystkie kluczowe osoby z wczorajszego wieczora były tam dziś po południu.



Rozmawiałem z wielebnym, nie zdziwił się, że chcę z nimi rozmawiać.

- Bo nie wiedzą, że to będzie przesłuchanie - zasugerował Paulik. - Jeszcze nie. - Wyrzął przez okno Chez Fanny. Obok bistra przechodziło kilkoro ludzi, a po przeciwnej stronie ulicy widniała zabytkowa rezydencja wpisana na listę zabytków, z bogato rzeźbionym, kamiennym wejściem. - Lubię tę ulicę, zawsze ją lubiłem.

- Ja też. Znajdujemy się tak blisko Place des Prêcheurs, a jednak panuje tu spokój.

- Może zbyt wielki spokój jak dla Fanny.

- Uwaga, panowie - odezwała się właścicielka, stawiając na stole dwie porcje gulaszu wołowego. - Miski są gorące.

- Dziękujemy - odparł Paulik, podwijając rękawy koszuli.

Po chwili kelnerka przyniosła dwie karafki, jedną z wodą z kranu, drugą z winem, i postawiła je pomiędzy mężczyznami.

- Czy coś jeszcze? - zapytała Fanny. - Oczywiście chleb zaraz przyniosę.

- APCA? - powiedział Verlaque.

- Przy rue Lacépède - poinformowała go Fanny, trzymając ręce na biodrach. - Mam stamtąd wielu klientów. A jedna z wiernych, żona pastora, zaczęła dla nas robić ciasto czekoladowe i placek pekanowy. Na sposób amerykański.

- Czy dzisiaj był tu ktoś z kościoła? - chciał wiedzieć Verlaque.

- Tylko Jennifer, właśnie ta cukierniczka. Przyniosła ciasta. Ale obie byłyśmy podenerwowane, bo to poniedziałkowy poranek, więc wiele nie rozmawialiśmy.

Paulik spojrział na kontuar, gdzie pod szklanym kloszem prezentowała się połowa ociekającego masłem placka pekanowego.

- A gdzie ciasto czekoladowe? - zainteresował się.

Fanny wskazała na drugi koniec blatu.

- Zostały dwa kawałki - powiedziała. - Jennifer nazywa je czekoladową śmiercią.

Paulik odwrócił się i spojrzał na Verlaque'a z uniesionymi brwiami.

- Proszę je dla nas odłożyć - zdecydował Verlaque z szerokim uśmiechem.

Fanny roześmiała się, wycierając ręce w fartuch. - Okej. Teraz przyniosę panom chleb.

- Mam przecucie, że ciasto czekoladowe doda nam energii - powiedział Paulik, zanurzając widelec w swoim gulaszu.

- Jest lepsze od red bulla, prawda?

- *Que diable?* - zdziwił się Paulik i odłożył widelec. - Nigdy nie wypiłby pan tego świństwa, mam rację?

- Oczywiście, że nie - zapewnił Verlaque, popijając łyk wina.

- Od czasu do czasu można pić to - dodał, podnosząc kieliszek.

- Jest taka restauracja w Wenecji - zaczął Verlaque. - Żona szefa kuchni była cukierniczką. Pochodziła z Teksasu...

- Jest jakaś puenta tej anegdoty? - zapytał Paulik, kiedy skręcali w rue Lacépède. Pochylił głowę, by ochronić się przed wiatrem. - Robi się zimniej.

- Diane robiła takie samo ciasto.

- W weneckiej restauracji?

- W jednej z najlepszych weneckich restauracji - uściślił Verlaque. - Przynajmniej moim zdaniem.

- Cóż, cieszę się, że zrezygnowaliśmy z kawy, tylko tyle mogę powiedzieć. - Paulik pogłaskał się po brzuchu, który zdaniem Verlaque'a mógłby być trochę mniejszy. Oczywiście, ciasto było bogate i słodkie, ale nie słodsze niż ciasto opera czy napoleonka.

- Fanny oczywiście nie wie o śmierci Cole'a Hainsby'ego, prawda?

- Nie, ale może nie jest tak blisko ze społecznością ekspatów.

Zatrzymali się przed kościołem i Verlaque spojrzął na zegarek.

- Przyszliśmy punktualnie - stwierdził.

Nacisnęli na dzwonek znajdujący się tuż pod tablicą z brązu z napisem APCA. Jakiś głos zaprosił ich do środka. Drzwi kliknęły, otwierając się, a Paulik starannie je za sobą zamknął. Znaleźli się przed średniej wielkości biurem, które w ocenie Verlaque'a mogło mieć około trzydziestu metrów kwadratowych. Pomieszczenie było zastawione trzema biurkami, regałami i dwoma stołami na kozłach, na których piętrzyły się sterty książek i papierów.

Na ich spotkanie wyszedł wielebny Dave, wymienili uściski dłoni.

- Witamy w naszym bałaganie - powiedział wielebny po angielsku.

Podeszła do nich wysoka i szczupła kobieta przed czterdziestką. Miała zaczesane do tyłu rude włosy.

- Jestem Jennifer Flanagan, żona Dave'a - przedstawiła się po francusku. Spojrzała na Verlaque'a i mówiła dalej: - Widziałam pana wczoraj na kolacji, ale starałam się zaopiekować Debrą.

- Oczywiście. - Verlaque skinął głową. - To zrozumiałe. Wszyscy byliśmy zaszokowani.

- Świetnie mówi pani po francusku, Mme Flanagan - powiedział Paulik.

- *Merci* - podziękowała. - Studiowałam filologię francuską na uniwersytecie i na rok przyjechałam tutaj, do Aix, mogą panowie wierzyć lub nie, ale w filii uczelni w Vanderbilt...

- Przy rue Cardinale - dodał Verlaque - Znam ten budynek.

- Jennifer pochodzi z Tennessee - wtrącił Dave.

Verlaque skinął głową. Czy Dave sądził, że on nie wie, iż uniwersytet Vanderbilt znajduje się w Nashville?

- Muszę się przyznać, że mieliśmy przyjemność skosztować pani ciasta u Fanny.

- Och, mam nadzieję, że panom smakowało - powiedziała. - Wstałam wyjątkowo wcześniej, żeby je upiec, ale obawiam się, że nie włożyłam w to serca.

- Całkowicie panią rozumiem - zapewnił ją Verlaque.

- Powiedział pan, że chcecie porozmawiać z nami o Cole'u - odezwał się Dave, nerwowo pocierając dłonie. - Mogę zapytać, dlaczego? Nie jestem pewien, jak możemy pomóc... Choć oczywiście był członkiem naszej kongregacji...

- Dziś rano zadzwoniła do mnie patolog miejska - zaczęła Verlaque. - M. Hainsby nie zmarł na atak serca, jak myśleliśmy wczoraj. Zmarł na skutek otrucia.

- Otrucia pokarmowego? - zapytała Jennifer Flanagan.

- Tak, albo sam przyjął truciznę, albo podano mu danie ze śmiertelnością substancją, by go zabić.

Twarz Dave'a pobladła.

- Jestem w szoku - powiedział ledwie słyszalnie. - No cóż, zatem możecie panowie zacząć ode mnie. Staralem się trochę posprzątać moje biuro. Chodźmy. - Wskazał na otwarte drzwi.

Weszli do pomieszczenia, gdzie panował taki sam chaos jak w głównym biurze, tylko w nieco mniejszej skali.

- Dostawiliśmy dwa krzesła za biurkiem - powiedział Dave. - I jedno przed dla osoby przesłuchiwanej. Teraz to chyba będę ja.

Verlaque i Paulik usiedli na wskazanych krzesłach i Paulik otworzył swój notatnik.

- Od jak dawna znał pan Cole'a Hainsby'ego? - zapytał.

- Od dwóch lat - odparł Dave. - Spotkałem go zaraz po przyjeździe tutaj.

- Jakie zrobił na panu wrażenie?

- Domyślałem się, że mnie pan o to zapyta - powiedział Dave. - Ale nadal nie jestem pewien, jak odpowiedzieć. Był w rozsypance. - Powiodł dokoła prawą ręką, wskazując cały pokój. - Tak jak ten gabinet. *Il était un bordel!*

- Może pan sprecyzować?- Był chodzącą katastrofą. Wydawało się, że zawsze jest w kłopotach albo przed nimi ucieka. Nie jestem pewien, na czym polegały. Za dużo pracy? Za mało? Nie mógł usiedzieć w miejscu ani dłużej koncentrować się na rozmowie.

- Czym się zajmował?

- Organizował ekskluzywne wycieczki turystyczne.

- Czy sam prowadził biznes? - zapytał Paulik, myśląc, że wychwyił cień zazdrości w głosie wielebnego.

- Nie. Miał wspólnika. Miejscowy dzieciak - Damien Petit - odparł Dave. - Miły, młody człowiek.

- Co pan o nim wie? - dopytywał Verlaque.

- O Damienie? Niewiele. Spotkałem go tylko raz czy dwa, ale już z tych spotkań wnioskuję, że to dobry człowiek.

- A Mme Hainsby? - pytał dalej Verlaque, nie bardzo wierząc w ocenę charakteru Damiena Petita opartą na dwóch krótkich spotkaniach.

- Och, tak, znam ją. - Dave zrobił przerwę, przygryzając dolną wargę. - Ale nie mnie to mówić...

- Proszę kontynuować - przynaglił go Paulik.

- Mam wątpliwości, czy ich małżeństwo było szczęśliwe. Przynajmniej Debra nie jest - nie była szczęśliwa. Prawie wszyscy w tutejszym kościele zdawali sobie z tego sprawę.

- Czy Cole kiedykolwiek wyznał panu coś na ten temat? - pytał dalej Verlaque.

- Jak przy spowiedzi? U nas tego nie robimy. - Uśmiechnął się. - Ale wiem, co pan ma na myśli. Nie, tak jak mówiłem, nie

potrafił wystarczająco długo usiedzieć na miejscu...

- Dziękujemy - powiedział Verlaque, odchylając się do tyłu. - Ostatnia rzecz. Zauważyłem, że opuścił pan nabożeństwo podczas kolędy śpiewanej przy zapalonych świecach. Dlaczego?

- Ach, rzeczywiście - potaknął Dave z niewzruszoną twarzą. - Ustawiłem telefon na wibracje. Moja matka... jest bardzo chora... więc poprosiłem brata z San Diego, aby dzwonił do mnie zawsze, jeśli jej stan się pogorszy. Niestety zadzwonił w środku *O Christmas Tree*, więc wymknąłem się, by odebrać telefon.

- Czy wszystko w porządku?

- To nie było nic poważnego. - Dave machnął ręką. - Mój brat nie miał pojęcia, że akurat trwa nasze najważniejsze nabożeństwo w roku.

Verlaque zauważył, że przed ich spotkaniem Jennifer Flanagan przeczesła włosy i użyła nieco czerwonej pomadki. Podobnie jak Marine, nie nakładała więcej makijażu.

- Jak się pani czuje, Mme Flanagan? - zapytał.

- Posiniaczona - odparła po francusku.

Verlaque skinął głową. Już ją lubił.

- Czy dobrze znała pani M. Hainsby'ego? - chciał wiedzieć Paulik.

- Niezbyt - odparła. - Mówiąc prawdę, wołałam go unikać.

Paulik uniósł brwi, a ona mówiła dalej:

- Wyglądał mi na człowieka, który aż prosi się o kłopoty.

- Czy kiedykolwiek wydawał się zmartwiony?

Jennifer zmrużyła oczy, jakby się zastanawiała. Potem skinęła głową.

- Tak, powiedziałabym, że się martwił... ale... nie chciał tego okazywać.

Paulik lekko przechylił głowę, zachęcając ją, by mówiła dalej.

- Widzicie, panowie, były pewne znaki. Na przykład, kiedy mówił, śmiał się z rzeczy, które wcale nie były zabawne, i jednocześnie wykręcał ręce. Sądzę, że przejmował się finansami. Wielu mężczyzn tak ma, prawda? Cole zawsze informował każdego, że mieszka w Saint-Marc-Jaumegarde. To powracało w każdej rozmowie i nasunęło mi myśl, że udaje bogacza.

Verlaque założył nogę na nogę, Mme Flanagan zrobiła na nim duże wrażenie. Nie znosił Saint-Marc-Jaumegarde. Z braku lepszego słowa nazywał mieszkańców tej wsi pozerami. Domy nie były tam ani trochę bardziej okazałe niż te wzdłuż Route Cézanne, pomiędzy Aix a Le Tholonet, ale mieszkańcy domów przy ulubionej drodze Cézanne'a należeli do innej klasy. Albo wywodzili się z bogatych rodzin i celowo jeździli starymi samochodami i nosili wytarte ubrania, albo zbili taki majątek, że już dawno przestali się nim chwalić.

- Jest pani blisko z jego żoną? - zapytał Verlaque.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie. - Wyprostowała plecy i mówiła dalej: - Wiecie, panowie, jako żona pastora jestem na dobrej stopie z każdym, zwłaszcza że niektórzy z ekspatów jeszcze nie mówią po francusku. Ale nie przyjaźnię się z żadnym z nich, mam nadzieję, że to zrozumiałe. Jestem wystarczająco zajęta - moją rodziną i przyjaciółmi, moim pieczeniem, kontynuuję też studia na uniwersytecie. Piszę magisterkę z literatury egzystencjalnej.

- Po francusku? - upewniał się Verlaque. - To imponujące.

Uśmiechnęła się i położyła ręce na kolanach, obracając obrączkę.

- Dziękujemy za rozmowę - powiedział Verlaque. - Czy mogłaby pani poprosić tu Mlle Dubois?

- Oczywiście - odparła, podniosła się z krzesła i cicho wyszła.

Chwilę później rozległo się delikatne pukanie.

- Proszę wejść - odezwał się Paulik, oparł na biurku przedramiona i pochylił się do przodu.

- *Asseyez-vous* - zaprosił ją Verlaque, wskazując na puste krzesło przed biurkiem. Wygładziła swoją szorstką, wełnianą spódnicę i pociągnęła ją w dół, jakby chciała ją przedłużyć. Mimo to długość pozostała niemodna, spódnica nie była ani krótka, ani długa. Dziewczyna nie miała wdzięku Jennifer Flanagan ani jej pewności siebie, ale Verlaque'owi podobały się jej brązowe oczy, które patrzyły na niego spokojnie, prawie bez mrugania. Pomyślał, że zacznie spotkanie tak samo jak wcześniej - od tego, jak rozmówczyni się czuje.

- Dobrze - powiedziała, a jej głos lekko się załamał. - Trochę zmęczona, to wszystko.

Przedstawił Brunona Paulika, który wyciągnął rękę ponad biurkiem i przywitał się z France.

- Jak długo pani tu pracuje? - zapytał Verlaque.

- Od sześciu lat - odrzekła. Verlaque starał się odgadnąć jej wiek. - Odbylałam dwa staże, jeden w Paryżu i jeden tutaj, w Aix, potem przez sześć lat miałam kilka prawie stałych prac, aż wreszcie szczęśliwie trafiłam tutaj.

Verlaque skinął głową. Ścieżka kariery Mlle Dubois wydawała się bardzo typowa dla kogoś z jej pokolenia. Więc musi mieć jakieś trzydzieści pięć lat.

- Jest pani z Aix?

Uśmiechnęła się lekko, po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy.

- Tutaj się urodziłam.

- Żaden z nas nie pochodzi z Aix - odezwał się Paulik z uśmiechem. Wskazał na Verlaque'a i dodał: - Sędzia jest z Paryża, a ja z Luberonu.

- Och, Luberon jest taki piękny - stwierdziła France. Zawahała się przez chwilę, po czym dodała: - Ale na pewno



bardzo się zmienił, od kiedy pan stamtąd wyjechał.

Paulik podniósł rękę w geście bezradności.

- Ci cholerni paryżanie! - zawołał Verlaque, zaciskając pięść, miał nadzieję, że dobrze naśladowuje rozżłoszczonego rolnika. Wszyscy troje się roześmiali.

- To, co stało się wczoraj, wstrząsnęło nami wszystkimi - zaczął Paulik. - Pomocna będzie każda informacja na temat Cole'a Hainsby'ego, którą może nam pani przekazać.

Verlaque z powagą pokiwał głową i zastanawiał się, dlaczego traktują Mlle Dubois jak dziecko. Z tego, co wiedzieli, potrafiła być rekinem.

- Uznali panowie jego śmierć... za podejrzaną? - zapytała z niepokojem.

- Cole Hainsby zmarł z powodu zatrucia. Zjadł więcej niż osiem tabletek Doliprane'u, co, jak pani wie, okazało się śmiertelne.

France zaczerwieniła się i przyciągnęła rękę do twarzy. Wzięła kilka głębokich oddechów i zapytała:

- Czy ktoś go zabił?

- Czy znała pani M. Hainsby'ego?

- Nie, nie poznałam go. Kilka razy rozmawialiśmy przez telefon, to wszystko. Pierwszy raz widziałam go w sobotę wieczorem. Zwołaliśmy spotkanie, by omówić ostatnie przygotowania do śpiewania kolęd.

- Czy był lubiany? - zapytał Paulik.

- Przez kogo? Tutaj, w APCA? Nigdy nie słyszałam, by ktoś na niego narzekał. Nie był złym człowiekiem ani nic takiego.

- A jego partner biznesowy? - chciał wiedzieć Paulik. - Nazywa się Damien Petit.

France szeroko otworzyła oczy i obciągnęła spódnicę.

- Yhm, nigdy go nie spotkałam.

- Ale pewnie go pani znała.

- Niezupełnie - odparła. - Ale siedziałam obok niego w zeszłym tygodniu w Café Mazarin.

- Jaki to był dzień? - dopytywał Paulik, przerzucając do tyłu kilka kartek w notesie.

- To był piątkowy lunch.

- Też tam byłem - oznajmił Verlaque.

- Wiem - powiedziała France zdecydowanie. - Widziałam pana.

- Och, oczywiście. - Zwrócił się do Paulika z wyjaśnieniem: - Spotkałem się tam ze starym przyjacielem, który ożenił się z Margaux Perrot. Była z nami. Jestem pewien, że zwracaliśmy na siebie uwagę.

France mówiła dalej, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie interesuje się gwiazdami filmowymi, a pytania zaczynają ją męczyć.

- Usiedli przy sąsiednim stoliku, ale Cole nie wiedział, kim jestem. Ja rozpoznałam go po głosie, a ponieważ zwracali się do siebie po imieniu, to się w tym upewniłam.

- Czy słyszała pani, o czym rozmawiają? - zapytał Verlaque.

- Stoliki w Mazarin są tak ciasno poustawiane - dodał z nadzieją, że zabrzmiało to swobodnie.

- Damien był zdenerwowany. - Skinęła głową. - Cole podjął jakąś decyzję biznesową, nie konsultując się z nim. Sądzę, że to było związane z pieniędzmi.

Paulik zanotował te informacje, ale żaden z mężczyzn się nie odezwał. Gdy stało się jasne, że France nie ma już nic do dodania, Verlaque zapytał:

- A Mme Hainsby? Czy ją pani zna?

- Niezbyt dobrze. Ją także spotkałam tylko raz, na tym samym spotkaniu. Ona nie jest wolontariuszką. Chyba pracuje jako sekretarka w szkole dwujęzycznej.

- Też w Lambesc?

- Four Seasons - sprecyzowała France. Wydawało się, że chce coś dodać, ale się powstrzymała.

- O co chodzi, Mlle Dubois?

- Nie, to nic. Właśnie sobie uświadomiłam, że muszę wykonać jedno połączenie. Wielu ekspatów dzwoni do nas, kiedy przyjeżdża do Aix, i pyta o szkoły.

- Czy sugeruje im pani Four Seasons? - zapytał Verlaque.

- Tak. Dzieci zazwyczaj nie mówią po francusku, a większość rodzin zostaje tu tylko na rok lub dwa.

- Na rok lub dwa? - zdziwił się Verlaque. - Trudno im w tym czasie zdobyć przyjaciół.

- Tak, trudno zdobyć przyjaciół - powtórzyła, jak później uznał Verlaque, z pewnym smutkiem w głosie.

- Czuję się jak stary dureń - stwierdził Verlaque, zdejmując buty i kładąc je pod stolikiem kawowym. - Coś podczas tych spotkań nie dawało mi spokoju.

- Co takiego? - zainteresowała się Marine, wchodząc do salonu z dwoma kieliszkami białego wina.

- Rozmawialiśmy z dwiema bardzo różnymi kobietami. Jedna jest pewna siebie i towarzyska, druga nieśmiała, ale obie są bardzo inteligentne.

- I to jest problem, Antoine? - Roześmiała się.

Upił trochę wina i pokręcił głową.

- Chodzi mi o to, że obie są dobrymi obserwatorkami i wydaje mi się, że wykonują pracę poniżej swoich możliwości. Jennifer Flanagan studiuje literaturę francuską, ale zajmuje się pieczeniem ciast, i dlatego, do licha, France Dubois od tylu lat pracuje dla tego kościoła? Jest tylko sekretarką, nawet jeśli dwujęzyczną.

- Po pierwsze, Antoine - zaczęła Marine, odstawiając kieliszek i biorąc garść solonych migdałów - ekspaci, szczególnie którzy przyjechali do Prowansji dlatego, że

małżonek podjął tu pracę, muszą dostosować się do tego, co tu zastaną. Mieszkają z dala od krewnych i przyjaciół, a w kraju porzucili dobre posady. – Wrzuciła migdały do ust i uniosła rękę na znak, że jeszcze nie skończyła mówić. – A jeśli chodzi o France Dubois, to czy ma umowę na czas nieokreślony?

– Tak – potwierdził Verlaque, choć poczuł się, jakby go pouczała.

– Wiesz, jak trudno teraz zdobyć takie umowy we Francji, Antoine – powiedziała. – Być może France starała się znaleźć inną posadę, ale w Aix szanse są niewielkie. A ona nie jest osobą, która łatwo nawiązuje kontakty i potrafi je wykorzystać, by piąć się w górę.

– A ty jesteś?

– Oczywiście, że tak! – stwierdziła Marine i sięgnęła po kieliszek. – Oboje jesteśmy.

– Chyba masz rację.

– Nigdy nikogo byśmy nie skrzywdzili ani nie nadużyli naszej umiejętności, z braku lepszego słowa, gawędzenia. Ale niektórzy ludzie tego nie potrafią. Na przykład France Dubois.

– Widziałem, że rozmawiałaś z nią podczas kolacji.

– Polubiłam ją – odparła Marine. – Jest bardziej interesująca, niż się wydaje.

– Właśnie to chciałem ci wyjaśnić. France wydawała się zdenerwowana, jakby przez cały czas się wahała, jakby czegoś nie mówiła.

– Zawsze tak postrzegasz ludzi. – Marine wstała i pocałowała go w czoło. – Muszę przygotować coś do zjedzenia. Jak weźmiesz nasze kieliszki i pójdziesz za mną do kuchni, powiem ci, czego się dowiedziałam podczas kolacji.

Verlaque ruszył za nią sfrustrowany, bo jego wieczór zaczynał do złudzenia przypominać jego popołudnie.

- Przez dobrą chwilę rozmawiałam z Claudie Pirone - zaczęła Marine, mieszając coś w garnku.

Verlaque zobaczył w nim zieloną soczewicę. Spojrzał pytająco na żonę.

- Dzisiaj bez mięsa - wyjaśniła. - Nie zdążyłam do rzeźnika. O, ale w lodówce jest trochę boczku. Mogę dodać. - Verlaque złożył ręce jak do modlitwy i spojrział na sufit. Marine z szerokim uśmiechem sięgnęła do lodówki. - I wracając do tematu, Claudie nie nazywa się już Pirone, ale McGregor.

Verlaque pociągnął łyk wina.

- Rozumiem, że to twoja koleżanka z liceum.

- To starsza siostra dziewczyny, z którą chodziłam do liceum. Była jedną z sześciu sióstr. - odparła Marine, krojąc boczek w plasterki i wrzucając je na rozgrzaną patelnię.

- Wow! I wygląda na to, że wyszła za Szkota...

- Tak, ale mieszkają tutaj. On ma na imię Jim.

Do drugiego garnka z wolno gotującą się wodą Marine wrzuciła tuzin małych ziemniaczków ratte, niektóre z nich nie były większe od orzecha włoskiego. Verlaque przyglądał się żonie, myśląc sobie, że jest wielkim szczęściarzem.

- Czy Claudie i Jim należą do APCA? - zainteresował się.

- Tak. Ale Claudie wyraziła się jasno - to Jim jest religijny, nie ona. W każdym razie Claudie nadal jest tak samo apodyktyczna, jak była w dzieciństwie. Jak mi powiedziała, oboje byli zdegustowani tym, że Hainsby'owie prowadzili wczorajszą ceremonię. Claudie i Jim robili to od sześciu lat, od kiedy tylko ten zwyczaj został zapoczątkowany.

Verlaque roześmiał się, słysząc o takiej małostkowości.

- Wiem, wiem - westchnęła Marine. - Wiesz, nigdy tak naprawdę nie lubiłam Claudie.

Odsączyła soczewicę w durszlaku, wyrzucając nabijaną goździkami cebulę i bukiet ziół, które się razem z nią gotowały.

Przesypała soczewicę z powrotem do garnka i dodała smażony boczek.

- Pięknie pachnie - stwierdził Verlaque.

- Uhm... To goździki. - Odwróciła się do męża i przechyliła przez blat kuchenny. - Claudie powiedziała mi, że coś dziwnego zaszło pomiędzy Hainsbymi sobotniego wieczoru. Czy ktoś ci o tym mówił?

- Nie. Słyszałem o tym spotkaniu, ale nie znam szczegółów.

- Cole Hainsby potłukł jakieś naczynie, a jego żona z płaczem wybiegła z pokoju - wyjaśniła Marine. - Claudie wydawała się tym rozbawiona.

- Dlaczego nikt nas o tym nie poinformował?

- Mogli myśleć, że to nie ich sprawa - zasugerowała Marine i obróciła się, by dźgnąć ostrym nożem jeden z ziemniaków. - To, co się dzieje pomiędzy partnerami, pozostaje prywatne.

- Mogli też mieć nadzieję, że ktoś inny nam powie - zastanawiał się Verlaque. - Nie chcieli plotkować. Rozumiem, co chcesz powiedzieć.

- Wydaje się dziwne, że Mme Hainsby płakała nad stłuczoną szklanką czy talerzem, prawda? - Marine podniosła garnek z ziemniakami, przeszła do zlewu i je odlała. - Kolacja gotowa. - Wyjęła z szafki dwa talerze, ułożyła na nich duże kawałki sałaty masłowej, na które łyżką nakładała soczewicę. Z boku talerzy umieściła po kilka ziemniaków. - A może trochę czerwonego burgunda?

Verlaque schylił się i otworzył małą lodówkę na wino, mając nadzieję, że go tam znajdzie. Był zbyt zmęczony, by zejść do piwnicy. Wyjął jedną butelkę i rozpoznał nazwisko kupca winnego.

- To Grand Cru - oznajmił. Wręczył wino Marine i wyprostował plecy.

- Będziemy musieli to jakoś znieść - odpowiedziała ze śmiechem.

## 12.

Następnego ranka do drzwi gabinetu Verlaque'a zapukał Bruno Paulik. Po chwili lekko je uchylił i wsunął do środka swoją łysą głowę.

- Właśnie dostałem esemesa. Partner biznesowy Hainsby'ego, Damien Petit, jest na dole - powiedział. - Może pan iść ze mną - dodał z uśmiechem.

Zeszli na parter, a potem skierowali kroki na przestronny dziedziniec, obserwowany przez siedemnastowieczny posąg Comte de Mirabeau.

- Petit jest tuż za rogiem - poinformował Paulik. - W pokoju numer trzy.

Verlaque skinął głową. Znał ten pokój, sam go umeblował, podobnie jak pozostałe cztery pomieszczenia wykorzystywane do przesłuchań. Zastąpił stare drewniane stoły i krzesła, które wyglądały jak dar od jakiejś szkoły średniej, współczesnymi białymi stołami i przezroczystymi krzesłami projektu Philippe'a Starcka.

Potrzebował kolejnej kawy.

Paulik otworzył drzwi i przepuścił szefa przodem. Pani inspektor, kobieta pod trzydziestkę, którą Verlaque ledwie rozpoznawał, skinęła głową i wyszła.

Verlaque przeszedł przez pokój i wyciągnął rękę.

- Jestem Antoine Verlaque, sędzia śledczy, a to nasz komisarz, Bruno Paulik.

Petit wymamrotał swoje nazwisko i ucisnął ich dłonie. Był spocony.



- Proszę usiąść - powiedział Verlaque, wskazując na krzesło, z którego Petit właśnie się podniósł.

On i Paulik usiedli naprzeciwko.

- Czy to prawda? - zapytał Petit pośpiesznie. - Że Cole nie żyje? Wcześniej rano dostałem niejasną wiadomość, a potem zadzwoniła policja... to znaczy... wy.

Verlaque skinął głową.

- Źle się poczuł podczas wczorajszej kolacji w katedrze - wyjaśnił.

Petit jęknął i przechylając głowę, spojrział na sufit.

- Kto do pana napisał? - zapytał Paulik, wyjmując z kieszeni marynarki długopis i mały notes.

Petit wyglądał na zaskoczonego.

- Dave Flanagan, z kościoła protestanckiego. Czy to przesłuchanie? To Cole nie zmarł na atak serca?

- M. Hainsby zmarł z przedawkowania leków - wyjaśnił Verlaque. - Podejrzewamy zatrucie.

- Co? - Petit chwycił się krawędzi stołu opuszkami palców. - Kto mógłby to zrobić? Czy Cole mógł wziąć jakieś tabletki?

- Tego nie wiemy - odparł Paulik. - Ale rzadko kto popełnia samobójstwo w pokoju pełnym ludzi. Czy kiedy pan go widział, M. Hainsby wydawał się zdenerwowany? Zmartwiony?

- Cole zawsze był zdenerwowany i zmartwiony. - Petit zastanowił się przez chwilę i dodał: - Z wyjątkiem sytuacji, w których naprawdę powinien się martwić. Wtedy był beztroski, nie miał najmniejszych zmartwień.

- Rozumiem, że jeszcze nam pan wyjaśni, co to oznacza - powiedział Paulik oschle. - Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- W zeszły piątek jedliśmy razem lunch, w Café Mazarin.

- Na dole czy na górze? - zapytał Verlaque, który był tam tego samego dnia.

- Na górze. - Nawet jeśli Petit uznał pytanie za dziwne, to nie pokazał tego po sobie.

Verlaque próbował przypomnieć sobie innych biesiadników z tamtego dnia, ale nie potrafił.

- Jak idą interesy? - odezwał się Paulik.

Petit skrzywił się.

- Nieszczególnie. Zwłaszcza od kryzysu w 2008. Liczba naszych wycieczek zmalała o połowę.

- Czy M. Hainsby się tym niepokoił? - zapytał Verlaque. - Albo czy właśnie to miał pan na myśli, mówiąc, że czasem powinien bardziej się niepokoić?

- Owszem - przyznał Petit. - Cole był optymistą, zawsze wierzył, że firma wyjdzie na prostą. I co najdziwniejsze, przeważnie tak się działo. Aż do ubiegłego roku. Wtedy zaczął się prawdziwy zastój.

- W trakcie śledztwa będziemy musieli uzyskać wgląd w waszą dokumentację finansową - poinformował go Verlaque. - Mam nadzieję, że możemy liczyć na pańską współpracę.

- Tak, oczywiście - odparł Petit, głos lekko mu drżał.

- Czy M. Hainsby miał jakichś wrogów? - zapytał Paulik.

Petit pokręcił przecząco głową, unikając kontaktu wzrokowego.

- Czy zna pan kogoś, kto chciałby go zabić?

Petit potarł dłonie. Drżały

- Nie.

- Czy pan się dobrze czuje? - zainteresował się Verlaque.

- Chodzi o moje drżące ręce? To mi się często zdarza.

- A jak układało się jego małżeństwo? Czy się panu zwierzał?

- Byliśmy współnikami, ale się nie przyjaźniliśmy. Widziałem, że jego żona, Debra, była bardzo sfrustrowana z jego powodu. Lubię ją. Czasem to dzięki jej pomysłom firma wracała na właściwe tory. Ale nie miałem wrażenia, by ich małżeństwo

przechodziło kryzys. Oboje uwielbiali dwójkę swoich dzieci. Ale co ja mogę wiedzieć? Nigdy nie byłem żonaty. Moi rodzice też się kłócili. Ale zostali razem dla naszej trójki i im się udało. Teraz są sobie bardzo bliscy.

Paulik spojrział na dłonie młodego człowieka.

- Może pan już iść, M. Petit. Proszę nie wyjeżdżać, żebyśmy mogli się z panem kontaktować. Nie był pan wczoraj na nabożeństwie. Dlaczego?

Petit wzruszył ramionami.

- A dlaczego miałbym być? Jestem ateistą, nie interesują mnie specjalnie święta Bożego Narodzenia ani całe to kościelne zamieszanie.

- Co pan w tamtym czasie robił?

- Byłem w domu, jeśli pyta mnie pan o alibi - odparł Petit. - Niestety sam.

- Czy ktoś dzwonił do pana na telefon stacjonarny?

- Nie. Zrobiłem sobie *croque monsieur* na kolację, a potem oglądałem telewizję.

- Co pan oglądał? - dociekał Paulik.

- Nie pamiętam - skrzywił się Petit. - Najpierw wiadomości, ale chyba zaraz zasnąłem. Obudziłem się na kanapie około północy, wyłączyłem telewizor i wczłogałem się do łóżka. Tamtego dnia pojechałem rowerem do Arles i z powrotem.

Verlaque starał się nie okazać swojej dezaprobaty. Jakim masochistą trzeba być, by zdecydować się na jazdę na rowerze pomiędzy tak oddalonymi miastami? Kiedy Petit sięgał po szklankę i upił łyk wody, jego ręce nadal drżały. Młody człowiek na pewno uczciwie wypowiedział się w jednej sprawie - w sprawie kościoła. Ponieważ im dłużej Verlaque myślał o śpiewaniu kolęd, tym bardziej dostrzegał coś niepokojącego w tym „kościelnym zamieszaniu”. I nie pomagał fakt, że wydarzenie przyniosło uczestnikom wiele radości i okazało się

dużym sukcesem. Zastanawiał się też nad plotkowaniem – jego teściowej czy koleżanki Marine z liceum. Damien Petit mógł coś ukrywać, ale przynajmniej był szczery w kwestii religii.

## 13.

- Myślałem, że upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu - powiedział Paulik do Verlaque'a, kiedy przechodzili przez bazar na Place Richelme. - Kiedy zadzwoniłem do APCA, poinformowali mnie, że France Dubois jest na Jarmarku Miast Partnerskich, na rynku tuż za rogiem.

- Spróbujmy porozmawiać z nią i z ludźmi, którzy przynieśli potrawy na kolację - zasugerował Verlaque. Połuźnił szalik, zrobiło się cieplej niż rano, kiedy wychodził z mieszkania. - Czy ktoś z gości informował, że jest chory?

- Nie. Inspektor Flamant to sprawdza. Nikt z członków kościoła nie zgłosił się na ostry dyżur z dolegliwościami żołądkowymi.

- Całe szczęście - stwierdził Verlaque. - Przynajmniej wiemy, że zabójca był ostrożny. Ale i tak czeka nas dużo pracy, bo Hainsby zjadł wtedy tyle różnych dań. Zresztą tak jak my wszyscy.

- Wyznaczyłem troje inspektorów, żeby dzwoniли do gości obecnych na tamtej kolacji i zaczęli ich umawiać na przesłuchania. Cieszę się, że zachował pan przytomność umysłu i poprosił wszystkich o dane kontaktowe - mówił Paulik, kiedy mijali Hôtel de Ville i przechodzili pod łukiem średniowiecznej wieży zegarowej, świadomi tego, że ich plecy właśnie są uwieczniane na kilku pamiątkowych fotografiach z wakacji. Następnie skręcili w lewo, na Place des Cardeurs i ich oczom ukazało się morze białych namiotów.

- W APCA powiedzieli mi, że listę partnerskich miast, które przygotowały jedzenie na niedzielny wieczór, ma tylko Mlle

Dubois - rzekł Paulik.

- To mnie wcale nie dziwi - stwierdził Verlaque. - W takich małych organizacjach jak ta zawsze jedna osoba ma w pamięci główną listę.

- Więc jej poszukajmy.

Szli powoli z rękoma w kieszeniach zimowych płaszczy i obserwowali, jak przy niektórych straganach zbierają się spore grupy ludzi. Długa kolejka uformowała się przy namiocie Filadelfii i obaj mężczyźni przystanęli. Rozglądali się za France Dubois, wciągając w nozdrza woń smażonych steków i cebuli. Verlaque zauważył, że Paulik zerka na zegarek, i uśmiechnął się szeroko. Rzeczywiście, nadszedł czas lunchu.

- Zaproponowałbym, żebyśmy zjedli. Ale z drugiej strony nie chcę przegapić Mlle Dubois - powiedział.

- Zgadzam się - odparł Paulik. Zatrzymał się i delikatnie pociągnął swojego szefa na bok, tak że stanęli za wysokim stolikiem barowym, przy którym czworo aixańczyków radośnie spożywało posiłek. - To ona - oznajmił.

Verlaque spojrział poprzez tłum w stronę, w którą obrócił się Paulik. Naprzeciwko nich, zwrócona plecami do straganu z prowansalskimi mydlami i saszetkami z lawendą, stała France Dubois. Stała sztywno, z rękami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w stoisko z Filadelfii. Verlaque podążył za jej spojrzeniem, wydawało się, że jest ono skierowane na Amerykanina smażącego steki.

- Tak - odezwał się Verlaque. - Wiele bym dał, żeby poznać jej myśli.

- Zgaduję, że nie są przyjazne - odparł Paulik. - Chodźmy z nią pogadać.

- Mlle Dubois - zagadnął Verlaque, wyciągając rękę, kiedy już udało im się zygzakiem przejść przez zbiorowisko.

Spojrzała na niego, jak Verlaque powie później Marine, z lekkim rozdrażnieniem. Uścisnęła ich dłonie, a kiedy sędzia zapytał gdzie mogliby porozmawiać, ruszyła bez słowa w kierunku namiotu informacji.

Kiedy znaleźli się w środku, gwar jarmarku przycichł. Dobrze wybrała miejsce, ponieważ było już po południu i większość odwiedzających wyszła coś zjeść. Stanęli z boku obok stojaka z kolorowymi broszurami o Tunezji.

- Przepraszam, że przeszkadzamy - zaczął Verlaque - ale mamy więcej pytań na temat niedzielnego wieczoru, a szczególnie kolacji.

- Naprawdę? - zdziwiła się France.

- Rozumiem, że organizowała pani tę kolację.

- Tak, rzeczywiście. Przyszłam tutaj w zeszłym tygodniu i zapraszałam partnerskie miasta do wzięcia w niej udziału. Wszyscy się zgodzili. Niektórzy z nich pomagali przy tej uroczystości od samego początku.

- Czy była pani w sali jadalnej w niedzielę, kiedy przynieśli swoje potrawy?

- Oczywiście - odparła. - Musiałam otworzyć im tylne drzwi. To są takie zielone drzwi, które wychodzą na Place l'Archevêché.

- Tak, dobrze je znam.

- I była tam pani, kiedy nakrywali do stołu? - zapytał Paulik.

France spojrzała mu prosto w oczy.

- Wchodziłam i wychodziłam. Wie pan, zaczęło się już nabożeństwo, a ja też chciałam śpiewa.

- To zrozumiałe - stwierdził Verlaque. Wiedział, że może rozmawiać z nią szczerze. Była niezwykłą osobą, nabierał co do tego coraz większej pewności.

- Zachowywałam się bardzo dyskretnie - mówiła dalej. - Miałam miejsce od strony nawy, więc bez trudu przemykałam

po między kościołem a salą jadalną.

Verlaque skinął głową. Nie wyobrażał sobie kogoś bardziej dyskretnego niż Mlle Dubois.

- Czy zauważyła pani coś niezwykłego?

- Nie, nic. Chociaż to wszystko było raczej chaotyczne, jak to zwykle bywa w takich przypadkach.

- Czy pojawił się tam ktoś jeszcze? Poza panią i ludźmi z partnerskich miast?

Zastanowiła się chwilę, zanim odpowiedziała:

- Przyszedł wielebny Dave. Rozmawiał przez komórkę.

- To dziwne, nie sądzi pani? - zauważył Verlaque. Zdumiało go to, że Flanagan wyszedł w trakcie nabożeństwa, i teraz chciał usłyszeć jej opinię.

Skinęła głową.

- Wyjaśnił mi wszystko, kiedy skończył rozmowę. Jego matka, która mieszka w Kalifornii, jest chora, więc odebrał telefon, chociaż nabożeństwo jeszcze trwało.

Verlaque zastanawiał się, czy Dave przekazał tę informację sam z siebie, czy też Mlle Dubois wprost go o to zapytała. A może posłała mu jedno ze swoich świdrujących spojrzeń, a on zaczął się nerwowo tłumaczyć z tej rozmowy.

- A kiedy podawali kolację - zaczął Paulik - czy coś odbiegało od normy?

- Nie, zupełnie nic - odparła. - Przez cały czas ustawiała się kolejka, ale nasi goście z miast partnerskich byli spokojni i mili, kiedy serwowali potrawy.

Verlaque i Paulik wymienili spojrzenia. Ich zadanie było niewykonalne. Każda z osób podających jedzenie mogła wsypać pokruszone tabletki Doliprane'u na talerz Cole'a Hainsby'ego. W takim tłumie i w całym tym zamieszaniu nikt mógł tego nie zauważyć. Może z wyjątkiem kogoś, kto stał obok mordercy.

- Dziękuję bardzo, Mlle Dubois - rzekł Verlaque.



- Bardzo nam pani pomogła - dodał Paulik, potrząsając jej dłoń.

- Igła w stogu siana - stwierdził Paulik, kiedy przechodzili pomiędzy straganami.

- Tak i do tego ominął nas lunch - zauważył Verlaque. Odwrócił się, by spojrzeć na stoisko z Bath, gdzie siedziały dwie starsze panie i robiły na drutach. - Zostały im jakieś desery.

- Lepsze to niż nic.

Podeszli i obie kobiety spojrzały w górę. Verlaque zauważył, że ta ciemnowłosa potrafi jednocześnie robić na drutach i rozmawiać.

- W czym mogę panom pomóc? - zapytała.

- Witamy w Bath - odezwała się jej koleżanka, odkładając robótkę. Uśmiechnęła się szeroko.

- Wspaniałe miasto - odezwał się Verlaque po angielsku. - To półkole georgiańskich domów...

- Royal Crescent - sprecyzowała ciemnowłosa kobieta.

Verlaque uśmiechnął się.

- Właśnie.

Wyjął odznakę i pokazał kobietom. Przedstawił im Brunona Paulika, a jemu wyjaśnił, że będzie mówił po angielsku, i zapytał, czy Paulik zrozumie. Ten wzniósł oba kciuki do góry.

- Czy jest jakiś problem? - zapytała ciemnowłosa kobieta, przykładając długą, szczupłą rękę do piersi.

- Mamy trochę pytań dotyczących niedzielnej kolacji w katedrze - wyjaśnił Verlaque, mówiąc wolno i starannie ze względu na Paulika.

- Ten biedny człowiek - westchnęła. - Och, proszę nam wybaczyć. Jestem Sally Bennett. - Wyciągnęła dłoń.

- Eunice Sumner-Smith - przedstawiła się druga, podając mężczyznom wiotką i szczupłą rękę.

- M. Hainsby zmarł z powodu zatrucia - powiedział Verlaque otwarcie. - Trucizna znalazła się w czymś, co jadł tamtego wieczoru.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Mme Bennett. Spojrzała na Mme Sumner-Smith, która w końcu odłożyła swoją robótkę i wyglądała na równie wstrząśniętą jak jej koleżanka.

- Jedzenie - odezwała się Mme Bennett. Pochyliła się w stronę policjantów i ściszyła głos. - Na pewno myślicie, że trucizna znajdowała się w jedzeniu od nas.

- W czymś, co znalazło się w tamtej kolacji, tak - powiedział Verlaque. - Ale niekoniecznie od was. Chcieliśmy zapytać, czy mogą nam panie jakoś pomóc...

- My nie pieczemy same naszych ciast - wyjaśniła Mme Sumner-Smith. - Przysyłają je nam z Anglii. Ale oczywiście są świeże.

Verlaque spojrzał na Paulika, który przetarł oczy opuszkami palców. Komisarz najwyraźniej dobrze rozumiał rozmowę po angielsku. I tak, to naprawdę było szukanie igły w stogu siana. Będą musieli wydelegować kogoś, kto sprawdzi wytwórcę w Anglii. Czy ktoś z tamtego kraju chciałby otruć osobę, której zupełnie nie znał? Chyba że był niezrównoważony psychicznie. Sędzia spojrzał na dwie starsze panie i nie potrafił sobie wyobrazić, by któraś z nich wysypała pokruszony paracetamol do eklera. I jaką mogła mieć motywację? Jaką motywację mógł mieć ktokolwiek z Jarmarku Miast Partnerskich? Skąd mieliby znać Cole'a Hainsby'ego? Wtedy zdał sobie sprawę, że marnuje ich czas i że lepiej by zrobili, idąc na lunch.

- Czy nikt nie dotykał waszych deserów przed kolacją?

- Absolutnie nikt - zapewniła go Mme Sumner-Smith.

- No cóż, dwaj chłopcy z kościoła wnieśli nasze rzeczy - przypomniała sobie Mme Bennett. - Ale to byli nastolatki, bardzo uprzejmi, prawda, Eunice? Przysłała ich Mlle Dubois. Widzi pan, tego wszystkiego było za dużo dla nas...

- Oczywiście - potaknął.

- Ale szłyśmy obok nich - dodała Eunice Sumner-Smith na wypadek, gdyby mężczyźni uznali je za lekkomyślne.

- Dziękuję paniom za współpracę - powiedział Verlaque.

Spojrzał na ciastka, z których już usunęły plastikowe opakowania konieczne podczas podróży z Anglii i które leżały teraz na zabytkowych, porcelanowych, biało-niebieskich talerzach, podobnych do tych, jakie uwielbiała jego babka.

- Czy mają panowie ochotę na coś słodkiego? - zapytała Mme Bennett z przejęciem.

- Bardzo chętnie - podziękował. - Jedne z tych ciastek wyglądają jak flapjacki. Moja babcia takie piekła.

- Francuzka, która piecze flapjacki? - zdziwiła się Mme Bennett. - To cudowne.

- Była Angielką - wyjaśnił. - Poznała mojego dziadka w Paryżu, tuż przed wojną.

- Och, to dlatego tak doskonale mówi pan po angielsku - skomentowała Mme Sumner-Smith, sznurując usta w coś na kształt uśmiechu.

Verlaque odpowiedział uśmiechem, chociaż nie miał pewności, czy właśnie usłyszał komplement. Ale cieszył się, że jego angielszczyzna została oceniona przez nią jako „doskonała”, co było oceną wyższą od tej, którą wystawił wolebny Dave, nazywając ją „prawie doskonałą”. Spojrzał na Paulika wpatrującego się w ciastka. Tak, Bruno rozumiał wszystko.

## 14.

Ponieważ Mme Bennett nalegała, każdy z nich zjadł dwa flapjacki i dwa eklery i popił herbatą. Chwilę później skierowali się do straganu Amerykanów. Mężczyzna, który wcześniej smażył steki, teraz czyścił grill. Kobieta, wysoka i szczupła, z jasnobrązowymi, kręconymi włosami, układała torby z bułkami i przyprawami. Oboje byli w podobnym wieku, on nieco niższy i lepiej zbudowany, ale miał ten sam kolor włosów.

Mężczyzna podniósł ręce i wzruszył ramionami.

- Przepraszam, mamy zamknięte po południu. *Fermé*.

- W porządku - odparł Verlaque po angielsku. - Chcemy zadać wam kilka pytań na temat niedzielnego wieczoru.

Kobieta odłożyła skrzynkę, którą właśnie niosła, i stanęła obok swojego towarzysza. Verlaque i Paulik przedstawili się i pokazali swoje odznaki.

- Jason Miller. - Mężczyzna uściśnął dłoń Verlaque'a. - A to moja siostra, Kendra.

Verlaque ocenił, że każde z nich może mieć niewiele ponad trzydzieści lat.

- Dzień dobry - odezwała się Kendra Miller. - Cieszę się, że mówi pan po angielsku. Od tygodnia posługujemy się naszym gimnazjalnym francuskim i jesteśmy wykończeni.

- Ten facet zmarł, prawda? - zapytał Jason. - W niedzielę?

Verlaque spojrzał na niego, starając się dostrzec, czy na jego twarzy gości wyraz współczucia, czy strachu.

- Tak - odparł. - Trucizna.

Millerowie wydali stłumiony okrzyk zdumienia.

- To nie był atak serca? - zapytała Kendra. - Oboje tak myśleliśmy. - Spojrzała na brata, szukając potwierdzenia, a on skinął głową.

- Nie. Ktoś majstrował przy tym, co on jadł. Czy ktoś oprócz was dotykał waszych potraw?

Millerowie pokręcili przecząco głową.

- Tylko my, zapewniam pana - powiedziała Kendra. - Nie mogliśmy robić naszych kanapek ze stekiem, bo nie mieliśmy grilla. Więc Jason zrobił surówkę coleslaw, a ja - irlandzkie słodkie ziemniaczki. - Wyraz zdziwienia na twarzy Verlaque'a sprawił, że się uśmiechnęła. - Coleslaw to surówka z kapusty, tradycyjna w Irlandii. A słodkie ziemniaczki robię z kokosa, cukru, wanilii i śmietankowego sera. Obtaczam je w cynamonie i wyglądają jak małe, brązowe ziemniaczki.

- Rozumiem.

Podniósł palec wskazujący, sygnalizując pauzę, i przetłumaczył dotychczasową rozmowę Paulikowi. Ten uprzejmie kiwał głową i próbował wyobrazić sobie taki deser. Verlaque w niedzielę nie jadł żadnej z tych rzeczy, ale niejasno pamiętał, że Marine mówiła coś o kokosie.

- Czy widzieliście coś niezwykłego?

- Nie - odparł Jason i zerknął na siostrę wyczekująco.

- Zupełnie nic - potwierdziła Kendra.

- Jesteście tu po raz pierwszy?

- Nie. Już czwarty - powiedział Jason.

- I wszyscy tutaj są w dobrych stosunkach?

- Wszyscy? - powtórzył Jason.

Verlaque'owi wydało się, że Kendra się wzdrygnęła.

- Chodzi panu o miasta partnerskie? - dopytywała. - Oczywiście, że tak.

- Żadnej rywalizacji?

- Nie. Przyjechaliśmy tutaj zarobić trochę pieniędzy, to oczywiste - tłumaczył Jason. - Ale także dla przyjemności. Aix to piękne miasto i jesteście dumni z tej współpracy.

Kendra potwierdziła ruchem głowy.

- Dobrze znacie ludzi z kościoła? - chciał wiedzieć Verlaque.  
- Przykro mi, że muszę zadawać wszystkie te pytania, ale zmarły należał do tutejszego Kościoła protestanckiego.

- Spotkaliśmy tylko France Dubois - odezwała się Kendra. - Ona co roku organizuje śpiewanie kolęd.

- Ja rozmawiałem z wielebny - dodał Jason. - Ale to była zwykła pogawędka.

- Czy pamiętacie, jak wyglądał Cole Hainsby? - zapytał Verlaque.

Paulik musiał zrozumieć to pytanie, bo wyjął małą, kolorową fotografię Hainsby'ego, którą dostarczyło APCA.

Jason pokręcił głową.

- Nie znałem go.

- Czy pamiętacie, byście obsługiwali go podczas kolacji?

- Nie - krótko odpowiedział Jason.

- Ja też nie - odezwała się Kendra. - Naprawdę dużo się działo.

- Tak, rzeczywiście - zgodził się Verlaque.

- Masz ochotę dla odmiany porozmawiać po francusku? - zapytał Verlaque, kiedy odeszli od straganu Filadelfii.

- Dzięki, chętnie trochę odpocznę - roześmiał się Paulik. - Tunezyjczyk na pewno zna francuski.

- To jest tamto stoisko - powiedział Verlaque, wskazując głową na prawo.

Stoisko Kartaginy pyszniło się feerią kolorów, nawet najmniejsza powierzchnia pokryta była wzorzystymi lub pasiastymi tkaninami i dywanikami. Pięć lub sześć wełnianych chodniczków leżało na betonowej podłodze, a jeszcze więcej

zwisłało ze ścian, obok obrusów i narzut na łóżko. Na dwóch stołach ustawiono drobne sprzęty kuchenne wykonane z drewna oliwnego i stosy ceramicznych misek. Na środku namiotu stał fotel obity wełną w te same zygzakowate wzory co jeden z dywaników.

- Hélène miałyby tu używanie - mruknął Paulik, kiedy podchodzili do stoiska i uważnie się wszystkiemu przyglądali.

Za jednym ze stołów stał Mehdi Abdelhak, schludny, drobny mężczyzna z czarnymi, nażelowanymi włosami. Rozmawiał z klientką, która zastanawiała się nad wyborem miseczki z drewna oliwnego. Verlaque podniósł małe, ceramiczne naczynie pokryte czerwoną i białą glazurą.

- Na oliwki - powiedział, pokazując je Paulikowi.

Paulik wybrał inną miseczkę, trochę mniejszą, zielono-białą.

- Na pestki oliwek - odparł z szerokim uśmiechem i podał ją Verlaque'owi.

- *Bonjour* - odezwał się Abdelhak, który stanął teraz przed nimi, jak tylko klientka zapłaciła i wyszła.

Verlaque odłożył naczynia i uściskał rękę Tunezyjczyka.

- Antoine Verlaque, sędzia śledczy w Aix - przedstawił się. - A to mój kolega, komisarz Bruno Paulik. Czy mówi pan po francusku?

- *Bien sûr* - odparł Tunezyjczyk. - Mehdi Abdelhak. Właściciel butiku w Kartaginie.

Verlaque uśmiechnął się, wiedząc, że Abdelhak trochę się z nim droczy.

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań na temat niedzielnej kolacji w katedrze - zaczął. - Pewien mężczyzna nagle upadł i umarł. Czy znał go pan? Nazywał się Cole Hainsby.

Paulik wyjął fotografię Hainsby'ego.

- Och, to bardzo przykre. Tak, pamiętam go.

- Pamięta pan?

Abdelhak skinął głową.

- Chciał spróbować wszystkiego. Wszystkiego.

Naprawdę igła w stogu siana - pomyślał Verlaque. Widząc wyraz twarzy sędziego, Abdelhak zapytał:

- Jak zmarł?

- M. Hainsby został otruty - odparł Verlaque. - Do jednego z jego dań, a może do kilku, dodano trucizny.

Abdelhak położył ręce na piersiach.

- Nie wiemy, do której potrawy - mówił dalej Verlaque. - Ale wkrótce rozwiążemy tę zagadkę. - Miał nadzieję, że doktor Cohen uda się zidentyfikować zatrute jedzenie.

- Mogę panom powiedzieć, że zmarły dwa razy jadł moją sałatkę z bakłazana i wziął dwa kawałki baklawy. Może więcej. Czy jeszcze ktoś zachorował tamtego wieczoru?

- Na szczęście nie.

- Więc to tylko jego jedzenie...

- Tak - potwierdził Paulik. - Wydaje się, że M. Hainsby'ego otruto z premedytacją.

- Ale kto mógłby to zrobić?

Verlaque spojrzał na tego zadbanego, dobrze ubranego mężczyznę, który jako pierwszy zadał według niego najbardziej naturalne pytanie w takiej sytuacji.

- Przepraszam - usprawiedliwiał się Abdelhak. - Jestem po prostu ciekawy. I bardzo mnie zasmuca jego śmierć. - Jeszcze raz położył prawą dłoń na sercu i delikatnie przycisnął.

- Czy zauważył pan coś niezwykłego?

- Nie, zupełnie nic. To była taka sama uroczystość i taka sama kolacja jak w zeszłym roku.

- Był pan na śpiewaniu kolęd? - zapytał Verlaque. - Ja też. Widział pan kogoś z miast partnerskich?

- Tak, dwoje Niemców. Poza tym nikogo. Ale, jak pan zauważył, kościół był pełen.



- A kiedy dostarczył pan swoje potrawy? - zapytał Paulik.

- Mlle Dubois zdecydowała, że spotkamy się na placu przed zielonymi drzwiami tuż przed nabożeństwem. Przyszedłem wcześniej, podobnie jak Niemcy. Pozostali przyszli pewnie już po jego zakończeniu, może w trakcie. Dała nam wszystkim numer swojego telefonu komórkowego.

- A kiedy wnosił pan swoje produkty - chciał wiedzieć Verlaque - czy był tam ktoś jeszcze?

Abdelhak skrzyżował ręce na piersiach i spojrzał w dół.

- Tak - odparł po kilku sekundach. - Mlle Dubois, oczywiście, amerykański wielebny i stary ksiądz. Nie, chwileczkę. Była tam chuda, starsza kobieta w okularach, zwracali się do niej „pani doktor”. Była bardzo apodyktyczna.

- Doktor Bonnet?

- Chyba tak. Tak, *bonnet* znaczy po angielsku „czepek”, „kapelusz”. To było to

Paulik przyłożył dłoń do ust, udając, że tłumi ziewnięcie. Potarł policzki, starając się ukryć uśmiech.

- Dziękuję - powiedział Verlaque, starając się pozbyć z głowy obrazu swojej teściowej. - Jeśli coś się panu przypomni, proszę do nas zadzwonić. - Wręczył Tunezyjczykowi swoją wizytówkę. - A przy okazji chciałbym kupić te miseczki.

- A ja mały dywanik.

Verlaque spojrzał na komisarza zaskoczony.

- Do pokoju Léi. Ceramiczna podłoga jest chłodna w zimie - wyjaśnił.

- Z Niemcami i Włochami porozmawiamy później - zdecydował Verlaque, kiedy wychodzili. - Najwyraźniej sprzątnęli i zrobili sobie popołudniową przerwę. - Niósł teraz plastikową torebkę z dwiema miseczkami owiniętymi w gazety. Paulik zaś trzymał pod pachą zwinięty dywanik, który od czasu podjęcia decyzji o kupnie urósł od małego do średniego. - Mme

Hainsby przyjdzie do Pałacu Sprawiedliwości za godzinę – mówił dalej, patrząc na zegarek. – Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym porozmawiał z nią sam? Później wyjaśnię ci dlaczego.

- W porządku – odparł Paulik. – Sprawdzę, czy inspektorzy, którzy rozmawiali z pracownikami katedry i członkami chóru, odkryli coś interesującego. Prosiłem też Flamanta i Schoelchera, by sprawdzili przeszłość pracowników kościoła, Damiena Petita i Hainsbych.

- Mnie też przyszło to do głowy – powiedział Verlaque, zwalniając kroku, by spojrzeć na Paulika i zebrać myśli. – Gdyby Hainsby’ego otruto, mordercą musiałby być ktoś, kto w czasie kolacji stał za stołami z potrawami i je serwował. Ktoś, kto miał tam być. I kiedy zobaczył Hainsby’ego, presto! Dodał rozdrobiony paracetamol. Gdyby zatrul jedzenie wcześniej, trucizna mogłaby trafić do kogoś innego. To zbyt duże ryzyko.

- Mogłaby to być również osoba stojąca w kolejce za Hainsbym – zasugerował Paulik. – Wiem, jakie zamieszanie robi się przy takim serwowaniu posiłku.

Kiedy wracali do Pałacu Sprawiedliwości, Paulik opowiadał sędziemu o różnych kolacjach z bufetem, w których ostatnio uczestniczył, większość z nich towarzyszyła weselom albo chrzcinom kuzynów i kuzynek, czy też ich dzieci. Verlaque słuchał z uśmiechem, zadowolony, że nie musi nic o tym wiedzieć.

Sędzia wskazał Debrze Hainsby krzesło po drugiej stronie swojego biurka ze szklanym blatem. Miał nadzieję, że nie będzie mu burczało w brzuchu. Kiedy razem z Paulikiem szli w górę schodów w Pałacu Sprawiedliwości, kupili sobie po czekoladowym batoniku z automatu na drugim piętrze. Verlaque wstąpił do kuchenki znajdującej się za biurkiem Mme Girard, mając nadzieję znaleźć w misce na owoce jabłko lub pomarańczę.

- Jak się pani czuje? - zapytał po angielsku.

- Nadal jestem roztrzęsiona - odparła Mme Hainsby. - Ale już trochę lepiej, bo moja siostra i szwagier przylecieli z Kalifornii. Czy możemy kontynuować po angielsku? Dobrze mówię po francusku, ale jestem taka zmęczona...

- Oczywiście. Jednak obawiam się, że mam dla pani złe wieści.

- Co może być gorszego od śmierci mojego męża?

- M. Hainsby zmarł w wyniku zatrucia. W czymś, co zjadł, znajdowała się trucizna.

Debra Hainsby patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- To śmieszne. Czy jedzenie mogło być tak bardzo nieświeże? I dlaczego nikt inny nie miał zatrucia pokarmowego?

- Nie, ktoś dodał trucizny do jego dania. Pokruszony paracetamol w ilości wystarczającej, żeby zabić.

Położyła rękę na ustach, a jej oczy napełniły się łzami. Verlaque powoli przesunął w jej stronę pudełko papierowych chusteczek.

- Przepraszam - powiedziała. Załkała głośno, poruszając głową w górę i w dół, z chusteczką przyciśniętą do twarzy. Verlaque wyrzwał przez okno gabinetu na czyste, zimowe niebo i wzdrygnął się, kiedy zobaczył przelatującą mewę. Czasem zapominał, jak blisko Marsylii i morza leżało Aix. Z powrotem przeniósł wzrok na Mme Hainsby, która wycierała oczy.

- Wróci pani do Stanów? - zapytał.

Miał poważniejsze pytania, ale chciał, by najpierw trochę się uspokoiła.

Mme Hainsby potrząsnęła głową.

- Nie, nie sądzę. Podoba nam się tutaj, no i mam pracę.

Verlaque skinął głową, wiedział, gdzie pracowała.

Mówiła dalej, odzyskując oddech:

- Mieszkamy tutaj od dziesięciu lat. Uwielbiamy to miejsce, dobre jedzenie, bazary, wolniejsze tempo życia. Kiedy odwiedza nas moja siostra, mówi tylko o ich samochodach z napędem na cztery koła, debetach na kartach kredytowych, o tym, jak martwią się o rachunki ze szpitala i ubezpieczenie zdrowotne.

- Nie wyobrażam sobie, że można płacić za pobyt w szpitalu - powiedział Verlaque szczerze. - W niedzielny wieczór coś mi pani powiedziała. Albo nawet wyznała...

- Naprawdę? Nie wszystko pamiętam z tamtego wieczoru.

- Powiedziała pani, że nie jest dobrą żoną.

Mme Hainsby pociągnęła za skraj swetra, co wydało mu się afektowane.

- Naprawdę? - ni to zapytała, ni stwierdziła.

- Tak.

- To było tak w sensie ogólnym.

- Wydaje mi się bardzo dziwne, by wypowiedzieć takie zdanie tuż po śmierci męża i to do kogoś zupełnie obcego - stwierdził Verlaque. - To brzmiało jak wyznanie.

- Nie wątpię - odparła. - Dużo się kłóciliśmy. Dlatego to powiedziałam.

Verlaque otworzył teczkę i wyjął ogłoszenie, które wyciął z „La Provence”.

- Zgaduję, że odnosiła się pani do tego mężczyzny. - Wskazał na Alaina Sorbę. - Do romansu, jaki panią z nim łączył. - Nie miał większych wątpliwości co do tego, że obserwacje Florence Bonnet były słuszne.

Mme Hainsby przycisnęła rękę do piersi tak, jak wcześniej zrobił to Mehdi Abdelhak, i potwierdziła sugestie matki Marine.

- Ach, więc to z tego śmiali się niektórzy nauczyciele - powiedziała cicho, potykając się na kilku ostatnich słowach. - Widziałam, jak stali w grupce w pokoju nauczycielskim, zebrani

wokół tej gazety. Kiedy weszłam, przestali się śmiać i szybko ją odłożyli.

- Czy wyciągali pochopne wnioski?

Zastanawiała się chwilę, potem popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie. Mówiłam Alainowi, że pracownicy szkoły o nas wiedzą.

- *Bon* - rzekł i włożył wycinek prasowy z powrotem do teczki. - Obawiam się, że muszę panią o to zapytać: czy Alain Sorba byłby zdolny otruć pani męża? Albo czy pani byłaby do tego zdoln

- Nigdy. To odpowiedź na pana pierwsze i drugie pytanie.

- Skąd ta pewność? Co do M. Sorby oczywiście.

- Alain? Dlaczego miałby chcieć zrobić krzywdę Cole'owi?

- By usunąć go z drogi? Ponieważ chce się z panią ożenić? Bo był zazdrosny, że to Cole jest pani mężem, a nie on? Mam mówić dalej?

- Nie, nie.

- Jak poważna jest pani relacja z M. Sorbą?

- Spotykamy się... od prawie sześciu miesięcy. - Spuściła głowę.

- Czy on jest żonaty?

- Tak - potwierdziła szybko. - Ale jego żona mieszka w Marsylii.

Verlaque zasnurował usta. Co miał znaczyć ten komentarz? Marsylia leżała o dwadzieścia minut jazdy samochodem. Właśnie przypomniała mu o tym przelatująca mewa.

- Coś zdarzyło się w kościele protestanckim podczas sobotniego spotkania - odezwał się. - Pani mąż stłukł jakieś naczynie, a pani wybiegła z sali z płaczem. Dlaczego?

- Czy kobieta nie może czasem dać ujścia uczuciom?

- Płacząc nad rozbitym talerzem?

- Tamtego wieczoru byłam zła na Cole'a - wyjaśniła. -  
Miałam taki mętlik w głowie...

- Zamierzała pani od niego odejść? - zapytał Verlaque.

- Powiedziałam sobie, że powiem mu dopiero po świętach  
Bożego Narodzenia.

Verlaque skinął głową. Czuł się taki zmęczony. Pragnął tylko  
znaleźć się w domu sam na sam z Marine i patrzeć w jej  
jasnozielone oczy. Powiedzieć niezbyt mądry dowcip i słuchać,  
jak się śmieje.

## 15.

- Siedziałem dziś po południu w biurze i myślałem tylko o tym, żeby być już z tobą - powiedział Verlaque, trzymając Marine w ramionach. Musnął jej gęste, falowane włosy i powąchał jej kark. I znowu - róże.

Marine odsunęła się odrobinę i spojrzała na niego. Delikatnie potarła jego policzek, przesuwając palcami po jego zwyczajowym trzydniowym zarostcie. Jutro rano Antoine przytnie go, kiedy weźmie pryznic.

- Ja też o tobie myślałam - odparła. - Nie ma nic przyjemniejszego niż przychodzenie do domu. Ale dziś nie będziemy sami.

Verlaque gwałtownie opuścił ręce i miał nadzieję, że ten gest jest wystarczająco dramatyczny.

- *Pardon?*

- Zaprosiłeś swojego starego kolegę ze szkoły i gwiazdę filmową.

Klepnął się w czoło, tym razem bez zbędnej teatralności.

- Zapomniałem. To dlatego, że to środek tygodnia, a zwykle planujemy spotkania na weekend.

- Tak, ale o ile pamiętam, mówiłeś mi, że gdzieś wyjeżdżamy w ten weekend.

- Tak, choć zupełnie nie pamiętam, dokąd. Do Megève? Do St. Moritz?

- Jeśli nakryjesz do stołu, ja dokończę gotowanie.

- Co dziś jemy?

- Coś w rodzaju szybkiego cassoulet. Koleżanka dała mi przepis.

- Podajesz gwieździe filmowej kielbasę z fasolą? - zapytał Verlaque. - I to mi się podoba! - Postanowił nie mówić Marine o kuzynie Paulika. - Przyniosę z piwnicy trochę czerwonego wina. Co mamy na przystawkę? - Nagle przypomniał sobie, że na lunch zjadł tylko dwa ciastka. I popił herbatą.

- Jak zwykle. Salami w plasterkach, orzechy, oliwki. Nie miałam czasu na nic innego.

- Och, byłbym zapomniiał - powiedział Verlaque. Poszedł na korytarz i z empirowej konsoli - jednego z kilku mebli, które zabrał z mieszkania swoich dziadków w Paryżu - podniósł plastikową torbę. Zerknął na konsolę wykonaną z orzecha włoskiego, podziwiając delikatne nogi zdobione u nasady złotymi liśćmi. Była tak elegancka jak Emmeline, jak Marine. Wrócił do kuchni.

- To dla ciebie. Z tunezyjskiego stoiska na jarmarku.

Marine odłożyła głowę sałaty lodowej i otworzyła torbę, po czym delikatnie zdjęła gazetę.

- Są śliczne. Dziękuję - powiedziała, obracając każdą z miseczek w dłoniach. - Jakie piękne wzory. Doskonałe do oliwek.

Verlaque spojrzał na jej stopy.

- O co chodzi? - zaniepokoiła się Marine.

- Chciałabyś tu mieć mały chodniczek? Przed zlewem?

- Nie - odparła zdecydowanie. - Tylko by się brudził.

- Jeszcze się nad tym zastanów. Ja zejdę do piwniczki z winami, a kiedy wrócę, opowiem ci o Debrze Hainsby - powiedział Verlaque i ruszył do drzwi wejściowych.

Marine odwróciła się do zlewu i uśmiechnęła, słysząc, jak jej mąż pogwizduje, zbiegając w dół schodów. Umyła zieloną sałatę, odwirowała w suszarce i odłożyła na bok. W dużej ceramicznej misce przygotowała sos - zaczęła od drobno pokrojonych szalotek i łyżki musztardy. Dodała sporą ilość octu



z orzechów włoskich, a następnie powoli wlewała ciemnozieloną oliwę z oliwek z Les Baux, mieszając energicznie, aż utworzył się gęsty ciemnożółty sos. Wciągnęła w nozdrza jego zapach – mieszanek ostrego aromatu musztardy, cebuli, orzechów włoskich, starego wina i oliwek, przy czym żaden ze składników nie dominował nad innymi. Zamknęła oczy, wdzięczna, że jej matka nauczyła ją przynajmniej tego, jak przygotować porządny sos do sałaty. Całą pozostałą wiedzę zaczerpnęła z książek kucharskich oraz od Antoine’a. Często przyglądała się też, jak gotują ich przyjaciele.

- Mam! - zawołał Verlaque, kiedy znowu znalazł się w kuchni z dwiema butelkami w rękach. - Wybrałem miejscowe czerwone. Pomyślałem, że zaprezentujemy paryżanom wspaniałe wina z Aix. Jedno z nich to syrah Hélène z 2003 roku.

- Wtedy była ta fala gorąca - zauważyła Marine. - Jaką ma moc?

Verlaque spojrzał na naklejkę.

- Piętnaście procent. - Zanim Marine zdążyła zaprotestować, dodał: - Fasola wchłonie cały alkohol.

Marine spojrzała na zegar ścienny.

- Niedługo przyjdą - powiedziała. - Nakryjmy do stołu i opowiedz, jak ci minął dzień.

Verlaque wytarł kieliszki marki Riedel lnianym ręcznikiem kuchennym i zrelacjonował żonie spotkanie z Angielkami. Rozśmieszył ją, naśladując Mme Sumner-Smith - wyprostował plecy, zassał policzki i skrzyżował ręce na piersiach. Amerykanów i Tunezyjczyka opisał już nie tak barwnie, ale opowiedział jej o France Dubois, która wpatrywała się w Jasona Millera.

- Kłótnia kochanków? - zastanawiała się Marine.

- Z France Dubois?

- Antoine...

- Ale najciekawszą rozmowę przeprowadziłem z Debrą Hainsby - zaczął Verlaque. - Początek był taki, jak można było oczekiwać, Debra zadawała wiele pytań i miała w sobie dużo smutku. Ale pod koniec przyznała się, że chciała opuścić męża.

- Mimo to nie wyobrażam sobie, by żona mogła zabić męża - powiedziała Marine, kładąc na stole ostatnią łyżeczkę do deseru. - Przepraszam.

- Ale dlaczego? To z całą pewnością zdarzało się w przeszłości.

- Przez wzgląd na dzieci.

Verlaque właśnie miał odpowiedzieć, gdy rozległ się dzwonek domofonu. Podszedł do drzwi, podniósł słuchawkę i krzyknął:

- Ostatnie piętro, czwarte. Przepraszam, nie ma windy. - Zanim się rozłączył, usłyszał, jak Léo Vidal-Godard mruczy: - *Merde*.

Uchylił drzwi i czekał, a kątem oka zerkał na Marine, która w ostatniej chwili malowała usta, przeglądając się w szklanych drzwiczkach jednej z kuchennych szafek. Szybko zdjęła fartuch i podniosła kciuki, uśmiechając się szeroko do męża. Serce podskoczyło mu z radości.

Margaux Perrot ze swoją porcelanową skórą i szczupłym ciałem, którego utrzymanie w formie z pewnością kosztowało fortunę, zabawiała pozostałych biesiadników historiami o filmowaniu w Rosji zimą ze słynnym, młodym aktorem, który nie przestawał dodawać wódki do swojej gorącej herbaty i jakimś cudem wciąż pamiętał tekst. Aktorka wydawała się zupełnie nieporuszona własną sławą. Jej pytania na temat ich życia były naturalne i szczerze. Zapytała Marine, jakich kiełbasek użyła, a to przypomniało Verlaque'owi o bohaterce angielskiej powieści z przełomu wieków, którą uwielbiała Emmeline. Czy miała na imię Lucy? Tak, chyba tak. Lucy,

pomimo swojego bogactwa i dobrego urodzenia, nie mogła się powstrzymać przed wizytami w kuchni i wypytywaniem personelu na przykład o to, jak się robi pudding. Uśmiechną się, bo jakby na ten znak Margaux zapytała o deser. Obrócił się do Léona i zaproponował cygaro.

- Bardzo chętnie - odparł gość.

- Ale nie przy mnie - oznajmiła szybko Margaux. - Przepraszam, nie znoszę tego zapachu, poza tym przypomina mi o moim pierwszym mężu.

- Chodźmy więc na spacer - zasugerował Léo. - Dziś nie jest tak zimno.

- Dobry pomysł - rzekł Verlaque. - Aix jest najpiękniejszą nocą.

- A ja zrobię herbatę - zaproponowała Marine.

Verlaque spojrział na nią zaskoczony. Zazwyczaj po dużym posiłku pili digestif. Ale przypuszczał, że Margaux nie będzie miała na to ochoty, więc Marine zachowywała się jak dobra gospodyni. A on musi odgrywać rolę dobrego gospodarza i spacerować po mieście, gdy tak naprawdę wolałby palić cygaro w ulubionym fotelu z tomikiem poezji na kolanach. Wstał od stołu, wszedł do salonu i wyjął z humidora dwa cygara, by zaraz włożyć je do kieszeni marynarki razem z obcinarką i zapalniczką.

Léo czekał w drzwiach w zimowym płaszczu, a Marine i Margaux rozgościły się w pokoju dziennym. Margaux usiadła w ulubionym fotelu gospodarza. On sam założył płaszcz i obaj mężczyźni wyszli na brukowane, nocne ulice rozjaśnione złotym światłem lamp. Przechodzili przez Place de l'Archevêché, gdzie Léo zatrzymał się, by przeczytać tabliczkę na ścianie nad fontanną.

- Co to za facet? - zapytał, patrząc na pochodzącą z ubiegłego wieku płaskorzeźbę przedstawiającą popiersie mężczyzny z sumiastym wąsem.

- Nosił pseudonim Marcel Provence - powiedział Verlaque, obcinając swoje cygaro i zapalając je. - Zmarł na początku lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku i został prawie zapomniany. To smutne, bo to on uratował studio Cézanne'a przed zburzeniem - kupił je za własne pieniądze. Opracował także szczegółowy opis każdego budynku przy Cours Mirabeau. Marine udało się kupić dla mnie kopię w antykwariacie. Nie chcę wiedzieć, ile zapłaciła, bo to jest teraz bardzo poszukiwana pozycja. - Spojrzał w bok i zauważył, że Léo stracił zainteresowanie i próbuje zapalić cygaro, zasugerował więc digestif w barze za rogiem. - Chyba mają na tarasie zewnętrzne grzejniki - dodał, widząc, że Léo marznie.

Szli dalej, minęli katedrę z oświetlonymi wieczorem, średniowiecznymi, kamiennymi świątymi i zatrzymali się przed małym barem, przy północnej ścianie tego wielkiego kościoła.- Usiądźmy przy grzejniku - zaproponował Verlaque. - Miałem nadzieję, że ten stolik będzie wolny.

Verlaque znał kobietę, która stała za barem, tylko z widzenia, ale czuł do niej sympatię. Była niska i krępa, miała jasne oczy i szeroki uśmiech. Kiedy ją widział, zawsze miała na sobie T-shirt i jeansy. Najbardziej podobała mu się czarna koszulka z napisem „Castro” z przodu. Kiedyś zapytał ją o ten napis i okazało się, że nie chodziło o Fidela Castro, lecz o dzielnicę Castro w San Francisco. Ale dziś inna osoba wyszła na taras, by przyjąć ich zamówienie. Też kobieta, i też w T-shircie, chociaż zapadł już późny, grudniowy wieczór. Mimo to nie wydawało się, żeby było jej zimno.

- Co pani zasugeruje, żebyśmy nie zmarzli? - zapytał Verlaque.

- No cóż, niewielu klientów pali cygara - powiedziała - poza tymi tanimi, przesączonymi rumem, więc nie jestem pewna.

Verlaque uśmiechnął się, zadowolony, że są jeszcze takie bary jak ten, gdzie mężczyźni, którzy przez całe życie ciężko

pracowali na kolei albo sprząтали ulice, mogli się czuć swobodnie. Żadnych turystów i żadnych studentów. Powiedział:

- *Donc, deux poires, s'il vous plait.* - Spojrzał na Léona, który uśmiechał się z aprobatą.

Kelnerka weszła do środka, by nalać im gruszkową *eau de vie*. Verlaque przez okno widział wnętrze baru. Przy końcu kontuaru stała druga barmanka, ta, którą spotykał tu zazwyczaj, i znowu miała na sobie T-shirt z napisem Castro. Rozmawiała z wysokim klientem o szerokich ramionach, który stał do niego tyłem. Verlaque słyszał, że Léo coś mówi, ale bardziej interesowało go to, co działo się w środku, ponieważ barmanka najwyraźniej kłóciła się z mężczyzną. Ten odwrócił głowę i Verlaque rozpoznał w nim *père* Fernanda z katedry.

Verlaque uświadomił sobie, że zachowuje się nieuprzejmie, i zaczął słuchać Léona, który opowiadał o jakimś przedsięwzięciu biznesowym w północnej Afryce.

- Kopalnie - usłyszał Verlaque. - Trzeba zakupić dużo ciężarówek i buldożerów, a to wszystko jest bardzo drogie.

Upił łyk *eau de vie*, która właśnie znalazła się na ich stoliku, i starał się poświęcać więcej uwagi swojemu towarzyszowi, ale scena w barze wciąż wydawała mu się bardziej frapująca.

Marine z trudem tłumiała ziewanie. Kiedy robiła herbatę, na zegarze nad kuchenką zobaczyła, że już dwudziesta trzecia. Prawie północ. Wiedziała, ile zajmuje spalenie cygara konkretnej marki, widziała Bolivary, które wybrał Antoine, i oceniała czas na półtorej godziny.

- Widziałaś ostatnio jakieś ciekawe wystawy? - Marine zadała pytanie typowe dla każdej proszonej kolacji w Paryżu. Margaux odchyliła się na oparcie fotela i westchnęła.

- Wystawa Pierre'a Soulages'a w Pompidou była boska - powiedziała. - Widziałam ją dwa razy.

- Och, byliśmy zaproszeni na wernisaż. Antoine wypożyczył im swój obraz. Właśnie dostaliśmy go z powrotem.

Margaux usiadła prosto.

- Mówisz poważnie? - nie dowierzała.

- Chcesz go zobaczyć?

- Oczywiście!

Marine wstała, zadowolona, że pani sprzątająca pracowała w mieszkaniu całe popołudnie, bo obraz wisiał w ich sypialni.

- Chodź za mną - powiedziała.

Kiedy skierowały się do sypialni, Margaux komplementowała oprawione fotografie zdobiące ściany holu. Większość z nich kupiła Marine, a autorką kilku była jej przyjaciółka, Sylvie - pochodziły z czasów, kiedy Marine jeszcze mogła sobie na nie pozwolić.

- Och, tutaj jest - rzekła Margaux, kiedy weszły do pokoju. Stała przed ogromnym płótnem pokrytym grubą warstwą czarnej farby, która błyszczała jak olej nawet w tym skąpo oświetlonym pomieszczeniu. - Nie są smutne, chociaż malowane jednym kolorem - stwierdziła Margaux.

- Zgadzam się.

Margaux zrobiła krok do tyłu, nadal przyglądając się obrazowi, a następnie przysiadła na brzegu łóżka. Marine była zaskoczona jej śmiałością, zawsze uważała, że łóżko to intymne miejsce. Swoją sypialnię uważała za sanktuarium. Nadal patrzyła na obraz, kiedy usłyszała ciche łkanie. Odwróciła się i zobaczyła Margaux Perrot - wielką damę z czerwonego dywanu - która siedziała na jej łóżku z głową ukrytą w dłoniach i płakała.

- Mogę ci jakoś pomóc? - zapytała Marine.

Margaux wyjęła z kieszeni swetra chusteczkę i wydmuchała nos.

- Dziękuję. Byłaś bardzo miła dziś wieczorem. To mnie wzruszyło. Tęsknię za Paryżem. I chodzi też o Léona. Wiem, że martwi się swoją pracą, ale nic mi o tym nie mówi. Więc mój

mąż ma przede mną tajemnice, a ja jestem tutaj, z dala od Paryża, a inne, młodsze aktorki przejmą wszystkie dobre role, zanim tam wrócę. – Wytarła oczy i się uśmiechnęła.

– Jestem pewna, że twój agent już cię szuka – powiedziała Marine. Zgadywała, że Margaux dobiega czterdziestki i że jej przygnębienie wynika po części z braku ról dla kobiet w tym wieku i starszych. Przynajmniej tak czytała. – Nie jesteś też jedyną aktorką, która mieszka w Prowansji.

– Masz rację. Po prostu czuję się odcięta od wszystkiego.

– Rozumiem.

– Myślisz, że mogłabyś porozmawiać o moim mężu z Antoine’em? – zapytała aktorka. – Wiem, że Léo bardzo martwił się o pieniądze, a teraz nagle chodzi dookoła domu i gwizdże, jakby nie miał żadnych trosk. – Znowu wydmuchała nos, według Marine trochę za głośno jak na gwiazdę filmową.

– Nie martw się – rzekła Marine. – Nie zapominaj, że Léo działa w budownictwie, a z tego, co wiem, taka firma może z dnia na dzień odbić się od dna. Ale zapytam Antoine’a, czy mógłby z nim pogadać, gdy następnym razem się spotkają.

Marine nie sądziła, by jej mąż chciał się mieszać w te sprawy, nie widział Léona od dziesięcioleci i nie łączyło ich nic poza wspólnym studiowaniem. I dlaczego Margaux sama nie mogła zapytać o to swojego męża?

Margaux wstała, odświeżywszy wcześniej twarz szybkimi uszczypnięciami w policzki, i przejechała palcami po włosach, żeby je trochę nastroszyć.

– Wspaniały obraz – stwierdziła.

Odwróciła się i na swoich modnych, bardzo wysokich obcasach wyszła z sypialni, nie dziękując Marine.

## 16.

- Musimy jak najszybciej ściągnąć Debrę Hainsby na kolejne przesłuchanie - powiedział Verlaque do Paulika, kiedy szli w stronę Place des Cardeurs. - Podczas niedzielnej kolacji Florence Bonnet powiedziała mi coś, co przypomniało mi się dopiero wczorajszej nocy - Debra karmiła Cole'a jakąś potrawą. Nie pamiętam czym, może ciastem?

Paulik spojrzał na sędziego szeroko otwartymi oczyma i wyjął z kieszeni telefon. Wybrał numer i przekazywał instrukcje rozmówcy. Właśnie przechodzili pod wieżą zegarową.

Pierwszy zobaczył ich Matteo Ricci.

- Idzie dwóch gliniarzy - powiedział, myjąc długi nóż do mięsa.

- Nie popadaj w paranoję - syknęła trzydziestokilkuletnia kobieta, która podeszła do niego i stanęła obok.

Zaczęła układać sery i świeży makaron w szklanej gablocie, wtykała w każdy produkt małą włoską flagę z informacją o cenie. Kiedy policjanci się zbliżyli, zmierzyła ich wzrokiem. Niższy miał krzywy nos i półdługie włosy o barwie pieprzu i soli, wyższy był zupełnie łysy.

- Mogą być z mafii - dodała.

Zmarszczyła brwi na widok odcisków palców na frontowej szybie gabloty, wzięła kawałek ręcznika papierowego i płyn do mycia okien i zaczęła energicznie usuwać zabrudzenia.

- To nie jest zabawne, Vittorio - odparł Ricci.

- *Buongiorno* - odezwał się Verlaque, opierając ręce na drewnianej ladzie. Wyjął legitymację, Paulik zrobił to samo.



Ricci spojrział na Vitorię i wzniosł oczy ku niebu. – Mówią państwo po francusku? – zapytał Verlaque.

– Oczywiście – odparł Ricci.

Przedstawił policjantom siebie i swoją dziewczynę, Vitorię Romano.

– Ja mówię po francusku lepiej niż on – roześmiała się Vittoria. – Uczyłam się w Alliance Française w Perugii.

Paulik pokazał im fotografię Cole’a Hainsby’ego.

– Nie znam go – oznajmił Matteo Ricci.

– Pamiętam go z kolacji miast partnerskich – powiedziała Vittoria, obracając zdjęcie w dłoniach. Verlaque zauważył, że Ricci rzuca swojej dziewczynie świdrujące spojrzenia. Vittoria też to zauważyła, bo gestykulując z ożywieniem, zawołała:

– Zjadł całą naszą lasagne z grzybami!

Verlaque uśmiechnął się, chciał, by kobieta czuła się swobodnie. Na dworze było zimno, ale ona podwinęła rękawy, pracując nad gablotą. Na jej prawym przedramieniu dostrzegł wymyślny tatuaż i próbował go rozszyfrować. Kompozycja składała się z dwóch ptaków w locie, trzymających w dziobach transparent z jakimś imieniem zapisanym staromodną czcionką. Nad nimi unosiło się coś, co przypominało orzech włoski. Próbując odczytać płynące z rysunku przesłanie, Verlaque poczuł się zagubiony, jak zawsze gdy przyglądał się tatuażom. Uważał, że myśl przewodnia zazwyczaj była czytelna tylko dla ich właścicieli. Jeszcze jedna ludzka fanaberia.

– Co oprócz lasagne serwowaliście tamtego wieczoru? – zapytał Paulik.

– Sery – odparł Ricci, krzyżując ręce na piersiach. – W tym drogi ser pecorino z trufkami.

– Schowałam pecorino przed Hainsbym! – oznajmiła Vittoria z uśmiechem. Ponownie wzięła do ręki zdjęcie i uważnie mu się

przyjrzała. - Ale to nie jest ten mężczyzna, który miał zapaść, prawda?

- To właśnie on - wyjaśnił Verlaque. - Zmarł wskutek otrucia.

- Czymś w jedzeniu? - zapytał Ricci.

- Tak, ale w tej chwili nie wiemy, w której potrawie.

- No cóż, to z pewnością nie było pecorino - stwierdził Ricci i zaczął ustawiać w lodówce miniaturowe butelki prosecco i włoskiej wody gazowanej, dając do zrozumienia, że już skończył odpowiadać na pytania.

Verlaque i Paulik podziękowali Włochom i odeszli. Verlaque odwrócił się, by jeszcze raz popatrzeć na ich stanowisko, jedno z najbardziej udekorowanych na jarmarku: włoskie flagi i flagi Perugii wisiały w środku i na zewnątrz, podobnie jak plakaty z wielu pięknych miast Umbrii. Przed namiotem stały też trzy gipsowe kolumny, których kilkoro mieszkańców Aix pijających kawę używało właśnie jako stolików.

- Te kolumny to ładny element - stwierdził Paulik.

Verlaque spojrzał na niego badawczo. Nie wiedział, czy to żart, więc wołał nic nie mówić.

Powędrowali w stronę stoiska z Tybingi mieszczącego się o kilka namiotów dalej. Nakrywała tam do stołu para w wieku pięćdziesięciu kilku czy sześćdziesięciu lat.

- Jeszcze nie jesteśmy gotowi - rzekła kobieta na widok Verlaque'a i Paulika. - Czy mogą panowie przyjść za dwadzieścia minut? - W jej francuskim słyszało się obcy akcent, ale mówiła w tym języku bardzo dobrze.

Mężczyźni pokazali swoje odznaki, a mąż kobiety szybko pojawił się u jej boku. Jego francuszczyzna była mniej płynna niż żony.

- Co się dzieje? - zapytał. Wyciągnął przed siebie ręce i wzruszył ramionami, na wypadek gdyby go nie rozumieli.

- Chcemy tylko zadać państwu kilka pytań o niedzielną kolację w katedrze - wyjaśnił Verlaque. - To rutynowe postępowanie.

Niemiec chrząknął i wyciągnął dłoń.

- Gerhard Rösch - przedstawił się. - A to moja żona, Anna.

- Ten człowiek nie żyje? - zapytała cicho Anna Rösch.

- Tak - odparł Verlaque. - Jedno z dań, które zjadł, zostało celowo zatrute.

- I uważają panowie, że zrobiło to jedno z nas? - rzucił Gerhard Rösch. - Co niby mielibyśmy...

Paulik podniósł rękę, odwracając ją dłonią w stronę Niemca.

- Nie, nie - odparł, zniżając głos. - W tej chwili za wcześnie, by stwierdzić, która potrawa zawierała truciznę. Chcielibyśmy wiedzieć, czy zauważyli państwo tamtego wieczoru coś dziwnego, niecodziennego. Zwłaszcza podczas nakrywania do kolacji i podawania dań. - Wyjął z kieszeni płaszcza fotografię i pokazał ją gospodarzom. - To ten mężczyzna, który zmarł. Był Amerykaninem, nazywał się Cole Hainsby.

Anna Rösch skinęła głową.

- Prowadził śpiewanie kolęd. Byliśmy tam. Także w zeszłym roku.

- Był irytujący - stwierdził Gerhard Rösch.

- Gerhard! - zawołała Anna, wykonując znak krzyża.

Mężczyzna westchnął.

- Wybraliśmy się do kościoła sporo wcześniej z powodu uroczystości kolędowej. - Anna potwierdziła ruchem głowy. Gerhard mówił dalej: - Przy zielonych drzwiach przywitała nas młoda dziewczyna...

- Mlle Dubois - dodała. - Jest taka delikatna. Zraniona...

- Tak, tak, Anno. Ale lepiej odpowiedzmy na ich pytania. Był tam ksiądz z katedry, trochę ludzi z kościoła i sprzedawcy z naszego jarmarku.

- Kto dokładnie? Pamiętacie?

M. Rösch zarechotał i zaczął mieszać w garnku z podgrzewającym się rosółem.

- Ja mogę spróbować - odezwała się Anna. - Kiedy dotarliśmy tam o siedemnastej, czekała tam już oczywiście Mlle Dubois i père Fernand z katedry. To bardzo miły ksiądz. Byli też Amerykanie, prawda, Gerhard? - Jej mąż skinął głową, a ona mówiła dalej: - Angielki rozkładały swoje produkty... Pojawił się też ten miły dżentelmen z Kartaginy, ale szybko wyszedł. Mężczyzna ze zdjęcia, Cole, także już tam był. Z żoną i innymi Amerykanami. Ustawiali krzesła i rozkładali na stołach papierowe obrusy. Ach, i Włosi również się przygotowywali...

Jej mąż podniósł do góry palec wskazujący.

- Tylko jedno z nich? - dopytywała Anna.

- Tak, jedno. - M. Rösch głośno odłożył mokrą chochlę i zaczął grzebać w pudełku po butach. Wyciągnął długopis i kawałek papieru. - Narysuję - zaproponował. - Anna pominęła niektóre rzeczy.

- Gerhard ma świetną pamięć wzrokową - wyjaśniła Anna i uśmiechnęła się z lekkim zakłopotaniem.

Kiedy Gerhard Rösch rysował, Verlaque zapytał:

- Czy ktoś oprócz was dotykał waszych potraw, *madame*?

- Nie. Tylko my dwoje.

- I nie wydarzyło się nic niezwykłego?

Anna pokręciła głową.

- Szybko rozłożyliśmy jedzenie i powiedziano nam, że po śpiewaniu kolęd będziemy mogli je podgrzać. Kościół protestancki zapewniał aperitif, chipsy i tym podobne.

Gerhard wskazał na swój rysunek.

- Okrągły stół na środku to aperitify - powiedział. Verlaque skinął głową. - Stół obok to wino. - Gerhard odłożył szkic na ladę i wskazywał poszczególne miejsca końcem długopisu. -

Młodzież i kilkoro dorosłych rozstawili sześć długich stołów, każdy z nich na jakieś dziesięć osób. Po drugiej stronie sali znajdowały się zielone drzwi i okna wychodzące na Place de l'Archevêché. Nasz stół podawczy został umieszczony tutaj, przy oknach.

Anna wskazała na ten właśnie stół i powiedziała coś po niemiecku.

- Dobrze - zgodził się mężczyzna i zaczął pisać coś na swoim rysunku. Zobaczyli, że oznacza, kto gdzie się znajduje. - Skończyłem - oznajmił. - Po prawej stronie na końcu stołu jestem ja z Anną. Potem Stany. Potem Włochy, za nimi Tunezja. A na końcu, najbliżej zielonych drzwi, stare Angielki.

- Gerhard! - skarciła go Anna.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko do Verlaque'a i Paulika.

- Powiedział pan, że było tylko jedno z Włochów - przypomniał mu Verlaque.

- Tak, tylko ona - odpowiedział Rösch.

- Mój mąż ma rację - dodała Anna. - Ten Włoch pojawił się mniej więcej pół godziny później. I, tak jak mówiłam, Tunezyjczyk przyszedł, ułożył swoje produkty i wyszedł. Wiedzą panowie - zniżyła głos - chyba dlatego, że jest muzułmaninem. Śpiewanie kolęd mogło go zupełnie nie interesować.

Paulik spojrział na Verlaque'a, obaj pamiętali, że Mehdi Abdelhak był na uroczystości i widział oboje Niemców.

- Pan powiedział coś jeszcze, M. Rösch - odezwał się sędzia.  
- Że Cole był irytujący.

- Zadawał pytania o Tybingę i nie słuchał odpowiedzi.

- Jakie pytania? - zainteresował się Verlaque.

- Ile kosztuje dom. Ilu jest mieszkańców. Czy znam kogoś w izbie handlowej.

- Mamy jednego znajomego w izbie handlowej - wtrąciła Anna.

Gerhard klasnął w dłonie.

- Nic mu o tym nie powiedziałem!

- Dziękuję państwu za poświęcony nam czas - odezwał się Verlaque. - Czy możemy zatrzymać ten rysunek, M. Rösch?

- Oczywiście.

Paulik także im podziękował i wskazał na małe, kolorowe zdjęcie dwóch przystojnych młodzieńców, przyklejone taśmą z boku lodówki.

- Wasi synowie? - zainteresował się.

- Edmund i Clovis - potwierdził Gerhard, wskazując na chłopców od prawej do lewej. - Będą dentystami, nie kucharzami jak my.

Anna pochyliła głowę i wpatrywała się w ladę.

- Najwyraźniej są bardzo zdolni - powiedział Paulik. - Musicie być z nich dumni.

Anna podniosła głowę i patrzyła na niego spokojnie i z powagą.

- Zrobilibyśmy dla nich wszystko.

Kiedy opuszczali jarmark, przed większością stoisk ustawily się już kolejki głodnych klientów, zwłaszcza przed tymi, które serwowały gorące posiłki. Po drodze Paulik odsłuchiwał wiadomości ze swojego telefonu.

- Z Debrą Hainsby możemy się spotkać dziś po południu, u niej w domu - poinformował Verlaque'a. - Dyrektor szkoły, Alain Sorba, będzie osiągalny we czwartek. Jutro jest na wycieczce szkolnej.

- Kolejnej? - zdziwił się Verlaque. - Dopiero co jechali na narty. To szkoła czy klub rekreacyjny? Może wiesz, ile się płaci za miejsce w tej placówce?

- Ponad piętnaście tysięcy euro rocznie - odparł Paulik. - Zastanawialiśmy się nad tą szkołą dla Léi, na wypadek gdyby nie dostała się na program muzyczny w Mignet.

Léa Paulik, bardzo utalentowana śpiewaczka, właśnie skończyła dwanaście lat.

- To oczywiste, że Léa musiała się dostać do Mignet. Postradaliście rozum?

- Dziwniejsze rzeczy się zdarzały.

Verlaque już otworzył usta, by ponownie zaprotestować, ale rozważył, jakie Paulikowie mieli opcje: zintegrowany program muzyczny w gimnazjum Mignet, dobrze oceniane gimnazjum publiczne, w którym uzdolniona muzycznie młodzież dzieliła swój czas na szkołę i konserwatorium, lub przeciętne gimnazjum na północy miasta. Four Seasons przynajmniej oferowało dwujęzyczną edukację. Być może on i Marine zrobiliby to samo na ich miejscu. W każdym razie nie mógł takiej decyzji oceniać. Ani też nie musiał jej podejmować, bo nie mieli dzieci.

- Ale dzisiaj za nic nie przegapimy lunchu - powiedział w końcu, kiedy przechodzili przez znajdujący się przed ratuszem rynek kwiatowy. Spojrzał na zegarek, było wpół do pierwszej. Przyspieszył kroku, bo zrobił się już bardzo głodny. Zatrzymali się, widząc, że jeden z turystów fotografuje swoją żonę, która stała tyłem do pęków jasnożółtych, pachnących kwiatów.

- Kwiaty w zimie? Jak to możliwe? - dziwił się.

- Zimowy jaśmin - wyjaśnił Paulik, patrząc, jak turysta ponownie robi zdjęcie, najwyraźniej niezadowolony z pierwszego.

- Nie przestaje mnie zdumiewać, dlaczego ludzie tu przyjeżdżają - powiedział Verlaque z westchnieniem. Zaburczało mu w brzuchu. - To tylko małe miasto.

Paulik nie odpowiedział, ale rozejrzał się po placu - przy dwóch pierzejach stały średniowieczne kamienice w kolorach

ochry, pomarańczowym i blad różowym, elewację zachodnią tworzył ratusz wykonany ze złotawego kamienia, z bogato rzeźbionymi drzwiami i brukowanym wewnętrznym dziedzińcem. Po południowej stronie placu mieściła się giełda zbożowa, jej tympanon zdobiły dwie rzeźbione figury, mężczyzna uosabiał Ren, a kobieta Durance. A może odwrotnie? Paulik spojrzął na ogromną stopę kobiecej postaci, zwisającą sponad kamiennego gzymsu, który chronił te rzeźby od ponad trzech stuleci. To ona nazywała się Durance, tak jak rzeka słynna z tego, że występowała z brzegów – stąd ta zwisająca noga. Wrócił myślami do rodzinnych wycieczek do Aix, jakie pamiętał z dzieciństwa. Podróżowali wypełnionym po brzegi samochodem rodziców. Jego siostry wybierały się do sklepów odzieżowych i papierniczych, a on z dwoma braćmi oglądał mecz rugby na stadionie na obrzeżach Aix. Kiedy ich renault kombi przekraczał Durance, krzyczeli z radości, bo to znaczyło, że pokonali już połowę drogi z Luberonu. W drodze powrotnej byli zbyt zmęczeni, by zauważyć rzekę, zazwyczaj już spali, jedno lub dwoje z nich rozciągało się w bagażniku. Wtedy jeszcze było to legalne. Paulik i Héléne przez lata mieszkali w Pertuis, nieco na północ od Durance. Żartowali, że rzeka przybiera tylko dwie formy: wyschniętą, z widocznym kamienistym dnem albo z wezbraną wodą, która wylewa się na brzegi. Uśmiechnął się na wspomnienie o młodej Héléne, która właśnie skończyła szkołę enologii, i o sobie, początkującym podchorążym. Zanim jeszcze urodziła się Léa, ich duma i radość.

- Słucham? - odezwał się, kiedy zdał sobie sprawę, że Verlaque coś do niego mówi.

- Pytałem, czy przyjechałbyś tu jako turysta.

- Oczywiście - odparł komisarz.

Verlaque i Paulik, nasyceni daniem dnia u Fanny, skierowali się na parking, by wziąć samochód Verlaque'a. Dziesięć minut



później znaleźli się na wąskiej drodze, która wiała się w kierunku wioski Saint-Marc-Jaumegarde na północny wschód od Aix. Paulik przeciągnął dłonią po desce rozdzielczej porsche z 1963 roku i powiedział:

- Uwielbiam ten samochód, ale czy jego utrzymanie nie jest koszmarem?

- Nie, ponieważ, po pierwsze, nie jeżdżę nim ani często, ani daleko, a po drugie, raz do roku oddaję go do serwisu. Sprzęgło i klocki hamulcowe sprawdzam co pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Często zmieniam opony.

Paulik zająrzył za przednie siedzenia.

- To chyba nie jest czteroosobowy samochód, prawda?

- Nie, raczej na dwie osoby i dwie skrzynki wina - przyznał Verlaque.

Paulik znów usiadł przodem i Verlaque z ulgą przyjął fakt, że przestał zadawać irytujące pytania. Sędzia czule nazywał swój pojazd Ferdynandem, od Ferdinanda Porsche, który założył firmę w roku 1931. Resztę drogi sędzia wykorzystał na opowiadzenie Paulikowi o burzliwej relacji Debry i Cole'a Hainsbych, w tym o jej romansie z dyrektorem dwujęzycznej szkoły Four Seasons.

- To ta droga w prawo - powiedział Paulik, patrząc na swój telefon komórkowy. - Powinien tu gdzieś być znak na drzewie. *Voilà*. Les Chênes.

Verlaque zwolnił i ruszył w górę stromej polnej drogi usianej wybojami. Napinał mięśnie i mocniej chwycił kierownicę za każdym razem, gdy wjeżdżał na jeden z nich.

- Może zatrzymamy się tutaj i podejmiemy pieszo? - zaproponował, żałując, że nie wziął wozu policyjnego. Ale jego parking znajdował się niedaleko od baru Fanny, poza tym nie chciał czekać, aż ktoś w Pałacu Sprawiedliwości znajdzie dla nich wolny samochód.

- Pewnie - zgodził się Paulik.

Wskazał na ścieżkę między rzędami winnicy, gdzie mogli zawrócić i zaparkować w odpowiednim kierunku.

- Nie tak wyobrażałem sobie to miejsce - stwierdził Verlaque, kiedy podchodzili do domu. - Myślałem, że mieszkają w jednej z eleganckich osad w Saint-Marc.

Paulik milczał - po pierwsze nie znał Hainsbych, a po drugie nie zwracał uwagi na czyjeś miejsce zamieszkania ani na to, które części Aix są w modzie, a które już nie cieszą się powodzeniem. Poprzez gałęzie starego, rozłożystego dębu mogli widzieć dom - piętrowy, lecz mały i uroczy, z kamienia, z białymi okiennicami. Budynek otaczały jeszcze starsze dęby.

- Les Chênes - powtórzył Paulik.

Otworzyły się drzwi wejściowe i ukazała się w nich Debra Hainsby. Wyglądała tak, jakby zmniejszyła się i postarzała. Verlaque nie miał pojęcia, czy kochała swojego męża i co mogła teraz czuć. Czy byłaby w żałobie, gdyby sama go otruła? - zastanawiał się. Ale gdy podeszli bliżej, zauważył, że naprawdę wyglądała na nieszczęśliwą.

- Mme Hainsby - odezwał się, wyciągając do niej dłoń. - Dziękuję, że znalazła pani dla nas czas. To jest komisarz policji Bruno Paulik.

Paulik także przywitał się uściskiem dłoni, a ona zaprosiła ich do środka. Wnętrze wyglądało zupełnie inaczej, niż Verlaque się spodziewał, słysząc, że Cole Hainsby był „irydujący”, „niemądry”, „lekkomyślny”, „naiwny”, a zwłaszcza „spłukany”. Wydawało się pochodzić prosto z angielskiego ilustrowanego czasopisma „Country Life”, które Emmeline co tydzień sprowadzała do ich domu w Normandii. Ściany pomalowano na bladożółto, kolor był słoneczny, ale nie przesłodzony czy niegustowny. Zasłony uszyto z dobrej jakościowo grubej bawełny w kwiatowe wzory. Wyczyszczone do połysku antyki sprawiały wrażenie bardzo kosztownych.

Pokój rozświetlały stołowe lampy, a na ścianach wisiały autentyczne dzieła sztuki – akwarele i obrazy olejne. Nad jednym czy dwoma cenniejszymi spośród nich świeciły mosiężne reflektorki. Sufit przecinały drewniane belki, a podłogę pokrywały stare cegły.

- To jest własność Anglików – wyjaśniła gospodyni. Wydawało się, że nie ma nic przeciwko temu, by sędzia śledczy przyglądał się i podziwiał jej dom.

- Przeprowadzamy się mniej więcej co roku, szukamy taniego, umeblowanego domu – powiedziała Debra, wskazując mężczyznom, by usiedli. – Do tej pory ten okazał się najlepszy. Właściciele to londyńczycy, którzy przyjeżdżali tu latem, ale teraz wyjechali do Hongkongu.

- A jak tam dzieci? – zainteresował się Verlaque. Pamiętał, że było ich dwoje.

- Zrozpaczone – odparła. – Teraz są na spacerze z moją siostrą i jej mężem. W tym tygodniu nie posyłam ich do szkoły. Ja też nie chodzę do pracy, może w ogóle zrezygnuję. – Spojrzała na Verlaque’a i uniosła brew, co on odczytał jako sugestię, że chce ochłodzić relacje z Alainem Sorbą. Co się mogło stać? Jeszcze wczoraj się nimi chwaliła. Czy teraz jest bardziej ostrożna? A może gra rolę zranionej wdowy?

- Biorąc pod uwagę to, jak umarł pani mąż, musimy potraktować to jako zabójstwo – zaczął Verlaque. – Mamy obowiązek zadać pani bardziej szczegółowe pytania i uzyskać wgląd w państwa finanse. Oraz jak najszybciej przeszukać dom. Chciałem powiedzieć to pani osobiście.

- Czy jestem podejrzana? – wyrzuciła z siebie. Po raz pierwszy straciła swoje opanowanie.

- Tak – potwierdził sędzia beznamyślnie. – Widziano, jak karmiła pani czymś męża, kiedy staliście w kolejce po jedzenie.

Wyglądała na zdumioną.

- Zupełnie tego nie pamiętam. A jeśli go karmiłam, to co? Był moim mężem.

- On został otruty, Mme Hainsby.

- Nasze małżeństwo nie było doskonałe - wyznała, patrząc przez okno ze zmarszczonymi brwiami, jakby martwiła się, że w każdej chwili mogą wrócić dzieci. Zniżyła głos. - Tak, miałam romans z Alainem Sorbą. Ale nie otrułam mojego męża.

- Czy M. Hainsby opowiadał pani o swojej firmie? - zapytał Paulik.

- Rzadko - odparła. - Powinnam zadawać więcej pytań, zwłaszcza na temat finansów. Ale wiedziałam z doświadczenia, że kiedy firma była w kłopotach, z Cole'em nie dało się dyskutować.

- Czy ostatnio pani mąż dużo się martwił?

- Tak. Ale tuż przed nabożeństwem w katedrze wyraźnie mu ulżyło. Powiedział mi, że znalazł rozwiązanie.

- Ale nie wie pani, jakie?

- Nie - potwierdziła po chwili zawahania.

- Naprawdę?

Wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju.

- Będziemy też musieli przyjrzeć się polisom ubezpieczenia na życie pani męża - przerwał ciszę Paulik. - Gdyby mogła je pani przygotować na jutro, to przyjadę z kilkoma oficerami, by przejrzeć osobiste rzeczy M. Hainsby'ego.

- Dobrze - zgodziła się. - Jedna z polis jest w naszym banku Crédit Lyonnais przy Cours Mirabeau.

Verlaque podniósł się i podał jej rękę.

- Gdzie mieszkaliście przed przyjazdem do Francji? - zapytał.

- W Michigan. W Ann Arbour. Oboje stamtąd pochodzimy. Poznaliśmy się na tamtejszym uniwersytecie.

Wiedział, że kiedy tylko wróćą do Pałacu Sprawiedliwości, Paulik skontaktuje się z tą uczelnią. Albo zrobi to inspektor, który mówi po angielsku. Jednak wątpił, by tamten okres w życiu Hainsbych miał jakikolwiek związek z zabójstwem Cole'a. Łączyło się ono z czymś lub kimś z Aix-en-Provence i nabożeństwem w katedrze.

## 17.

Verlaque szedł w dół rue Jean de la Roque i myślał o rodzinie Hainsbych, szczególnie o dzieciach, które spacerowały teraz z cicią i wujkiem po wysuszonym *garrigue*. Czy krewni potrafili z dziećmi rozmawiać? Czy tylko pozwalali im mówić, jeśli miały na to ochotę? Paulik popędził przodem, śpiesząc się do Pałacu Sprawiedliwości na spotkanie, po którym mieli zadzwonić do Michigan. W drodze powrotnej do Aix porsche raz czy dwa wydało dziwny dźwięk przypominający kasznięcie, ale Paulik w żaden sposób tego nie skomentował. Pewnie myślał, że w starych samochodach zdarzają się takie odgłosy.

Idąc powoli, sędzia przyglądał się wystawom sklepowym. Alzackie delikatesy zostały udekorowane na święta w Strasburgu, nie w Aix. Wnętrze rozświetlały zwisające z sufitu jasne lampki w kształcie gwiazd. Przez okno widział choinkę, na każdej gałęzi znajdowało się mnóstwo ozdób. Przeważały ornamenty wykonane z tkaniny w biało-czerwoną kratkę i pierniki we wszystkich rozmiarach i kształtach. Napisał do Marine esemesa z pytaniem, czy ma kupić coś na kolację, a ona odpowiedziała uśmiechniętą buźką. Wszedł do środka i uściskiem ręki przywitał się z właścicielem, którego znał z widzenia. Kiedy sklepikarz pakował dla niego kiełbasę i kiszoną kapustę, Verlaque rozglądał się. Ośmielił się dotknąć kilku ozdób. Jeszcze raz napisał do Marine, chciał się dowiedzieć, czy w tym roku będą obchodzili Boże Narodzenie. Za chwilę zobaczył na wyświetlaczu: „Ouuuuui!” Zastanawiał się, czy postawią drzewko w mieście, czy w ich domu na wsi, ale po

chwili odsunął od siebie tę myśl. Nie chciał pozwolić na to, by posiadanie dwóch nieruchomości komplikowało im życie.

Czekając, obejrzał kilka filcowych dekoracji zawieszonych na choince. Miały formę *petits bonhommes* z wydatnymi brzuchami, wyprostowanymi rękami i nogami, i z wysokimi, spiczastymi, filcowymi kapeluszami. Wziął jednego elfa do ręki i dotknął małego nakrycia głowy, przesuwając kciukiem i palcem wskazującym od jego runda aż do czubka. Zdjął wybraną ozdobę z gałęzi - wolał te z zielonymi kapelusikami - i położył na ladzie. Właściciel sklepu zapakował elfa w kawałek bibułki i dodał do zakupów Verlaque'a, które w ostatniej chwili powiększyły się o butelkę rieslinga. Do lady podszedł inny klient, więc sędzia podziękował sprzedawcy i odsunął się na bok. Wyjął *bonhomme* z papierowej torebki, odwinął z bibułki i włożył do kieszeni płaszcza. Wyszedł ze sklepu, nie mając pojęcia, dlaczego schował bibelot. Czy nie chciał, by zobaczyła go Marine? Czy miała to być dla niej niespodzianka? A może trochę się wstydził swojego sentymentalnego odruchu? Tak naprawdę nie rozumiał, dlaczego kupił tę ozdobę. Czy dlatego, że wywołała uśmiech na jego twarzy? A może istniały głębsze przyczyny, które jakiś terapeuta mógłby poddać analizie - za mało zabawek i czułości w domu rodzinnym? Jego matka nie kupowała ani jemu, ani jego bratu zbyt wielu zabawek w obawie, że je zepsują. Ale wydawanie pieniędzy rodziny Verlaque'ów nie stanowiło dla niej najmniejszego problemu, nosiła najświeższe haute couture i co dwa, trzy lata urzędowała od nowa ich paryski dom w pierwszej dzielnicy. Sięgnął ręką do kieszeni, ponownie dotknął spiczastego kapelusika i pogłaskał jego miękki filc. W tym momencie wpadł na père Fernanda i poczuł ulgę, że może pomyśleć o czymś innym, nie o swojej matce ani o tym, dlaczego sięga do filcowej zabawki w swojej kieszeni.

- *Bonsoir, mon père* - powiedział i uściśnął dłoń księdza.

- *Bonsoir* - odpowiedział père Fernand, uśmiechając się na widok torby w ręku sędziego. - Kupił pan choucroute?

- Nie mogłem się oprzeć. - Verlaque uświadomił sobie, że nie widział duchownego ani go nie przesłuchał od feralnego niedzielnego wieczoru. - Czy ma pan kilka minut?

Père Fernand obrócił się i ruchem ręki wskazał na ten sam bar obok katedry, do którego Verlaque zabrał Lèona Vidal-Godarda. Weszli do środka, ukłonili się dwóm kobietom za barem i zajęli dwuosobowy stolik przy ścianie. Zamówili po małym Leffe.

- Panowie - powiedziała barmanka, stawiając piwo na blacie z laminatu Formica.

- *Merci, Pierrette* - podziękował père, sięgnął po kufel i wznosił go w kierunku swojego towarzysza.

Verlaque zrobił to samo i powiedział:

- Santé. - Upił łyk belgijskiego trunku w kolorze bursztynu, a kiedy barmanka wróciła już za bar, zapytał: - Zna ją ksiądz? - Tak naprawdę nie musiał czekać na odpowiedź, bo widział ich kłótnię tego wieczoru, gdy przyszedł tu z Léonem.

- Przychodzę tu od lat. Trzeba wspierać lokalny biznes, nie uważa pan?

Verlaque uśmiechnął się i upił łyk z kufla.

- To bardzo staroświeckie imię u takiej nowoczesnej kobiety - powiedział cicho.

- Nie znosi go - odparł père Fernand, przechylając się przez stolik. - Przyjaciele nazywają ją Pierrot, ale ja wolę relację właścicielka - klient.

- Jest właścicielką? - zdziwił się Verlaque, rozglądając się po wnętrzu baru, który, choć niewielki, znajdował się na liście najbardziej pożądanых nieruchomości w Aix.

Ksiądz skinął głową.



- Odziedziczyła lokal po ojcu. Dobrze, że w naszym mieście wciąż są takie miejsca.

- Obawiam się, że szybko znikają.

- A nie powinny.

- W niedzielny wieczór - zaczął Verlaque, odstawiając piwo - nie mieliśmy okazji porozmawiać po tym, jak M. Hainsby źle się poczuł...

- I umarł.

- Tak. Czy podczas tamtej kolacji zauważył ksiądz coś niezwykłego? Albo nawet wcześniej, w ciągu dnia? - Duchowny wydawał się zaskoczony, a Verlaque mówił dalej: - Cole Hainsby został otruty. Ktoś wsypał do jego potrawy wystarczająco dużo pokruszonego paracetamolu, by go zabić.

*Père* Fernard skrzyżował ręce na piersiach.

- Ktoś go zamordował? Trudno w to uwierzyć, to takie szokujące.

Verlaque skinął głową i czekał, by ksiądz mówił dalej. *Père* Fernard kontynuował:

- Tamtego wieczoru tyle ludzi wchodziło i wychodziło z kościoła i z sali jadalnej. Nie wiem, czy mogę pomóc. Najwięcej może powiedzieć wam młoda kobieta z APCA. Ma na imię France.

- France Dubois.

- Tak, chyba tak - przytaknął *père* Fernand. - Organizowała tę kolację, więc była tam przez większość czasu. Wpadałem na nią przez całe popołudnie.

- Czy coś jeszcze? - zapytał Verlaque. - Czy znał ksiądz Cole'a Hainsby'ego?

- Nigdy w życiu go nie spotkałem, oczywiście aż do tamtego popołudnia, kiedy przyszli z żoną wcześniej, by coś przeciwzyć przed uroczystością.

- I jak to wyglądało?

- Jak ćwiczili? - upewnił się ksiądz. - Gdyby mnie pan zapytał, nie musieli powtarzać instrukcji do każdej kolędy po francusku i po angielsku. To zabierało stanowczo za dużo czasu, a myślę, że wszyscy obecni znają podstawy jednego albo obu tych języków.

Verlaque uśmiechnął się.

- Zgadzam się. Ale pomiędzy nimi?

- Ach, rozumiem. Jak się do siebie odnosili? Lodowato.

- Czy któraś z osób z miast partnerskich zachowywała się jakoś dziwnie?

Ksiądz upił łyk piwa, znów skrzyżował ręce na piersiach i odchylił się do tyłu.

- Tunezyjczyk - odpowiedział z namysłem. - Pewnie robię z igły widły, a jednocześnie nie chcę wyjść na...

- Rasistę?

- Właśnie. Ale około pół godziny przed nabożeństwem był w katedrze i robił zdjęcia. Podszedłem do niego z tyłu, więc pewnie go przestraszyłem. Podskoczył i przycisnął do siebie aparat, jakbym miał mu go ukraść. Chciałem mu tylko powiedzieć, że musimy opróżnić katedrę, ponieważ zaraz zaczyna się śpiewanie kolęd.

- Co fotografował?

- Kaplicę Świętego Rocha.

## 18.

Następnego dnia o dziewiątej rano Verlaque siedział już przy swoim biurku i wpatrywał się w telefon, czekając z utęsknieniem, aż zadzwoni. Czuł, że śledztwo w sprawie zabójstwa Cole'a Hainsby'ego nie posunęło się ani o krok. Poprzedniego wieczora Marine była bardzo zmęczona i wcześniej poszła spać. Miał nadzieję, że to tylko zimowy spleen i stres świątecznych przygotowań. Planowała kilka przyjęć i bogatą kolację w wigilijny wieczór. Verlaque wszędzie znajdował skrawki papieru z listami potraw i produktów do kupienia.

Ktoś zapukał do drzwi i Verlaque rozpoznał trzy pewne uderzenia Brunona Paulika.

- *Entrez* - zawołał.

Paulik wsunął się przez uchylone drzwi. Zamknął je, prawą ręką uściśnił dłoń sędziego, a lewą, w której trzymał jakąś teczkę, podniósł wysoko i oznajmił.

- Tutaj jest skarb.

- *Ah, bon?* - zainteresował się Verlaque.

Usiadł ponownie i wskazał komisarzowi krzesło po drugiej stronie biurka.

- Przyszedłeś wybawić mnie od śmiertelnej nudy? Czy coś w tych materiałach dowodzi, że Debra Hainsby albo Alain Sorba zamordowali Cole'a Hainsby'ego?

Paulik przyciągnął krzesło bliżej biurka i położył teczkę na szklanym blacie.

- Owszem, to intrygujące informacje, ale nie mają nic wspólnego z jego żoną ani jej kochankiem - powiedział.

- Ani z kucharzem, ani złodziejem?

- *Pardon?*

- Przepraszam - rzekł Verlaque. - To świetny angielski film z lat osiemdziesiątych.

Paulik trochę się zachnął, ale wyjął dokumenty i powiedział:

- To raport z wypadku samochodowego. Miał on miejsce sześć lat temu na *route départemental* na północ od Aix, za Célony, a przed dużym rondem w kierunku Éguilles.

- Tam gdzie są te sklepy z antykami?

- Dokładnie tam. I droga jest wysadzana platanami. Twingo zderzyło się czołowo z jakimś większym samochodem... - Paulik spojrział na pierwszą stronę dokumentu i dodał: - Volvo kombi.

- Czy ludzie w twingo przeżyli? - zapytał Verlaque, zadowolony, że Marine już dawno sprzedała samochód tej marki, tak mały i tanio wykonany, że zawsze wywoływał u niego niepokój.

- Nie - odparł komisarz. - Małżeństwo, zginęli na miejscu. Nie było innych pasażerów.

- A ludzie z volvo uciekli?

- Tak. To była wina tamtego kierowcy. Próbował wyprzedzić małego citroena i uderzył w twingo, które nadjeżdżało od strony Éguilles...

- Dlaczego to jest skarb, Bruno? Czy to Cole Hainsby prowadził volvo?

Paulik skinął głową.

- A kierowca i pasażer twingo? Jak oni się w to wszystko wpisują? Kim byli?

- To Pascal i Myriam Dubois.

- Rodzice France?

- Si, señor - odparł Paulik, krzyżując ręce i odchylając się do tyłu.

Verlaque przejechał dłonią po swoich siwiejących włosach.

- Biedna dziewczyna - powiedział w końcu. - To stąd jej smutek. Wyczuwałem, że ona coś ukrywa...

- Czy myśli pan, że to wystarczający motyw?

Sędzia zastanawiał się przez chwilę.

- Czy można kogoś nienawidzić za zabicie rodziców tak bardzo, by szukać zemsty? Pewnie tak, ale dlaczego czekać z tym sześć lat?

- By zebrać się na odwagę?

- I France Dubois bardzo dużo się tamtej niedzieli przemieszczała - przerwał mu Verlaque. - Jej imię wciąż się pojawia w zeznaniach.

- Na pewno nie było trudno pokruszyć garść paracetamolu i nasypać do czyjejs potrawy. Dziwi mnie, że ta metoda nie jest stosowana częściej.

- Niedzielna kolacja stwarzała doskonałą okazję - zauważył Verlaque. - Być może France rzadko widywała Cole'a Hainsby'ego. A w katedrze miała spędzić z nim cały dzień.

- Myśli pan, że podjęła pracę w APCA z jego powodu? - zastanawiał się Paulik. - Amerykański kościół w centrum Aix.

- I co, u licha, robiła wczoraj, wystając na jarmarku? Wpatrując się w tego filadelfjczyka?

- Może teraz nienawidzi wszystkich Amerykanów - zasugerował Paulik. - Ten człowiek i M. Hainsby są mniej więcej w tym samym wieku.

- Nie mów mi, Bruno, że France Dubois planuje jakąś serię zabójstw. Trując wszystkich Amerykanów pomiędzy trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia.

Paulik wzruszył ramionami.

Verlaque sięgnął po długopis.

- Nie mamy już nic więcej, prawda? Podejrzewamy dwie kobiety. Jedna to nieszczęśliwa żona, a druga - samotnica.

Wolałbym raczej, by dowody wskazywały na kogoś takiego jak Alain Sorba.

- Bo ma korsykańskie nazwisko?

- Nie, ponieważ kasuje niczego niepodważających ekspatów na piętnaście tysięcy chesnego na rok, podczas gdy szkoły publiczne są za darmo i mają lepsze notowania.

Adres, który dostali, prowadził ich pod numer osiemnasty przy rue Cardinale. France Dubois zadzwoniła z informacją, że jest chora.

- Przeziębiona - wyjaśnił wielebny Dave. - Zwykle coś łapie o tej porze roku. Mam nadzieję, że sprawa, o której chcecie z nią porozmawiać, to nic poważnego.

- Nie, nie - skłamał Verlaque. - Kolejne rutynowe pytania. Kiedy szli do France, Paulik przyglądał się numerom domów, a Verlaque wpatrywał się w kościół Saint-Jean-de-Malte. Miał nadzieję, że nie wpadną na Florence Bonnet ani na jej przyboczną, Philomène Joubert.

- *Voilà* - powiedział Paulik i zatrzymał się, by przeczytać tabliczkę przy numerze osiemnaście.

- Joubert - westchnął Verlaque. - Drugie piętro.

- Zna ich pan?

- Kumpelka mojej teściowej - wyjaśnił sędzia.

Paulik roześmiał się, domyślając się, jaką kobietą musi być Mme Joubert.

- F. Dubois. - Wskazał na kolejne nazwisko. - Pierwsze piętro. - Nacisnął guzik domofonu.

Verlaque podniósł głowę, jakby chciał dokonać inspekcji budynku. W Aix na parterach zwykle mieściły się sklepy i biura.

Tutaj parter zajmowało mieszkanie, na tabliczce wyryte było nazwisko właściciela. Verlaque przypomniał sobie ogród na tyłach tego domu, widoczny z dawnego mieszkania Marine, które znajdowało się o jedną uliczkę dalej. Był wielki, z

fontanną i roślami drzewami. Mieszkanie France miało najwyższe okna w budynku, więc sufit musiał być tam wysoki. Na drugim piętrze, na którym lokale były najbardziej poszukiwane, rezydowali Joubertowie. Sufity miał tam wystarczającą wysokość, ale lokal znajdował się dużo wyżej, był cichszy i zapewniał lepszy widok. Nazwiska lokatora z trzeciego piętra nie rozpoznał, a czwarte, najtańsze, zazwyczaj z niskimi, spadzistymi sufitami, które przeważnie przeciekały, zajmowała pewnie para młodych ludzi, a nawet dwoje studentów.

- *Oui?* - w skrzeczącym domofonie rozległ się głos France Dubois.

- Antoine Verlaque. Przepraszam, że przeszkadzamy. Przyszedłem z komisarzem policji. Możemy wejść?

- Oczywiście.

Rozległo się brzęczenie i ciężkie, czerwone drzwi otworzyły się z głuchym dźwiękiem. Hol wejściowy wyglądał podobnie jak każdy siedemnasto- czy osiemnastowieczny westybul w Aix, włączając jego własny - podłogę wyłożono czarno-białymi płytkami tworzącymi kratkę, w rogu stały stare, drewniane krzesła, których ktoś już nie chciał w swoim mieszkaniu, z bladoniebieskich ścian w wielu miejscach odpadała farba, a na styku ścian i sufitu zamocowano gypseries, tak popularne w Prowansji ozdobne gipsowe sztukaterie. Po wyłożonych czerwonymi płytkami schodach weszli na pierwsze piętro, gdzie w otwartych drzwiach czekała na nich France z wełnianym szalem okręconym wokół drobnych ramion. Wytarła nos i zeszła na bok, by mogli wejść do środka.

- Mają panowie ochotę na herbatę? - zapytała i zamknęła drzwi wejściowe.

Mężczyźni odmówili i zapytali o jej zdrowie.

- Czuję się lepiej niż dziś rano - odparła. - Ale te stare mieszkania nigdy się nie nagrzewają.

France opadła na sofę, Verlaque szybko się rozejrzył i usiadł naprzeciwko niej, a Paulik zajął fotel po jego prawej stronie. Pokój z pewnością był kiedyś elegancki, ale ściany wymagały odmalowania, a *tomettes* na podłodze – wypolerowania. Dwa duże okna, które wcześniej podziwiał z zewnątrz, nie wpuszczały tak dużo światła, jak sobie wyobrażał. Ale wszystko się wyjaśniło, kiedy lepiej im się przyjrzał – były po prostu zakurzone i brudne. Chociaż jednak mieszkanie wymagało wyczyszczenia i odmalowania, było gustownie urządzone. Wiszący nad sofą ogromny plakat z wystawy Picassa w Côte d’Azur rozświetlał pokój. Kilka barwnych poduszek i staromodnych lamp dodawało wnętrzu oryginalności i koloru, co bardzo się Verlaque’owi podobało.

Pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach. France spojrzała na niego i oczy jej się zaszklily. Nie potrafił powiedzieć, czy to od choroby, czy ze smutku.

- Panowie już wiedzą, prawda? - odezwała się cicho.

- O czym? - dopytywał Verlaque.

- O wypadku.

Sędzia spojrzał na Paulika, który skinął głową.

- Tak - potwierdził komisarz. - Sześć lat temu na *route de Célony*. Samochód, który zderzył się z autem pani rodziców, prowadził Cole Hainsby.

Przetarła oczy świeżą chusteczką i powiedziała:

- Myślę o tym każdego dnia.

- Wyobrażam sobie - powiedział miękko Verlaque. - To dlatego podjęła pani pracę w APCA?

Pokręciła przecząco głową.

- Pewnie mi panowie nie uwierzą, ale otrzymałam tę posadę przez przypadek. Kiedy dowiedziałam się o... wypadku... mieszkałam w Paryżu. Natychmiast się zwolniłam i wróciłam do Aix na stałe.



- Czy to nie było trudne? - zapytał Verlaque. - Tyle wspomnień.

- Wspomnienia to wszystko, co mi zostało, panie sędzio. - Wyprostowała się i to wzruszyło Verlaque'a. - Skończyłam anglistykę, ale w Aix nie znalazłam wielu propozycji pracy. Miałam wielkie szczęście, że dostałam tę posadę w kościele protestanckim. Początkowo to było pół etatu, ale nie potrzebowałam pieniędzy, bo rodzice zostawili mi... - Zakrztusiła się i zamilkła, łapiąc powietrze.

- Proszę się nie śpieszyć - odezwał się Paulik.

- Zostawili mi pieniądze - mówiła dalej. - Bardzo szybko kupiłam to mieszkanie, może zbyt szybko, bo ono wymaga jeszcze dużo pracy, a ja nie mam energii. - Westchnęła. - Kiedy przyjąłam pracę, nie wiedziałam, że człowiek, który jest odpowiedzialny za śmierć moich rodziców, należy do tego kościoła.

- Aż do niedawna - odpowiedział jej Verlaque.

- Tak. Poznałam go przy okazji śpiewania kolęd. On oczywiście nie miał pojęcia, kim jestem. Nie wiem, czy w ogóle pamiętał nazwisko Dubois.

- Czy życzyła mu pani śmierci? - chciał wiedzieć Verlaque.

- Oczywiście - odpowiedziała beznamiętnie. - Wiele razy. Ale to wydarzyło się sześć lat temu. W zeszłym tygodniu, kiedy siedziałam przy nim w restauracji, ledwie mogłam utrzymać widelec. Kiedy jednak w końcu go poznałam, nie czułam nic. Nawet mnie to zmartwiło - nie czułam nic. Rozumie pan?

Verlaque przypomniał sobie swoje ambiwalentne uczucia po śmierci matki i skinął głową.

France zapewniała:

- Nie zabiłam go. Wiem, że mnie podejrzewacie.

- Obserwowała go pani podczas kolacji? - zapytał Verlaque.

- Jak bym mogła go nie obserwować? To była chodząca katastrofa. Pogardzałam nim, a jednocześnie nie mogłam oderwać od niego wzroku.

- Czy zauważyła pani coś niezwykłego? - chciał wiedzieć Paulik. - Czy ktoś majstrował przy jedzeniu, zwłaszcza przy talerzu M. Hainsby'ego?

- M. Hainsby tak dużo się kręcił, że trudno powiedzieć. Widziałam, że co najmniej trzy razy podchodził do bufetu. Ostatni raz z *père* Fernandem. Och, i przez chwilę z Alainem Sorbą, właścicielem szkoły Four Seasons

- Jest dyrektorem tej szkoły, jak sądzę? - odezwał się Verlaque.

- Tak i jednocześnie to jego własność - potwierdziła France.

- A podczas rozkładania kolacji? - naciskał Paulik. - Czy wszystko odbyło się spokojnie i zgodnie z planem?

- To było chaotyczne, zupełnie jak w poprzednich latach - wyjaśniła. - Więc nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie. Martwiłam się, że M. Abdelhak z Kartaginy się spóźni, ale *père* Fernand znalazł go w kościele i przyprowadził do sali jadalnej. Oczywiście w ostatniej chwili doszło do kilku kryzysów, jak to zwykle bywa, ale *summa summarum* nie zdarzyło się nic, czemu nie mogłam podołać.

- A Amerykanin z Filadelfii? - zaczął Paulik. - Zauważyliśmy, że go pani obserwowała.

Wzdrygnęła się, ale pomachała ręką w powietrzu.

- A, on - powiedziała. - Narzekał na swój namiot na jarmarku, więc patrzyłam, jak pracuje, by sprawdzić, czy jego skargi są uzasadnione. Powiedział, że nie ma elektryczności i brakuje mu miejsca.

Verlaque potarł dłonie o uda, zadowolony, że założył dziś rano wełniane spodnie. Mieszkanie France było naprawdę wychłodzone. Paulik odczytał to jako znak do wyjścia.

- *Merci beaucoup, mademoiselle* - powiedział, podniósł się i uściśnął jej dłoń. - Życzę zdrowia.

- *Merci* - odparła France Dubois, teraz cichym głosem, takim jak wtedy, kiedy weszli.

Verlaque odezwał się:

- Trafimy do wyjścia.

Ostatni raz spojrzął na wydruk obrazu Picassa. Przedstawiał widok przez okno na Morze Śródziemne, podobne ujęcia malował przyjaciel i rywal Picassa, Henri Matisse. Na parapecie i na balkonie siedziały kolorowe gołębie - nigdzie się nie wybierały, dobrze się tam czuły. Czy ojciec Picassa miał do czynienia z gołębiami? - usiłował sobie przypomnieć Verlaque. Sprawdzi to, kiedy dotrze do domu. Na ciemnoniebieskim morzu widniały drobne, białe fale, a wodę przecinał skalisty półwysep obramowany kołyszącymi się palmami. W nadmorskim pokoju Picassa dominowały kolory pomarańczowy i żółty, za oknem - niebieski i zielony. Barwy ciepłe i zimne. Verlaque popatrzył do tyłu na Mlle Dubois, usadowioną teraz w fotelu, w którym przed chwilą siedział Paulik. Wpatrywała się przed siebie, w kolorowe gołębie i Morze Śródziemne.

Kiedy wrócili do Pałacu Sprawiedliwości, Mme Girard podniosła rękę, sygnalizując, by się zatrzymali.

- Inspektor Flamant dzwonił dwa razy - poinformowała. - Chciał, żebyście zeszli do jego biura.

- Dziękujemy - powiedział Verlaque z uśmiechem.

Westchnęła i znowu przeniosła wzrok na ekran swojego komputera, a on kątem oka widział na nim zielone tło pasjansa.

Zastanawiał się, ile tak naprawdę miała lat i dlaczego wciąż pracowała, choć jej mąż był bardzo bogaty.

- Idziemy - rzekł do Paulika i obaj odwrócili się w stronę, z której właśnie przyszli.

Kiedy schodzili w dół szerokich, kamiennych schodów, takich jak w domu France Dubois, Paulik powiedział:

- Mlle Dubois nie wygląda na morderczynię.

Verlaque zauważył, że ściany przy schodach były jasnoniebieskie, jak u France, i podobnie jak tamte potrzebowały nowej warstwy farby.

- Nie, to prawda. Nawet w przypadku morderstwa za pomocą paracetamolu.

- Czy ktokolwiek z tej grupy wydaje się mordercą? Mam na myśli to, że połowa z nich należy do kościoła, a druga połowa przyjechała z Włoch, Niemiec albo jeszcze skądś i wspaniałomyślnie gotuje dla wszystkich kolację. Czy to ma sens?

Gdy znaleźli się na pierwszym piętrze, Paulik przytrzymał drzwi przed Verlakiem.

- Fakt, że chodzą do kościoła, nie oznacza, że są niewinni - zauważył sędzia, kiedy ruszyli wzdłuż jednego z wielu krętych korytarzy Pałacu Sprawiedliwości.

- Wiem - odezwał się Paulik. - Teraz głośno myślę. - Spojrzał na Verlaque'a i zapytał: - Często chodzi pan do kościoła?

- *Pardon me?* - zdziwił się sędzia. - Aha, pytasz, bo byłem na tym nabożeństwie bożonarodzeniowym?

- Tak.

- Nie, wtedy poszedłem po raz pierwszy od lat. Nigdy nie chodziłem do kościoła, chyba że na śluby i pogrzeby. Marine chciała przyjść... wiesz, ten chór jej matki i to wszystko...

- Oczywiście, oczywiście.

Verlaque spojrział na swego komisarza.

- A ty i Héléne?

- Też nie. Nawet nie ochrzciliśmy Léi. Rodzice Héléne nie rozmawiali z nami przez całe tygodnie.

- Rozumiem, że twoi rodzice nie zmartwili się tym brakiem chrztu?

- Nie. To rolnicy i komuniści. Kościół nie odgrywał większej roli w naszym domu - roześmiał się Paulik.

Podeszli do biurka Flamanta, który wpatrywał się w ekran komputera.

- Dzwoniłeś? - odezwał się Paulik.

Flamant podskoczył na krześle.

- Zmywaj się - powiedział do młodego kadeta, który pracował obok niego, wypełniał jakiś formularz i ziewał.

Chłopak wybiegł, a Paulik wprowadził Flamanta w szczegóły ich wizyty u France Dubois.

- Dokopałem się do pewnych informacji o ofierze, Cole'u Hainsbym - oznajmił Flamant, machając przed nimi wydrukiem z komputera. - Większość tych materiałów pochodzi z internetu, okazało się też, że jeden z oficerów policji w Ann Arbour całkiem dobrze mówi po francusku.

- Naprawdę? - zainteresował się Verlaque.

- No cóż - odparł Flamant. - Na pewno lepiej niż ja po angielsku. Zanim został oficerem policji, studiował romanistykę. I to na tym samym uniwersytecie co Hainsby'owie... Uniwersytet Stanu Michigan.

- Tam się spotkali, prawda? - upewniał się Paulik.

- Tak, ukończyli studia w tym samym roku - dodał Flamant. - Cole studiował historię, a jego żona teatrologię. - Pokazał im skopiowaną fotografię. - Znalazłem ją na stronie uniwersyteckiej, pochodzi z ich dyplomowego roku. To chyba Debra... nazywała się wtedy Collins... zdobyła nagrodę za sztukę teatralną. - Przyjrzał się uważnie drobnym literom w opisie zdjęcia i swoim chropawym angielskim przeczytał tytuł sztuki, którego żaden z mężczyzn nie zrozumiał.

- O! - zawołał Verlaque. - *Un Tramway...* To sztuka Tennessee Williamsa. - Próbował przetłumaczyć na francuski *A Streetcar Named Desire*, ale wiedział, że to zupełnie mu się udało.- Idąc dalej - odezwał się Flamant, co sprawiło, że Paulik uśmiechnął się szeroko - po studiach przez dwa lata zostali w Ann Arbor, potem przeprowadzili się do Włoch.

- To się robi coraz bardziej interesujące - stwierdził Verlaque.

- Nie do Perugii - dodał Flamant. - Do Alby.

- W Piemontcie? Tam skąd pochodzą białe trufle? - zapytał Paulik.

Flamant skinął głową i podał mu jeden z wydruków.

- Ale nie zostali tam na długo - powiedział. - Na osiem miesięcy. Cole prowadził firmę wycieczkową dla Jankesów... To znaczy Amerykanów. Potem wrócili do Stanów. Trzy lata spędzili w Michigan, gdzie M. Hainsby pracował w sklepie z rowerami, a później przyjechali tutaj, do Aix.

- A ta tutejsza firma wycieczkowa?

- W tej kwestii muszę dłużej poszperać w internecie - odparł Flamant. - Znalazłem ich stronę. Uczestnicy wycieczek dawali dobre oceny, cztery lub pięć gwiazdek. Tylko jednej osobie się nie podobało, jakiemuś Francuzowi. Ocenił ich na jedynekę.

- Zadzwoń do tego niezadowolonego klienta. Będziesz mógł rozmawiać po francusku - polecił Verlaque. - Czy jest lista ich nazwisk?

Flamant spojrział na kartkę.

- Cédric Farou. Z Lyonu.

- Ale pewnie nie ma tam jego numeru telefonu.

- Nietrudno będzie go znaleźć - rzekł z uśmiechem Flamant.

- A praca Mme Hainsby? - zapytał Paulik. - W szkole dwujęzycznej?

- Znalazłem tylko ich stronę. Mają basen i korty tenisowe! - zagwizdał Flamant. - Ale nie widziałem nic o ich finansach ani o dyrektorze. Zwykle dobrze mi idzie piractwo komputerowe... to znaczy szukanie informacji... ale teraz wszystkie drogi były zablokowane.

- A co z uczestnikami Jarmarku Miast Partnerskich? - chciał wiedzieć Verlaque. - Może ktoś z nich przypadkiem jest byłym kryminalistą albo na zwolnieniu warunkowym?

- Nie mamy aż takiego szczęścia - odparł Flamant. - Ale jedna z Angielek była pielęgniarką.

Verlaque i Paulik popatrzyli po sobie, zaskoczeni. Flamant wyjaśnił:

- Trucizna.

- To był paracetamol - powiedział Verlaque. - Dziecko mogłoby to zrobić.

- Pomyślałem po prostu, że pielęgniarki łatwiej byłoby zebrać się na odwagę - wyjaśnił Flamant.

- *Pa mal* - zgodził się Paulik.

- Nie, nie angielska babcia. A inni uczestnicy? - dopytywał sędzia.

- Jeszcze nic, ale dopiero zaczęliśmy. Do tej pory starczyło mi czasu tylko na Bath i Tybingę.

- Dobra robota - pochwalił go Verlaque. - Dzięki.

- To cię z tym zostawimy - powiedział komisarz. - Rozruszaj się trochę po całym tym siedzeniu przy komputerze. - On sam potrafił wytrzymać tylko pół godziny przed monitorem, potem jego kręgosłup zaczynał protestować.

Flamant dodał:

- Jeszcze jedna rzecz. Kiedy zobaczyłem ten basen w szkole Four Seasons, próbowałem sprawdzić wysokość czesnego, ale niełatwo było to znaleźć na ich stronie...

- Nie wątpię - roześmiał się Verlaque.

- W końcu musiałem zadzwonić i zapytać sekretarkę. I zastanawiałem się, czy Mme Hainsby była tylko sekretarką. Przecież wspólnik Cole'a Hainsby'ego powiedział, że nie zarabiali dużo, więc jak mogli sobie pozwolić na wysłanie dwojga dzieci do takiej szkoły?



## 19.

Znalezienie dwujęzycznej szkoły Four Seasons nie okazało się trudne. Verlaque zauważył drogowskazy już przy trasie prowadzącej z Saint-Cannat do Lambesc. Wkrótce znalazł się na drodze *départamental* o numerze sześćdziesiąt sześć. Roześmiał się i nucił piosenkę Route 66, którą jego dziadkowie często odtwarzali podczas przyjęć w paryskim domu, aż znalazł się przed bramą szkoły. Udało mu się wcisnąć samochód na ostatnie miejsce na zwirowo-trawiastym parkingu.

Szkoła mieściła się w długim, niskim budynku. Jedna ze ścian, zbudowana z szorstkich kamieni, zdradzała pochodzenie obiektu - był to niegdyś dom mieszkalny w gospodarstwie, budynek gospodarczy albo owczarnia. Okna i drzwi wyglądały na nowe i tanie, zgadywał, że wymieniono je pięćdziesiąt lat temu. Nie było śladu tak podziwianych przez Flamanta basenu ani kortów tenisowych. Prawdopodobnie znajdowały się po przeciwnej stronie budynku, od południa. Strona północna, z zakurczonym parkingiem, nie sprawiała najlepszego wrażenia. Verlaque wyszedł z samochodu i skierował się ku szklanym drzwiom oznaczonym nieco przekrzywioną tabliczką z napisem: „Offices/Bureaux”.

W środku, w pokoju tak małym, że musiał stanąć prawie obok niej, siedziała za biurkiem kobieta w średnim wieku.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytała z silnym prowansalskim akcentem.

- Mam spotkanie z M. Sorbą. Antoine Verlaque, sędzia śledczy.

Spojrzała na niego, ale się nie odezwała. Podniosła słuchawkę telefonu i powiedziała komuś po drugiej stronie, kogo Verlaque uznał za samego Sorbę, o przybyciu gościa.

Sędzia podziękował i stanął w małym korytarzu. Kobieta nie zaproponowała, by usiadł, ani nie zasugerowała, gdzie ma poczekać. Zastanawiał się, co myślą o niej ekspaci, kiedy tu trafiają, wyrwani ze swojego dawnego życia, martwiący się losem dzieci. I czy w ogóle rozumieją jej silny, południowy akcent? Była jedną z najbardziej nieprzyjaznych osób, jakie kiedykolwiek poznał, a przecież obsługiwała ludzi. Nawet urzędniczki w biurze paszportowym w Aix zachowywały się bardziej kulturalnie, choć były powszechnie znane ze swej nieuprzejmości. Dla zabicia czasu zaczął się przyglądać rozmieszczonym na ścianach zdjęciom szczęśliwych i uśmiechniętych uczniów podczas różnych szkolnych wydarzeń i wycieczek. Szukał ujęcia z dziećmi w klasie, z podręcznikami. Znalazł tylko jedno.

- M. Verlaque? - zwróciła się do niego jakaś inna kobieta. Mówiła po francusku, ale z angielskim akcentem.

- Tak, to ja.

Podeszła, wyciągając dłoń.

- Jestem Colleen Fairchild. Proszę za mną.

Kobieta najprawdopodobniej dobiegała trzydziestki i miała na sobie imponująco krótką spódniczkę. Pierwsza sekretarka stęknęła z dezaprobatą. Podążył za młodą kobietą na pierwsze piętro, celowo patrząc pod nogi.

Weszli do pokoju z niskim sufitem opartym na drewnianych belkach, a Mlle Fairchild zaproponowała mu krzesło z czarnym, skórzanym oparciem.

- M. Sorba zaraz do pana przyjdzie - powiedziała, siadając za nowoczesnym, białym biurkiem.

- Jest pani jego sekretarką? - zapytał Verlaque, zakładając nogę na nogę.

- Tylko tymczasowo. Asystentka pana Sorby jest na zwolnieniu. Jej...

Obok jej biurka otworzyły się drewniane drzwi i wkroczył przez nie duży mężczyzna o szerokiej klatce piersiowej.

- Dziękuję, Colleen - przerwał jej w połowie zdania. - Alain Sorba. Zapraszam do mojego gabinetu.

Verlaque odwrócił się, by podziękować sekretarce, która wpatrywała się w swojego dyrektora z przejęciem.

Poszedł za Sorbą i na zaproszenie gospodarza usiadł w kolejnym skórzanym fotelu, także czarnym. Okno z gabinetu wychodziło na południe i mógł przez nie zobaczyć osławiony basen. Sorba podążył za jego spojrzeniem i powiedział:

- Jest ogrzewany w lecie.

- Macie tu szkołę letnią? - zapytał sędziecia.

- To dla nas świetny biznes - odparł Sorba. - Wielu rodziców, w większości paryżan z Neuilly czy Wersalu, wysyła do nas dzieci, żeby uczyły się angielskiego. Dzieciaki to uwielbiają. Ale, jak rozumiem, nie przyszedł pan po to, żeby rozmawiać o szkole. Chyba że ma pan dzieci... - Uśmiechnął się i podsunął sędziemu kolorową broszurę.

- Nie mam - rzekł Verlaque, odwzajemniając uśmiech. Przyglądał się Sorbie i starał się zrozumieć, skąd się bierze jego atrakcyjność w oczach kobiet. Był dużym mężczyzną, dobiegającym pięćdziesiątki i najwyraźniej starał się utrzymać formę. - Ma pan rację, nie pojawiłem się tutaj, by rozmawiać o edukacji, ale o Cole'u i Debrze Hainsbych.

- To straszne, straszne.

- Był pan tam w niedzielny wieczór - stwierdził Verlaque.

- Tak, na śpiewanie kolęd chodzi wielu naszych uczniów, najczęściej z rodzinami - odparł Sorba. - Ja wybieram się tam co roku, podobnie jak większość moich nauczycieli i innych pracowników.

- Czy nauczyciele i personel wiedzą o pańskim romansie z Debrą Hainsby? - Sorba zerknął w kierunku drzwi, jak gdyby Mlle Fairchild mogła ich usłyszeć. - Powiedziała mi o tym Mme Hainsby - dodał.

- To już przeszłość - oznajmił Sorba, opierając potężne ramiona na brzegu biurka i przechylając lekko głowę. Jakby odprawiał pokutę.

- Skończyło się, bo jej mąż nie żyje?

- Skończyło się wcześniej. Proszę posłuchać, panie sędzio, nie wiem, dlaczego pan tu jest, ale nie podobają mi się pańskie pytania.

Sorba wstał i wskazał ręką na drzwi. Verlaque wyobraził sobie Colleen Fairchild, która siedzi w sąsiednim pokoju i próbuje jak najwięcej podsłuchać.

- Cole Hainsby został otruty - powiedział sędzia, podnosząc się. - Z pewnością pan o tym słyszał. I dowiemy się, kto to zrobił.

- Mam nadzieję - rzekł Sorba i sięgnął po telefon.

Kiedy Verlaque pojawił się w drzwiach, Mlle Fairchild podskoczyła na krześle.

- Znajdę drogę do wyjścia - powiedział.

Szedł szybko i zdecydowanie w dół wąskich, krętych schodów, ale zamiast skręcić w lewo, do wejścia na parking, skierował się w prawo, na taras. Po prawej stronie zobaczył kryty basen pływacki, a na wprost rozciągały się trzy korty tenisowe. Obok nich stało około dziesięciu małych, przenośnych budynków, łączyły je wydeptane ścieżki. Domyślał się, że to sale lekcyjne, ponieważ budynek, z którego właśnie wyszedł, był za mały, by pomieścić biura, stołówkę i inne niezbędne pomieszczenia.

Ruszył w kierunku domków, kiedy wszystkie prowadzące do nich drzwi otworzyły się i dzieci w różnym wieku - jak

zgadywał, od dwunastu do osiemnastu lat - wypadły na zewnątrz i rozbiegły się w rozmaitych kierunkach. Z najbliższego budynku wyszła nauczycielka i zapaliła papierosa.

Verlaque uśmiechnął się i podszedł.

- Przerwa? - zapytał.

- Dziesięćminutowa - odparła, spoglądając na zegarek.

Mówiła po francusku z zauważalnym akcentem, ale nie potrafił powiedzieć, czy był on amerykański, czy angielski.

- Jest pan rodzicem? - zainteresowała się. - Chyba się nie poznaliśmy?

Verlaque wyciągnął dłoń.

- Antoine Bonnet - rzekł.

Kobieta przedstawiła się i powiedziała, że uczy matematyki, ale Verlaque nie dosłyszał jej nazwiska. Mówił dalej:

- Przeniesiono mnie tutaj z Paryża i szukam szkoły dla moich dzieci. Moja żona uczyła tam angielskiego i być może będzie szukała tutaj pracy.

Nauczycielka, mniej więcej czterdziestopięcioletnia, atrakcyjna, z dużymi, niebieskimi oczyma, ale kiepsko pofarbowanymi na blond włosami, roześmiała się.

- Raczej bym nie polecała.

- Dzieciom czy żonie?

Rozejrzała się i zniżyła głos.

- Och, dzieci uwielbiają tę szkołę. Ich szczęście, że mają nas. Jesteśmy dobrymi nauczycielami i przepadamy za naszymi uczniami. Ale nie radziłabym podejmować tu pracy, zwłaszcza jeśli pańska żona jest Francuzką i zdobyła certyfikat dla nauczycieli szkół średnich, by uczyć we Francji.

- Jest z Londynu - wyjaśnił Verlaque. - Więc nie.

- Ja też niestety nie podchodziłam do tego egzaminu. Kiedy razem z mężem przyjechałam tu z Glasgow, powtarzałam, że zdobędę ten certyfikat, ale dostałam pracę tutaj, w prywatnej

szkole, i byłam wniebowzięta. Mogłam uczyć bez tych cholernych papierów...

- Ale nie podoba się pani tutaj?

- Tak jak mówiłam, dzieciaki dają się lubić. Pochodzą z różnych krajów, w większości są bardzo zdolne. Na początku raczej nie mówią po francusku, więc to rozsądne rozwiązanie, by je tu przysłać, tym bardziej że czesne płacą firmy zatrudniające rodziców.

- Ach, rozumiem.

- Ale to ma być biznes - mówiła dalej, zaciągając się głęboko. - Na przykład ta dziesięciminutowa przerwa? Płacą nam za godzinę lekcyjną, ale nie dostajemy pieniędzy za te minuty pomiędzy lekcjami. Więc przestałam rozmawiać z uczniami na przerwach i się przygotowuję. Teraz palę papierosa albo dwa.

- A ile ma pani lekcji dziennie? - zapytał.

- Osiem albo dziewięć - odparła. - Więc stracone pieniądze się sumują.

- Tak, oczywiście, że tak.

Znowu rozejrzała się wokoło i powiedziała:

- Mówię to dla dobra pańskiej żony, więc proszę, niech to zostanie między nami. Nie dostajemy wynagrodzenia za spotkania, za kilkanaście sobót w roku, kiedy musimy tu być na całodziennych wywiadówkach, za *fêtes* czy wydarzenia sportowe. Morale nauczycieli jest dosyć niskie. Ale dla pańskich dzieci to świetne miejsce. Pewnie mówią po francusku?

- O tak - zapewnił ją. Usprawiedliwiał się w myślach, że tak naprawdę nie okłamywał tej szkockiej matematyczki - gdyby on i Marine mieli dzieci, na pewno mówiłyby po francusku. I być może po angielsku. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał. - Cóż, dziękuję pani bardzo. Dziesięć minut już

prawie minęło. - Posłał jej szeroki uśmiech, jakiego nie powstydziliby się nawet Alain Sorba.

- Tak, ledwo wystarcza czasu na jednego papierosa - skomentowała z uśmiechem. - Powodzenia z przeprowadzką. Pokochacie Prowansję!

Wskazał na błękitne niebo, a ona się roześmiała. Skoro pochodziła z Glasgow, to z pewnością rozumiała miłość paryżan do południa z jego jasnym niebem i miłym ciepłem. Ruszył dookoła dalszej części budynku na wypadek, gdyby Sorba wyglądał z okna swojego gabinetu. Kiedy mijał ostatni z domków, usłyszał ciche śmiechy i zająknął przez szybę do środka. Dwoje nauczycieli - o ile to byli nauczyciele - trzymało się w objęciach. Na ścianie wisiały mapy, a na biurku stał globus. A więc to tak się zachowywali w Four Seasons? Sypiali z kim popadnie? Szybko odsunął się od okna i rażnym krokiem ruszył w kierunku parkingu. Właśnie miał otworzyć swoje porsche, kiedy przy jego stopach wylądowała piłka futbolowa. Podniósł ją i w tej chwili podbiegło do niego dwóch nastolatków.

- Przepraszam! - zawołał po francusku jeden z nich. - Lucas tak mocno kopnął, że przeleciała ponad budynkiem.

- Nie ma problemu - powiedział Verlaque, rzucając do niego piłkę.

- Niestety jest - stwierdził niższy z chłopców. - Nie wolno nam przebywać na parkingu podczas przerw.

Jego kolega roześmiał się, kręcąc piłką w rękach, i dodał:

- Tak, moglibyśmy zadrapać gangusowi samochód!

- Gangusowi? - powiedział Verlaque, starając się żartować razem z nimi. Rozejrzał się i zobaczył ogromy, niemiecki, czarny SUV z przyciemnianymi szybami.

- Czy to auto dyrektora? - zapytał, mrugając okiem.

Ponieważ spotkał się z Sorbą i rozmawiał z nauczycielką narzekającą na niskie zarobki, wiedział, że samochód musi

należć do Sorby. Spojrzał na numery rejestracyjne i nalepkę na tylnym zderzaku, reklamującą przedstawicielstwo handlowe luksusowych samochodów w Marsylii.

- Tak - potwierdził niższy z nastolatków. - Gangusa Sorby.

Zaczęli chichotać, jeden z chłopców dźgnął drugiego w żebra.

- Matthew! - zawołał ostrzegawczo zaatakowany. Znowu obaj się roześmiali.

- Ale pana samochód jest fajny - mówił dalej Matthew.

Verlaque podziwiał ich nienaganną francuszczyznę. Jego zdaniem ten chłopiec był anglojęzyczny, ale nie miał pewności co do jego kolegi.

- Tak, jest świetny - potwierdził kolega Matthew. Obszedł samochód dookoła i zajrzał w okno po stronie kierowcy. - Ale pewnie często się psuje?

Verlaque zmarszczył brwi. Czy te dzieciaki pobierały lekcje u Brunona Paulika?

- Nie, jest niezawodny - zapewnił.



## 20.

- Dzisiaj w Four Seasons spotkałem dwóch zabawnych nastolatków - powiedział Verlaque, siekając pory. - Wszystko było dla nich powodem do śmiechu. Biedaki, obaj mieli intensywny trądzik. Przypominali mnie samego i Sébastiena w tym wieku. - Opowiedział Marine o rozmowie na parkingu, pomijając komentarz chłopca o awaryjności porsche.

Marine roześmiała się.

- Czy ty i Séb mieliście trądzik?

- O, tak - odparł Verlaque, wrzucając pory na patelnię. - A ty nie?

- Zupełnie nic.

Verlaque popatrzył na swoją żonę, a ona z zakłopotaniem dotknęła swojej brody.

- Aż do teraz - powiedziała.

- Nie zauważyłem.

- Kłamca - roześmiała się. - Ale dzięki. Skąd krosty w moim wieku?

- Nadal pięknie wyglądasz - zapewnił ją, choć wiedział, że to kiepska odpowiedź. - Jesteś zestresowana? Bo nie odnoszę takiego wrażenia.

- Żartujesz? Jestem bardziej zrelaksowana niż kiedykolwiek w życiu. Dziękuję, że wspierałeś mnie w decyzji, by rzucić nauczanie. - Uścisnęła męża, a on ją pocałował. - Sądzę, że w ogólnym rozrachunku kilka krostek nie ma wielkiego znaczenia.

- Na pewno nie.

- Opowiedz mi coś więcej o waszym dzieciństwie - twoim i Sébastiena.

- No cóż, poza tym, że Séb mnie przerósł, chociaż był młodszy, i że obaj mieliśmy trądzik, nie sądzę, by działo się coś interesującego... - Verlaque przerwał i spojrzał na swój telefon, który wibrował na kuchennym blacie. - To Bruno.

- Lepiej odbierz - poradziła Marine. - Przejmę warzywa.

Verlaque wziął telefon i przeszedł z nim do pokoju dziennego. Marine mieszła pory i czytała resztę przepisu. Uśmiechnęła się na myśl o swoim mężu jako nastolatku. Jego brata, Sébastiena, spotkała tylko dwa razy - na tydzień przed ich ślubem i na samym ślubie, we Włoszech. Pracował w Paryżu, zajmował się nieruchomościami, nigdy się nie ożenił, a Verlaque rzadko o nim wspominał. Odwróciła się, by sięgnąć po coś do lodówki, i zobaczyła, że jej mąż zastygł w drzwiach.

- Co się stało? - zapytała.

- *Pére* Fernand.

- Co z nim?

- Został postrzelony - odparł Verlaque, wspierając się o framugę.

- Postrzelony?

- Dzisiaj wieczorem, podczas nieszporów. Wczoraj piłem z nim piwo...

- Ledwie słyszałam dzwony o siódmej - szepnęła Marine, patrząc przez okno na ośmiokątną iglicę katedry. - Ale nie słyszałam też karetki pogotowia. Żyje?

- Natychmiast zabrali go do szpitala, ledwie oddychał. Biegnę do katedry. Normalnie bym nie poszedł, bo Paulik już tam jest, ale...

- Powinieneś iść - stwierdziła Marine.

Verlaque przytulił żonę.

- Nie czekaj na mnie - powiedział, ale miał pewność, że będzie czekała.

Właśnie minęła jedenasta, kiedy Verlaque wrócił do domu. Widział, że w pokoju dziennym pali się światło, rzucił klucze i telefon na blat w kuchni.

- Dobry wieczór - zawołał.

Marine leżała zwinięta na sofie, z książką, pod bordowym kocem, który kupili w Irlandii. Natychmiast odłożyła książkę.

- Co z nim?

- Operują - odparł Verlaque, usiadł i zdjął buty. - Nigdy nie zgadniesz, skąd strzelano...

- Z loggii?

- Dokładnie.

- Dlaczego z tak daleka?

- Dlaczego z tak daleka, pytasz? - powtórzył Verlaque. - Po to, by strzelec mógł szybko uciec niezauważony. Z kaplicy Świętego Rocha można przebiec do drzwi frontowych przez wąski przedsionek.

- I wierni cię nie widzą.

- Paulik oszacował, że zanim jeden z młodszych księży pognał wzdłuż nawy do drzwi frontowych, zabójca bez trudu zniknął mu z oczu.

- To straszne. Pewnie jesteś skonany. A może i głodny?

- Nie, ale mam ochotę na whisky.

- To dobry pomysł. I przyniosę ci trochę migdałów i nerkowców do przegryzienia. - Poszła do kuchni i wróciła ze szklaneczką lagavulina. Na bocznym stoliku umieściła miseczkę różnych orzechów. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie plac przed katedrą i całe mnóstwo ulic, którymi mógł pobiec napastnik. - Stawiam na rue du Bon.

- Ja też - powiedział Verlaque i podniósł szklaneczkę wysoko w geście podziękowania.

- Ilu ludzi było w kościele? Tuzin?

- Tak, dokładnie dwanaścioro - odrzekł Verlaque. Oparł się plecami i wyciągnął nogi przed siebie. - Trzy zakonnice i czterech księży, w tym père Fernand. I pięć zawsze obecnych starszych pań, bez których nie można się obyć. Młody ksiądz, który pierwszy ruszył za złoczyńcą, był tak zdenerwowany, że później, podczas przesłuchania, ukruszył sobie ząb na butelce oranginy.

- Ale jak strzelec w ogóle wszedł na górę, do loggii? Czy nie jest zamykana?

Verlaque roześmiał się.

- Jest zastawiona starym, drewnianym krzesłem, które stoi na dole schodów. Pamiętasz, że podczas śpiewania kolęd zobaczyłaś kogoś na górze?

- Tak, oczywiście, że tak - odparła Marine. - Myślałam, że to jakiś ciekawski albo ktoś, kto próbuje znaleźć lepsze miejsca. - Upiła łyk jego whisky i skrzywiła się.

- Coś nie tak?

- Dzisiaj wieczorem nie smakuje dobrze - wyjaśniła. - Dlaczego père Fernand?

- Zaczęliśmy od zadania sobie tego samego pytania i będziemy je zadawać przez cały tydzień, jeśli okaże się to konieczne.

- I?

- Dziś nikt nie udzielił nam odpowiedzi - poinformował ją Verlaque, wypijając resztkę whisky. - Père z nikim się nie kłócił, raczej nie miał wrogów, był powszechnie szanowany...

- To może być coś z przeszłości - zasugerowała Marine. - Czy kiedykolwiek był oskarżony o... coś niestosownego? Słyszysz się o księżach...

- Nic o tym nie wiemy. Też od razu o tym pomyśleliśmy. Ale to starszy mężczyzna, będziemy musieli pokopać trochę głębiej.

- Można tak zrujnować życie dziecka...

- Marine, przestań. Jest późno.

Jednak ona mówiła dalej:

- Czy nie byłoby cudownie, gdyby każda para na świecie miała jedno dziecko i zapewniła mu szczęśliwe dzieciństwo. Nie perfekcyjne, bo to niemożliwe, ale szczęśliwe.

- Jakie jest według ciebie szczęśliwe dzieciństwo?

- Chyba takie jak moje.

## 21.

Ani Marine, ani Antoine nie spali dobrze tej nocy. Rano zjedli śniadanie na stojąco, żadne z nich nie czerpało przyjemności z picia dobrej, mocnej kawy ani zjedzenia posmarowanego masłem tostu. Verlaque szybko skończył, poszedł do łazienki umyć zęby i wrócił, by pocałować żonę.

- Uciekam - powiedział. - Dam ci znać, jeśli dowiem się czegoś o *père* Fernandezie

- Tak, bardzo proszę - odparła Marine, wkładając talerze i filiżanki do zmywarki. - Pojadę do naszego domu i wszystko skontroluję. Święta za pasem i jeśli chcemy je tam urządzić, to kuchnia i spiżarnia muszą być dobrze zaopatrzone.

- Pozdrów go ode mnie. - To powiedziawszy, Verlaque zniknął za drzwiami.

France Dubois zdała sobie sprawę, że wbrew sobie ulega świątecznemu nastrojowi. Wiedziała, że to wszystko fałsz - kiepsko ukrywana walka pomiędzy właścicielami sklepów o to, kto przyciągnie więcej klientów. Wystawy sklepowe w Aix wypełnione były zielonymi gałęziami świerka z jaskrawymi światełkami i gdzieniegdzie akcentami ze sztucznego śniegu. Dwie niezależne księgarnie przy Cours ustawiły na chodniku punkty pakowania prezentów i za każdym razem, kiedy France mijiała którąkolwiek z nich, widziała kolejkę nabywców, pochłoniętych radosnymi rozmowami. Prawie każdy z nich trzymał w rękach stosik książek. Pewnie często wybierali *Lettres à Anne* François Mitterranda. France wzruszyła ramionami na myśl o lekturze ponad tysiąca stron listów, który były prezydent pisał do swojej dużo młodszej kochanki.

Uważała, że listy powinny pozostać prywatne, zwłaszcza te miłosne. A może prezydent planował, że kiedyś będą czytane?

W kawiarniach i barach włączono już grzejniki tarasowe i rozłożono na krzesłach wełniane pledy, by klienci mogli posiedzieć na zewnątrz ze szklaneczką grzanego wina i zdecydować, dokąd pójdą na dalsze zakupy.

France zostanie na Boże Narodzenie w mieście. Po śmierci jej rodziców ciotka z Lyonu dwa razy z rzędu zaprosiła ją na święta, ale potem jej córka wyszła za mąż za mężczyznę z Picardy i teraz ciotka tam wyjeżdżała. Przez pierwsze kilka lat namawiali France, aby do nich dołączyła, jednak nie widziała sensu w podróżowaniu na drugi koniec kraju na te parę dni, których już nawet nie lubiła. Poza tym jej kuzynka miała teraz trójkę dzieci i, jak mówiła ciotka, mały dom.

Szła w stronę pomnika króla René stojącego dumnie na jednym z końców Cours. Zobaczyła sędziego Verlaque'a, który z rękoma w kieszeniach przyglądał się królowi.

- Dzień dobry - odezwała się.

Verlaque obrócił się w jej stronę.

- *Bonjour, Mlle Dubois*. Wybrała się pani na świąteczne zakupy?

- Nie - odparła France. Tak naprawdę nic nie robiła, po prostu spacerowała. Czy powinna coś zmyślić? - Słyszałam o wczorajszej strzelaninie. Czy père Fernand z tego wyjdzie?

- Mam nadzieję - powiedział Verlaque z uśmiechem. Spojrzał jeszcze raz na króla René. France także przyglądała się posagowi, który przedstawiał monarchę jako młodego mężczyznę z długimi, falowanymi włosami i mocną szczęką.

- Myśli pan, że lubił Boże Narodzenie?

- Na pewno - rzekł Verlaque z uśmiechem. - Dobry król René był najbardziej kulturalny spośród naszych monarchów, a kulturalni ludzie zawsze przepadają za świętami.

France roześmiała się.

- Kiedyś prowadziłam pracę badawczą na jego temat -  
oznajmiła. - Wciąż pamiętam dużo dziwnych faktów z jego  
życia. Na przykład to, że nie znosił oliwy z oliwek, więc kiedy  
wyjeżdżał znaną Loary, zabierał ze sobą własne krowy, by  
zawsze mieć mleko i masło.

W XVI wieku dieta śródziemnomorska jeszcze nie była  
rozpowszechniona - skomentował Verlaque. - Czy jeszcze coś?  
Chciałbym wrócić do domu i zaimponować żonie znajomością  
takich faktów. Ona ma fotograficzną pamięć.

- Jest jeszcze coś - odparła France. - René sponsorował  
Krzysztofa Kolumba.

- Naprawdę? To ciekawe.

- Fascynował się mapami świata i globusami. Prowansja nie  
miała wtedy floty, ale czarterowano statki z Marsylii i Genui.

- Genui - powtórzył Verlaque. - Stąd Krzysztof Kolumb.

- Właśnie. W jednym z listów dziękuje dobremu królowi  
René za wsparcie.

- Niewątpliwie opłacane z wysokich podatków tutaj, w  
Prowansji.

- Z pewnością - przytaknęła.

- Dobrze - powiedział Verlaque. - Będę już szedł do domu,  
choć nie kupiłem żadnych prezentów.

- Zawsze zostają perfumy - zasugerowała France.

Verlaque roześmiał się.

- Być może kupię jakieś dla dziewczyny mojego ojca. Ale nie  
mam pojęcia, co dla niego.

- Cienkie, jasne puchowe kurtki są tej zimy hitem w modzie  
męskiej - podpowiedziała mu France.

- Wiem - rzekł Verlaque i się skrzywił. Nie znosił takich  
przemijających krzyków mody. - Co się stało ze starą, porządną  
wełną?



Jakby na to hasło obok nich przeszło dwóch mężczyzn w średnim wieku. Obaj mieli nażelowane, siwe włosy i byli ubrani w kurtki puchowe – jeden w jasnozieloną, drugi w srebrną.

- Trzeba mieć odwagę, by się wyróżniać. Mógłby pan kupić ojcu tradycyjny, wełniany sweter.

- Może tak zrobię. Z Donegal albo Yorkshire, jednego z tych dzikich miejsc.

- Z tych złowieszczych, wietrznych wrzosowisk. *Out on the wily, windy moors* – powiedziała France po angielsku.

Verlaque spojrzał na Mlle Dubois zaskoczony. Czy nawiązywała do tej starej piosenki Kate Bush, która zawsze przypominała mu o jego dawnej dziewczynie z Edynburga? Teraz zupełnie o niej zapomniał.

- Powodzenia w zakupach – powiedziała i odwróciła się, by odejść.

- Dziękuję za pogawędkę – odparł Verlaque ku swemu zdziwieniu. Mlle Dubois okazała się tak naprawdę dość zabawna.

France lekko mu pomachała i ruszyła przez Cours, ustępując drogi pojazdom Diabline, nowym, małym, elektrycznym autobusom, które obwoziły pasażerów, głównie seniorów, po centrum miasta. Uśmiechnęła się, patrząc na cztery siedzące w środku osoby, każda z koszykiem na zakupy na kolanach, pogrążone w rozmowie. Zatęskniła za swoimi rodzicami.

Jej myśli wędrowały swobodnie, jak zwykle kiedy szła przez Aix. Znała drogę na pamięć, szybko przemieszczała się w stronę Place des Cardeurs, mijając kupujących, oglądając kawiarnie i wymuskane sklepy, a w nich feerię kolorów i zapachów: od mocnego espresso do leśnych perfum. Kiedy dotarła do Place de Albertas, zdała sobie sprawę, że musiała dłużej niż zwykle marzyć na jawie, bo nie skręciła w odpowiednią ulicę. Nie szkodzi, dla odmiany pójdzie w górę rue

Aude. Właśnie miała skierować się w wąską uliczkę, gdy ktoś za nią zawołał:

- Mlle Dubois!

Zatrzymała się i zobaczyła mężczyznę w średnim wieku w grubym, wełnianym płaszczu, wełnianej czapce w kształcie toczonej kuli i z aparatem fotograficznym zwisającym u szyi.

- Dzień dobry, M. Abdelhak - zawołała France, ściskając mu dłoń. - Pewnie przed otwarciem swojego stoiska robił pan zdjęcia Place de Albertas?

Abdelhak skinął głową.

- Jak dotąd to moje ulubione miejsce. Taki piękny budynek wznosi się przy tym placu. Ale dlaczego cały nie jest odrestaurowany? Tylko dwie elewacje. Wielka szkoda.

- Zgadza się. Nie jestem pewna, z jakiego powodu nie skończyli. Wiem, że renowacja była bardzo trudna, bo budynek miał wadliwą konstrukcję i wzniesiono go w pośpiechu w XVIII wieku.

- Dlaczego? - chciał wiedzieć Abdelhak.

- Markiz, do którego należał pałac za nami - zaczęła, wskazując na Hôtel d'Albertas - chciał mieć ładny widok z okna. Kupił więc budynki przy tej ulicy, wyrzucił lokatorów i je zburzył. Potem zatrudnił miejscowego architekta, by zabudował ten plac trzyskrzydłowym budynkiem, który wciąż tu stoi.

- Ale nie chciał wydać za dużo pieniędzy...

- Właśnie, nie dbał też o ludzi, którzy zamieszkali w nowym budynku. Chodziło tylko o widok.

- Więc raczej nie był miły. Być może zginął podczas Rewolucji Francuskiej?

France uśmiechnęła się.

- Coś gorszego. Chce pan o tym usłyszeć?

- Och, oczywiście.

- Pewnego wieczoru podczas kolacji markiz podniósł kieliszek wina, by wznieść toast za swoją żonę w dniu rocznicy ich ślubu. Wtedy nie wiadomo skąd wyskoczył młody mężczyzna i brutalnie go zasztyletował.

- Ale za co?

- Zabójca mścił się za swojego ojca. W tamtych czasach arystokracja rządziła miastami silną ręką, także miejskimi szkołami. Młody człowiek twierdził, że markiz był odpowiedzialny za zwolnienie z pracy jego ojca, szanowanego dyrektora szkoły w pobliskim miasteczku. Rodzina popadła w ruinę, a ten chłopak musiał przerwać studia i praktykować u rzeźnika.

- Czy markiz zmarł?

- Tak, podobnie jak młody mężczyzna, którego bez trudu złapano.

- No cóż, i tak jest tu pięknie - stwierdził Abdelhak, odwracając się, by spojrzeć na delikatną fontannę i małe, okrągłe rzeczne kamienie, którymi wyłożono plac. - Taka smutna historia takiego wspaniałego miejsca.

Marine zmierzała do punktu, gdzie zostawiła samochód. Kiedy opuściła Place de Archevêché, zastanawiała się, czy nie skrócić w dół wąskich, średniowiecznych uliczek w pobliżu katedry, ale uznała, że to głupie - czy mogłaby znaleźć coś, czego nie znalazła policja? Poczula złość, gdy wyobraziła sobie napastnika, który nie biegnie, ale spokojnie idzie od strony kościoła tak dobrze jej znanymi ulicami. Gdzie ukrył strzelbę? W worku marynarskim, futerale na wiolonczelę jak w scenach z filmu? Przecież mieszkali w ville de musique - w Aix nikogo nie dziwił widok osoby niosącej instrument muzyczny czy dźwięk gam wyspiewywanych operowym głosem za otwartym oknem. Kiedy znalazła się bliżej katedry, poczuła napięcie, uśmiechnęła się jednak na widok roześmianych studentów, kierujących się do budynku uniwersytetu Science Po.

W pełni zrelaksowała się dopiero w samochodzie. Jadąc, unikała głównych dróg prowadzących na północ od miasta, a zamiast tego wybierała mniejsze ulice, które przecinały osiedla, takie, na jakich jej ojciec uczył ją prowadzić samochód. Przecięła wioskę Puyricard i wkrótce znalazła się na otwartym terenie, wśród winnic, teraz bezlistnych, ale wciąż pięknych w swoich równych rzędach. Zbliżała się do domu. Słuchała stacji Radio France z muzyką klasyczną, zadowolona, że nie ma w niej reklam i że wciąż jest coś takiego, jak finansowanie sztuki.

Kiedy coś jasnożółtego – najpewniej koszulka kolarska – mignęło jej w bocznej szybie, zdała sobie sprawę, jak swobodnie się czuje – przemieszcza się wolniej niż rowerzysta. Ten, wyprzedzając ją, pomachał, wjechał w zakręt i zniknął. W tym momencie pojawiło się za nią czarne bmw migające światłami.

- Dobrze, dobrze – powiedziała, zjechała na prawo, by samochód mógł ją wyprzedzić. Bmw śmignęło obok i przez chwilę zaniepokoiła się o cyklistę. Teraz ona także znalazła się na łuku i zobaczyła to auto w dużej odległości przed sobą. Zdziwiła się, że przejechało tak szybko.

- Rowerzysta! – powiedziała na głos, zdając sobie sprawę, że nie widzi jego żółtej koszulki. Z radia słyszała muzykę, swój ulubiony utwór fortepianowy Erika Satie – teraz brzmiała ona złowieszczo. Zwolniła tak, że samochód ledwo się toczył, i przyglądała się obu poboczom drogi. - *Mon Dieu!* – zawołała na widok pogiętego roweru po prawej stronie jej auta.

Zahamowała, włączyła światła awaryjne i wyskoczyła z samochodu. Nadal słyszała pianino Satie, biegnąc do cyklisty, który leżał na trawie około trzech metrów od swojego jednoślada, z głową tuż przy pniu bardzo starej winorośli.

Pochyliła się nad mężczyzną, miał zamknięte oczy, nigdzie nie widziała krwi.

- Dzień dobry? - odezwała się. Wyglądał na jakieś trzydzieści lat. - Dobrze się pan czuje?

Powoli otworzył oczy.

- Wydaje mi się, że dobrze.

- Ostrożnie - powiedziała Marine. - Czy coś pana boli?

Ponownie zamknął oczy i zasznurował usta.

- Jakimś cudem nie.

- To może dzięki tym kępom miękkiej trawy, na które pan spadł.

Podniósł górną część ciała, wspierając się na łokciu.

- Proszę jeszcze nie wstawać - poradziła mu Marine.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Wygląda pani jak jakaś nieziemska istota - powiedział. - Uratowany przez pięknosc...

Marine mimowolnie się zaczerwieniła.

- Raczej uratowany przez kask.

Usiadł wyprostowany, zdjął kask i przejechał palcami po włosach.

- Wydaje mi się, że głowa wciąż znajduje się na właściwym miejscu. Zgadza się?

Marine roześmiała się, widząc wyraz jego opalonej, piegowanej twarzy.

- Chyba tak. Czy mam wezwać karetkę?

- Nie, nie. Czuję się dobrze, choć może trudno w to uwierzyć - odparł. - Miałem farta.

- Potracił pana samochód, prawda?

- Nie mogę uwierzyć, że się nie zatrzymali - powiedziała. - Na jego twarzy odmalował się strach. - Jak się pan nazywa? - zapytała miękko. Nie miała pojęcia, czy mężczyzna jest w szoku, czy może zaraz go dozna. - Ja jestem Marine Bonnet.

- Damien Petit - przedstawił się.

Powoli wstał, a Marine, pomagając mu, intensywnie myślała o tym, że jego nazwisko brzmi znajomo. Ale dlaczego? Przed jej oczyma pojawiła się twarz męża.

- Jeśli nie chce pan karetki, zabiorę pański rower i zawiozę pana do szpitala, a potem pojedziemy na komisariat, żeby złożyć doniesienie.

- Nie, nie trzeba...

- Co zamierzał pan zrobić, iść stąd pieszo? A może pan w ogóle chodzić?

- Proszę spojrzeć! - zawołał, stawiając stopy prosto i siląc się na uśmiech.

- Damienie Petit - powiedziała. Wpatrywała się w niego, próbując sobie przypomnieć, gdzie o nim słyszała. Damien to nie było popularne imię. - Tu niedaleko jest mój dom. Myślę, że powinien pan tam ze mną pojechać, zrobię herbatę, a pan mi wyjaśni, dlaczego tamten kierowca właśnie próbował pana zabić.

Mężczyzna ponownie się uśmiechnął, ale w wymuszony sposób.

- Będzie się pan musiał bardziej postarać. Pański współnik został w niedzielę zamordowany...

Ramiona Damiena opadły, a on westchnął ciężko i przetarł oczy.

Marine położyła mu dłoń na plecach.

- Proszę, niech się pan ze mną zabierze. Będzie pan bezpieczny. Zadzwońię do męża, żeby wrócił do domu... Pan go spotkał.

- O kim pani mówi, moja piękna?

- To Antoine Verlaque, sędzia śledczy.

- *Merde*. Takie moje szczęście.

- Nie. Pańskie szczęście to to, że pana nie zabili - stwierdziła z mocą.

Marine odłożyła telefon. - Mój ojciec już tu jedzie - oznajmiła. - Jest lekarzem i chce pana zbadać.

- Cała pani rodzina się o mnie troszczy - skomentował Damien, siadając wygodnie w fotelu. - Za chwilę pojawi się pani matka.

- Och, nie chciałby pan tego, niech mi pan wierzy. Proszę. - Wręczyła mu małą szklaneczkę. - To porto. Mój ojciec zalecił panu drinka.

- Dziękuję pani za to wszystko - odezwał się Damien, upijając mały łyk wina. - Dziękuję za ten dom, ogień w kominku i za drinka.

- Jest pan głodny?

Damien pokręcił przecząco głową.

- Czy drzwi wejściowe są zamknięte? - chciał wiedzieć.

- Tak - zapewniła go. - Jest pan naprawdę przestraszony. Zamknął oczy.

- W co za bagno wpakował nas Cole!

- Proszę poczekać, aż przyjdzie mój mąż. Wtedy opowie pan swoją historię - poprosiła Marine.

Chciała mu powiedzieć, by oszczędzał siły, ale obawiała się, że zabrzmiałoby to zbyt melodramatycznie. Dopiero kiedy przyjdzie jej ojciec, dowie się, czy Damien został ranny. Patrzyła na młodego człowieka, usadowionego wygodnie w fotelu, z wełnianym pledem na gołych kolanach i rowerowymi butami przy stopach. Czy mógł być tak zły na Cole'a, by go otruci? Ale otrucie, którego mógł dokonać każdy, nie miało nic wspólnego ze strzałem z precyzyjnej broni. I właśnie była świadkiem, jak Damien został zepchnięty z drogi. Ale czy na pewno? Tak naprawdę nie widziała momentu, gdy samochód go potrafił.

- Dzień dobry! - w holu rozległ się głos Verlaque'a.

- Jesteśmy w salonie - odkrzyknęła Marine i uśmiechnęła się do Damiena. Chciała, by czuł się swobodnie i niczego nie

ukrywał.

Verlaque odwiesił płaszcz i wszedł do ciepłego salonu. Przechodząc obok Marine, uściskał jej rękę. Przysunął sobie podnózek i usiadł obok Damiena.

- *Bonjour, M. Petit* - odezwał się. - Jak się pan czuje? Na pewno nie potrzebuje pan wizyty w szpitalu?

Damien potrząsnął głową. Marine powiedziała:

- Mój ojciec już tu jedzie.

- Najwyraźniej powinienem się cieszyć, że matka pani Bonnet się tu nie wybiera - zauważył Damien.

Verlaque parsknął śmiechem.

- Może zanim przyjedzie lekarz, opowie nam pan, co się wydarzyło?

Damien wyprostował się i westchnął.

- To może zabrzmieć dziecinnie, ale to wszystko to był pomysł Cole'a - zaczął. - Nic o tym nie wiedziałem, przynajmniej na początku. Rozpaczliwie potrzebowaliśmy pieniędzy na firmę. Ja już chciałem rezygnować, bez trudu znalazłbym pracę gdzie indziej. Ale Cole upierał się, że mając mały zastrzyk gotówki, możemy znowu rozkręcić firmę.

- Więc M. Hainsby udał się do kogoś po pieniądze? - zapytał Verlaque.

- Tak, ale nie do banku, jak pewnie się pan domyślił - wyjaśnił Damien. - Banki już nam odmówiły.

- Dostał pieniądze?

- Tak, sześćdziesiąt tysięcy - odparł Damien. - To było w poprzednie Boże Narodzenie, a teraz mieliśmy zacząć spłacać.

- Ale nie zaczęliście...

- Nie zarobiliśmy wystarczająco dużo - powiedział Damien, przeczesując ręką włosy.

- Cóż, teoretycznie pożyczanie komuś pieniędzy nie jest nielegalne - zauważył Verlaque. - Ale przestępstwem jest



zepchnięcie kogoś z drogi.

- I ma pan świadka - stwierdziła Marine. - Choć nie zapamiętałam ich numerów rejestracyjnych. Z przodu siedziało dwóch mężczyzn.

- Więc wszystko, co mamy, to czarny SUV marki BMW - zauważył Damien.

Na twarzy Verlaque'a odmalowało się zaskoczenie.

- Chce pan powiedzieć, że nie wie, do kogo Cole zwrócił się po pożyczkę?

Plecy Damiena usztywniły się.

- Do Korsykan. Dwóch braci, Jeana-Paula i Michela. Nie znam ich nazwiska. Uznałem, że jeśli o to nie zapytam, to będę bezpieczniejszy albo udam, że nic się nie stało.

- Czy Mme Hainsby może wiedzieć więcej? - zapytała Marine.

- Wątpię, ale możecie spróbować.

Verlaque, patrząc na Marine, wskazał na hol.

- Zrobię herbatę - powiedziała i podniosła się. Zerknęła na gościa, który wpatrywał się w ogień.

- Poszukam czegoś do jedzenia - oznajmił Verlaque, idąc za żoną. - Mamy coś w domu?

Weszli do kuchni i zamknęli drzwi.

- Skąd Hainsby wiedział, do kogo się zwrócić? - zapytał Verlaque szeptem. - Jak pocziwy ekspat dociera do półświatka?

- Właśnie - przytaknęła Marine. - Przecież nie może rozpytywać w kościele o kogoś, kto ma kontakty z mafią.

Wymienili spojrzenia, a Verlaque położył palec na ustach.

- *Père Fernand*? - syknęła Marine.

- Niemożliwe - stwierdził Verlaque. - Pomyślmy o jakichś innych rozwiązaniach.

- Jakiś przyjaciel spośród ekspatów, który także prowadzi małą firmę - zasugerowała Marine. - Ktoś, kto już pożyczał pieniądze od mafii.

- Niezły pomysł...

Marine zaczęła nalewać wodę do czajnika, a Verlaque chwycił ją za rękę.

- Gangus Sorba - powiedział.

- Dyrektor szkoły?

- Sorba zna Debrę Hainsby...

- Wiem - odparła Marine, nastawiając czajnik. - Sorba to dobry trop.

- Zadzwoń do Mme Hainsby, kiedy już wymyślimy, co zrobić z naszym cyklistą.

Marine popatrzyła na męża.

- Musimy się o niego zatroszczyć - stwierdziła. - Może być w prawdziwym niebezpieczeństwie. Cole Hainsby nie żyje. A père Fernand?

- Już jest po operacji, ale cały czas w stanie krytycznym. Miałem telefon, zanim tu przyjechałem.

Usłyszeli dzwonek do drzwi i Marine odłożyła ściereczkę. - To pewnie tata.

Przeszła przez salon. Damien drzemał, broda opadała mu na klatkę piersiową. Wzbudził w niej uczucia opiekuńcze, chociaż mógł być od niej zaledwie o kilka lat młodszy. Kiedy weszła do wyłożonego kamiennymi płytami holu, uśmiechnęła się, bo zdała sobie sprawę, że podobało jej się, że Damien delikatnie z nią flirtował i nazywał ją pięknnością.

## 22.

Verlaque był wdzięczny, że Debra Hainsby zgodziła się z nim spotkać po szkole, w centrum Aix. Nie miał ochoty wracać do domu, w którym jeszcze niedawno mieszkała pełna – choć niekoniecznie szczęśliwa – rodzina. Kawiarnia, którą zaproponował, znajdowała się w tym samym kwartale, co Pałac Sprawiedliwości. Ponieważ jednak do spotkania zostało jeszcze trochę czasu, postanowił przejść się po okolicy i pooglądać wystawy sklepowe, aby oczyścić umysł. Kiedy mijał delikatesy oferujące foie gras, powróciło doń żywe wspomnienie Marii, gosposi rodziny Verlaque'ów, pytającej jego matkę, co chciałyby podać gościom w Boże Narodzenie. Mme Verlaque, z nieodłącznym papierosem mentolowym w dłoni i popiołem ledwie trzymającym się na jego czubku, przemknęła przez ich paryską rezydencję, wymachując ręką, i odrzekła: „*Foie gras et vin blanc, comme d’habitude, Maria!*” Jeśli Marine postawi na swoim i urządzi elegancką bożonarodzeniową kolację – z czym Verlaque już się pogodził – to na stole nie pojawi się foie gras ani białe wino – zdecydował. A przynajmniej nie razem.

Idąc dalej, postanowił, że foie gras zajmie się kiedy indziej, i powrócił myślami do teraźniejszości w Aix. Ta sprawa zaczęła się od Cole’a Hainsby’ego, a Verlaque uświadomił sobie, jak mało wie o tym człowieku. Wydało mu się to niesprawiedliwe. Cole był żonaty, miał dzieci, prowadził własny biznes, a wcześniej studiował na Uniwersytecie Stanu Michigan. Czy ostatecznie do tego sprowadza się nasze życie? Zbliżając się do kawiarni, czuł, jak psuje mu się humor. Wszedł do środka i

wybrał stolik blisko wejścia, tak aby Debra mogła go z łatwością zauważyć.

- Ciężki dzień? - zapytał kelner, który pojawił się przy okrągłym stoliku z tacą opartą na biodrze.

- Nieszczęśliwie - odparł Verlaque. - Po prostu rozmyślałem o życiu i śmierci. Do czego sprowadza się nasze krótkie życie? I co...

- Proszę złożyć zamówienie, zanim strzelę sobie w łeb.

- Espresso, poproszę.

Kelner skinął głową i odszedł, oglądając się przez ramię na Verlaque'a i przewracając oczami. Verlaque lubił tę kawiarnię, ale rzadko w niej bywał, gdyż znajdowała się zbyt blisko Pałacu Sprawiedliwości. Tego popołudnia nie dostrzegł w niej jednak żadnych kolegów z pracy. Znał kelnerów, ale tylko z widzenia - nie pamiętał ich imion. Był przy tym pewny, że oni też go znają, nie wyłączając imienia i nazwiska. Wyjrzał przez okno i dostrzegł, jak Debra Hainsby parkuje samochód na placu. Kobieta wysiadła, zamknęła drzwi i weszła do kawiarni, wyprostowana jak struna. Verlaque spodziewał się raczej, że będzie przygarbiona w sposób typowy dla osób pogrążonych w żałobie.

Uścisnął jej dłoń.

- Gratuluję - powiedział po angielsku.

Mme Hainsby spojrzała nań zaskoczona.

- Znalezienia miejsca parkingowego - wyjaśnił.

Uśmiechnęła się.

- Czasem udaje mi się znaleźć miejsce na Place de Verdun.

Pojawił się kelner i Debra zamówiła sok jabłkowy.

- Jak się pani czuje? - zapytał Verlaque. - A dzieci?

- W porządku. Moja siostra i szwagier bardzo nam pomagają - odparła.

Verlaque oparł przedramiona na stole.

- Czy mąż rozmawiał z panią o swojej firmie?

- Tak i nie - powiedziała. - Rozmawialiśmy o pomysłach na wycieczki, o dobrych restauracjach i hotelach dla klientów. Ale nigdy o takich szczegółach, jak finanse, jeśli o to panu chodzi.

- Tak, właśnie to miałem na myśli - przyznał Verlaque. - W domu powiedziała mi pani, że M. Hainsby wydawał się zmartwiony.

- Tak.

- Ale tuż przed śmiercią sprawiał wrażenie bardziej beztroskiego, był w lepszym nastroju.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Jego wspólnik twierdzi, że pani mąż zwrócił się o pożyczkę do jakichś nieprzyjemnych typów.

Debra ukryła twarz w dłoniach i pokręciła głową.

- Głupi, głupi - wymamrotała. - Obawiałam się, że mógł zrobić coś takiego.

- Czy wie pani, do kogo mógł się zwrócić?

- Kilka tygodni temu powiedział mi, że spotkał się z Alainem... M. Sorbą... Chyba wbił sobie do głowy, że M. Sorba może mieć kontakty... znać ludzi, którzy mogliby mu pożyczyć pieniądze.

- Myśli pani, że to prawda? - zapytał Verlaque. Zastanawiał się, czy to Debra powiedziała mężowi o znajomych Sorby.

- Niewykluczone - odparła z westchnieniem. - Alain często wspominał o świątku przestępczym. Uwielbiał *Ojca chrestnego*. Bez przerwy cytował ten film.

- Ale to niekoniecznie znaczy... - zaczął Verlaque.

Debra machnęła ręką.

- Wiem. Ale to nie wszystko. Po kilku drinkach często się chwalił, że ma niebezpiecznych przyjaciół w Marsylii. Potężnych przyjaciół.

- Przyjrzymy się temu - powiedział Verlaque. - Zastanawia mnie jednak, dlaczego zwróciła się pani przeciwko M. Sorbie.

I dlaczego zataiła pani tę informację, kiedy byłem u pani z komisarzem?

Debra wzięła do ręki swój telefon. Przewinęła kilka wiadomości, aż znalazła tę, której szukała. Pokazała ekran Verlaque'owi. Ten założył okulary i przeczytał na głos: „*C'est fini, chérie. Désolé. Alain*”.

- Zakończył nasz romans esemesem - powiedziała łamiącym się głosem. - To dlatego nie wrócę do tej szkoły - ani ja, ani moje dzieci. Oboje z Cole'em mieliśmy dobre ubezpieczenie na życie, więc na szczęście nie będę musiała tam wracać.

- Czy wie pani, kim są znajomi M. Sorby? Ci, o których mówił, kiedy przechwalał się niebezpiecznymi przyjaciółmi? - zapytał Verlaque, który już układał w głowie listę głównych podejrzanych w Aix i w Marsylii. Pamiętał naklejkę marsyjskiego salonu samochodowego na aucie Sorby, a także człowieka, który wedle wiedzy Verlaque'a był powiązany z mafią korsykańską.

- Nie - odparła. - Ale wiem, że kiedy Alain przyjeżdżał do centrum Aix, za każdym razem zatrzymywał się tylko w dwóch miejscach. Wolał Marsylię.

- Dokąd się udawał?

- Do sklepu z cygarami przy rue Clémenceau - odrzekła, a Verlaque starał się powstrzymać grymas niezadowolenia. Bardzo nie lubił mitu, że wszyscy mafiozi są miłośnikami cygar. Mógł jednak porozmawiać z właścicielką tego sklepu, Carole, która była jego znajomą. Debra ciągnęła:

- I do salonu z odzieżą męską, na rue Papassaudi. Ma jakąś włoską nazwę...

- Chyba wiem, o który sklep chodzi - odparł Verlaque, który doskonale znał to miejsce. - Del Carlo?

Jego właścicielami byli Jean-Paul i Michel Orezza. Ich imiona pasowały do tego, co powiedział mu Damien.

- Tak, to ten.

- Jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Jak dobrze Cole znał père Fernanda z Saint-Sauveur?

- Wcale go nie znał - odparła Debra. - Pierwszy raz spotkał père Fernanda w sobotnie popołudnie, gdy poszliśmy do katedry na coś w rodzaju próby generalnej.

- A pani?

- Ja też go wcześniej nie znałam - odpowiedziała, wyglądając przy tym na szczerze zdziwioną. - Dlaczego pan pyta?

- Wczoraj wieczorem ktoś strzelił do père Fernanda w katedrze

Debra przyłożyła dłonie do twarzy.

- O, Boże! To straszne. Czy on... nie żyje?

- Nie. Zeszłej nocy przeszedł operację, a teraz jest na oddziale intensywnej terapii.

Debra odsunęła na bok niedopity sok i odchyliła się na krześle. Jej oczy wypełniły się łzami.

Verlaque gestem poprosił o rachunek, a potem zapytał:

- Skąd mieli państwo pieniądze na czesne w Four Seasons?

- Ponieważ tam pracowałam, dostaliśmy siedemdziesięciopięcioprocentową zniżkę - odrzekła.

- A pozostałych dwadzieścia pięć procent?

Policzki Mme Hainsby pokryły się rumieńcem. Kobieta wstała i zaczęła zbierać się do wyjścia. Zdjęła z oparcia swój płaszcz i torebkę.

- Chyba sam może się pan tego domyślić.

Verlaque patrzył za nią, gdy wychodziła z kawiarni, a w jego głowie kłębiły się miliony pytań. Wstał, podszedł do baru i zamówił kieliszek sherry. Cole Hainsby z pewnością się

zastanawiał, jakim cudem udaje im się płacić nawet jedną czwartą horrendalnie wysokiego czesnego. Czy w końcu się wszystkiego domyślił i zagroził Sorbie? Czy Hainsby zwierzył się père Fernandowi? A może zrobił to sam Sorba, który zapewne chodził do kościoła, a może nawet się spowiadał? Czy wyznał prawdę i zaraz potem tego pożałował? A co z Tunezyjczykiem, który wydawał się bardzo zainteresowany kaplicą Świętego Rocha i loggią, z której oddano strzały? Verlaque sączył sherry ze wzrokiem wbitym w stojący przed nim regał ze szkła i mosiądzu, wypełniony zakurzonymi butelkami najróżniejszych trunków. Nie widział związku między sprzedawcą dywaników z Kartaginy, starym księdzem z Aix i zagranicznym biznesmenem na skraju bankructwa.

Kelner stał przy końcu baru i niespiesznie przewracał kartki zaczytanego egzemplarza „L'Équipe”, przyglądając się Verlaque'owi. Antoine dopił sherry, położył parę banknotów na ocynkowanym blacie i pozdrowił kelnera.

- Niech się pan nie przejmuje - powiedział mężczyzna. - Proszę zjeść wieczorem coś dobrego, odprężyć się, rozpalic w kominku...

Verlaque uśmiechnął się, otwierając drzwi.

- Właśnie to zamierzam zrobić. *Ciao*.

Wyszedł z kawiarni i skręcił w lewo w Passage Agard - skrót prowadzący do Cours Mirabeau, wybudowany przez dziewiętnastowiecznego adwokata, Maître Agarda, który chciał szybciej docierać ze swojego domu w Quartier Mazarin do Pałacu Sprawiedliwości. Jeden z właścicieli nie chciał mu sprzedać swojej ziemi, dlatego na samym końcu, tuż przy Cours, ścieżka była wyraźnie węższa. Verlaque pomyślał o milionach ludzi, którzy w ciągu ostatnich dwustu lat skorzystali z tego skrót, za każdym razem zatrzymując się w tym samym miejscu, aby poczekać na swoją kolej - adwokatami i sędziami, policjantami i złodziejami, służącymi i arystokratami (choć tych



ostatnich – jak sądził – było niewielu), uczniach i nauczycielach, matkach i dzieciach, turystach, Paulu Cézannie i Émile’u Zoli.

Kiedy znalazł się na Cours, spojrzął w górę, na błękitne niebo, i ruszył na południe w kierunku sklepu z cygarami przy rue Clémenceau. Szybkim krokiem minął Café Mazarin, nie chcąc wpaść na nikogo znajomego, ponieważ zbliżała się dziewiętnasta, czyli pora zamknięcia sklepów. Potem skręcił w prawo w ulicę Clémenceau. Sklep tytoniowy Carole mieścił się zaraz za zakretem, a jego zapach niezmiennie doprowadzał Verlaque’a do szaleństwa. Kiedy otworzył drzwi wejściowe, zadźwięczał mały dzwonek, a Carole podniosła wzrok znad humidoru ze szklanym frontem, w którym układała cygara.

- Witaj, nieznajomy – powiedziała z szerokim uśmiechem. Wybredność Verlaque’a i kokieteria Carole bawiły nie tylko ich oboje, lecz także młodego praktykanta Carole, nieśmiałego dwudziestoparoletniego młodzieńca.

- Witaj, moja droga – odparł Verlaque, pochylając się nad kontuarem, aby złożyć *bises* na policzkach Carole. Praktykant obserwował całą scenę kątem oka, udając, że jest całkowicie pochłonięty odkurzaniem mahoniowych półek.

- Co mogę dla ciebie zrobić tego wieczoru? – zapytała Carole, nie przestając się uśmiechać.

Verlaque przełknął ślinę. Przed ślubem flirtowanie z innymi kobietami – ulubiona francuska rozrywka – przychodziło mu z łatwością. Teraz wprawiało go w zakłopotanie.

- Poproszę o dwa Wide Churchills.

Carole otwarła humidor i wyjęła zeń znajome pudełko. Etykieta marki Romeo y Julieta była jedną z jego ulubionych wśród kubańskich cygar – odziany w aksamit Romeo wspina się, aby pocałować Julię wychylającą się z balkonu, a całą scenę okala wianuszek złotych medali, które owa słynna wytwórnia cygar zdobyła od czasu swego powstania w 1885 roku. Carole

wyciągnęła do Verlaque'a dłoń z cygarami i pozwoliła mu ich dotknąć. Zrobił to z uśmiechem.

- Są wilgotne, tak jak lubisz - powiedziała. - Jesteś moim jedynym klientem, który lubi cygara tak wilgotne, że zaczynają się pokrywać zieloną pleśnią.

- Prawie czuję wydobywający się z nich zapach wilgoci - powiedział Verlaque, zbliżając jedno z cygar do nosa.

- Czy jest coś jeszcze? - zapytała, a praktykant zakaszłał.

- Potrzebuję informacji.

- Powinam się tego domyślić.

- Chodzi o nabywcę cygar o nazwisku Alain Sorba - wyjaśnił.

Carole przekrzywiła głowę

- Mógłbyś go opisać?

- Postawny marsylczyk, mniej więcej w moim wieku, może trochę starszy - powiedział Verlaque. - Nosi tanie - nie, drogie, ale tandetne - garnitury i ma donośny śmiech. Przypuszczam, że kupuje wyłącznie cygara marki Cohiba.

Carole parsknęła śmiechem.

- Ten opis pasuje do wielu moich klientów.

Verlaque uśmiechnął się. Wiedział, że Carole nie mogłaby wytłumaczyć, dlaczego, nie krytykując przy tym swoich klientów - ludzi, którzy płacili za jej stumetrowe mieszkanie w pobliżu Hôtel de Ville. Bufonów, którzy kupowali cygara najbardziej znanych i najdroższych marek. Verlaque dodał:

- Jest właścicielem prywatnej dwujęzycznej szkoły na północ od Aix.

- Nie - rzekła Carol. Jej praktykant znowu zakaszłał. - O co chodzi, Edouardzie?

- Ja go znam - powiedział młody mężczyzna, nieśmiało podchodząc do kontuaru. - Był tutaj któregoś dnia, kupił dużą cohibę.

Verlaque uśmiechnął się i mrugnął do Carole.

- Skąd wiesz, że to on? - zapytała kobieta.

- Opowiadał o tej szkole... a raczej przechwalał się nią w rozmowie z innym mężczyzną.

- Kim był ten drugi mężczyzna? - zapytał Verlaque. - Potrafi go pan opisać? - Czy to był Damien - zastanawiał się. A może Cole? Albo jeden z braci Orezza, właściciele sklepu z odzieżą na rue Papassaudi, który zamierzał odwiedzić po wyjściu od Carole.

- Łatwo go opisać. Był księdzem - odparł praktykant.

Verlaque zwrócił się do Carole:

- Czy masz dzisiejszy numer „La Provence”?

- Czy masz dzisiejszy numer „La Provence”? Kobieta wskazała stojak na gazety za plecami Verlaque'a, tuż przy drzwiach wejściowych. Antoine podszedł do niego, wziął gazetę z samej góry i szybko otworzył ją na drugiej stronie. Rozłożył gazetę na kontuarze, przodem do Edouarda. „KSIĄDZ POSTRZELONY PODCZAS ODPRAWIANIA NIESZPORÓW - W STANIE KRYTYCZNYM” obwieszczał nagłówek. Pod nim zamieszczono niezbyt udaną fotografię sympatycznego *père* Fernanda.

- To on - potwierdził Edouard.

- Dziękuję - powiedział Verlaque, płacąc za cygara i gazetę.  
- Za cygara i za informacje.

- Proszę wpadać częściej - odparła Carole, wkładając jego zakupy do niewielkiej torby. Obeszła kontuar, aby pożegnać się z ulubionym klientem zwyczajowymi bises. Edouard wrócił do odkurzania i przyglądał się tym dwojgu, ścierając kurz szmatką. Carole otworzyła drzwi, a Verlaque wyszedł na ulicę, machając ręką na pożegnanie.

Idąc rue Clémenceau, Verlaque zadzwonił do Paulika, ale telefon komisarza był zajęty. Wybrał numer Marine, która odebrała po pierwszym sygnale.

- *Oui?* - odezwała się w słuchawce.

- Jak się czuje Damien?

- Mój ojciec mówi, że nic mu nie będzie - odparła. - Obaj właśnie wyszli. *Papa* podrzuci Damiena do jego mieszkania.

- Zgadnij, czego się dowiedziałem - rzekł Verlaque. - Alain Sorba z *Four Seasons* mógł pomóc Cole'owi w uzyskaniu pożyczki, a któregoś dnia ten sam Sorba był w sklepie z cygarami razem z *père* Fernandem.

- W sklepie Carole?

Po chwili milczenia Verlaque odparł:

- Hmm... tak.

- Czy ona nadal za tobą szaleje?

- Ależ skąd - powiedział Verlaque, starając się, aby to zabrzmiało nonszalancko. - Próbowałem dodzwonić się do Paulika, ale jego numer jest zajęty. Czy możesz się dowiedzieć, co mogło łączyć rektora katedry i Alaina Sorbę?

- Brzmi nieźle - odparła. - Pod warunkiem, że zaprosisz mnie na kolację. Na *rue Lieutaud* jest nowa restauracja, która zbiera całkiem dobre recenzje.

- Zgoda. Napisz mi, jak się nazywa. Spotkajmy się tam o ósmej. Rozłączył się i skręcił w lewo w *Papassaudi*, przyspieszając kroku, gdyż dochodziła siódma. Sklep z odzieżą męską *Del Carlo* znajdował się po prawej stronie. Wewnątrz wciąż paliło się światło. Verlaque wszedł do środka i od razu rozpoznał jednego z braci *Orezzów*, *Jeana-Paula*, który stał za kontuarem i rozmawiał przez telefon. Verlaque rozejrzył się i pomyślał, że w sklepie znajduje się towar wart setki tysięcy dolarów. Wiedział, że bracia mają w *Aix* trzy inne sklepy - wszystkie równie dobrze zaopatrzone. Po *Pałacu Sprawiedliwości* od lata krążyły plotki, że sklepy *Orezzów* służą jako przykrywka korsykańskiej mafii, ale sprytni bracia nigdy nie ubrudzili sobie rąk tak bardzo, aby dać się złapać.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytał młody człowiek z nadmiarem żelu na gęstych, czarnych włosach. Nosił designerskie okulary przeciwsłoneczne, zatknięte na czubku głowy. Ta moda zawsze irytowała Verlaque'a, zwłaszcza w pomieszczeniach w środku zimy.

- Czy macie marynarki Harris Tweed? - zapytał Verlaque, udając brytyjski akcent.

Ekspedient parsknął, nie kryjąc pogardy dla nowego klienta.

- Nie - odrzekł.

Jean-Paul Orezzo ledwie podniósł wzrok znad telefonu, widząc, że Verlaque - choć ma na sobie eleganckie broggy marki Weston i drogi wełniany płaszcz - ubiera się zbyt klasycznie, aby zostać klientem jego sklepu.

- A coś marki Burberry? - nie dawał za wygraną Verlaque, przywołując na twarz swój najbardziej idiotyczny uśmiech. Świetnie się przy tym bawił.

- *Pas du tout* - powtórzył stanowczo młody człowiek.

Verlaque rozglądał się w oczekiwaniu na pojawienie się drugiego brata, szybko jednak uznał, że lepiej będzie pójść do Pałacu Sprawiedliwości i zadać Paulikowi - lub innemu policjantowi - bardziej szczegółowe pytania na temat Orezzów.

Ekspedient spojrzał na zegarek i podszedł do drzwi, po czym je otworzył. Verlaque uśmiechnął się i wyszedł na zewnątrz, nie zadając sobie trudu, aby mu podziękować.

## 23.

Kiedy Verlaque dotarł do Pałacu Sprawiedliwości, zastał Paulika przy jego biurku. Komisarz siedział zgarbiony i pisał coś na klawiaturze komputera.

- Sądziłem, że Flamant się temu przygląda - powiedział Verlaque, przysuwając sobie krzesło.

- Jest na dwudniowej konferencji szkoleniowej - odparł Paulik, nie podnosząc wzroku.

- Co takiego? Możemy go stamtąd wyciągnąć?

- Próbowałem to zrobić dzisiaj, ale bez powodzenia - powiedział Paulik. - Flamant wysłał mi esemesa, że spróbuje się wymknąć jutro rano. „Q”. Gdzie jest „Q”.

Verlaque z uśmiechem obserwował, jak komisarz stuka w klawiaturę jednym palcem.

- Po lewej stronie. Lekcji pisania na klawiaturze też nie miałeś?

- To były zajęcia do wyboru w liceum - odparł Paulik. - Ale rodzice kazali mi się zapisać na hiszpański.

- Ja musiałem się uczyć łaciny. Dlaczego siedzisz tu o tak późnej porze?

- Léa ma próbę chóru - wyjaśnił komisarz. - Odbieram ją o dziewiątej.

Verlaque pomyślał o rustykalnym domu Paulika w Puylobier, piętnaście minut drogi na wschód od Aix, u podnóża Mont Sainte-Victoire, i o rozciągających się wokół niego winnicach, w których był cichym współnikiem.

- Czego szukasz? - zapytał.

- Pomyślałem, że trochę pomogę Flamantowi i zacznę szukać informacji o księdzu. - Paulik wpatrywał się w klawiaturę z wiszącym nad nią palcem wskazującym prawej dłoni.

Verlaque zasłonił ręką usta, aby ukryć szeroki uśmiech.

- I co? Masz coś?

- Większość informacji jest dość świeża, dotyczy katedry. Ciekawostki dla turystów. - Paulik odchylił się na krześle i westchnął. - Jutro Flamant będzie miał więcej szczęścia. Odebrałem twoją wiadomość na temat braci Orezza i wyjąłem ich akta.

Bruno przesunął w kierunku Verlaque'a podniszczoną teczkę. Verlaque otworzył ją i pochylił się naprzód, poprawiając okulary do czytania. Zaczął śledzić tekst wzrokiem, powoli przewracając kartki.

- Jeana-Paula i Michela nigdy na niczym nie złapano - skonstatował, podnosząc oczy na Paulika. - Tak Tak myślałem.

- Ale byli powiązani z wieloma sprawami - powiedział Paulik. - Czytaj dalej.

Verlaque przewrócił kolejną stronę.

- Ach, kogóż my tu mamy? - Podniósł kartkę do oczu i uważnie przyjrzał się zdjęciu. - Teraz naprawdę cię nie lubię.

- Znasz go? - zapytał Paulik, zaglądając od góry, aby zobaczyć, kogo przedstawia fotografia.

- To ich ekspedient. Przed chwilą prawie wyrzucił mnie z Del Carlo.

- Za co?

- Za dobry gust w kwestii ubrań. - Verlaque czytał dalej. - Nazywa się Alexandre Mareschi. Trzydzieści cztery lata, urodzony w Porto-Vecchio. Aha! Trzykrotnie aresztowany - dwa razy na Korsyce i raz w Marsylii. Za pierwszym razem za kradzież, w wieku dwudziestu lat. Za drugim - za rozbój z

użyciem broni, cztery lata później. A w Marsylii - za sutenerstwo. To było trzy lata temu. Dopiero co wyszedł.

- Czytaj dalej - zachęcił go Paulik.

Verlaque przewrócił stronę.

- Co takiego? Jest jeszcze jeden Orezzo?

- Gerard, najstarszy syn. W porównaniu z nim Alexandre Mareschi to waga piórkowa.

- Dlaczego nigdy o nim nie słyszałem?

- Bo nie żyje od dziesięciu lat - odparł Paulik. - Zginął w strzelaninie w podziemnym garażu w Marsylii.

Verlaque spojrział na komisarza. - Co to ma, do cholery, wspólnego z naszym księdzem smakoszem?

Paulik wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiem. Może père Fernand był w jakiś sposób odpowiedzialny za to, co się stało? Może bracia Orezzowie w końcu wzięli na nim odwet?

- Zamach bez wątpienia odznaczał się teatralnym dramatyзмом uwielbianym przez mafię - podczas nieszpórów, w kościele.

- Père Fernand odwiedził sklep z cygarami w Aix, razem z Alainem Sorbą.

- Sklep Carole? - zapytał Paulik rozmarzonym głosem.

Verlaque się zachnął. Carole była jego ulubienicą.

- Właśnie ten. Czy nie wydaje ci się to dziwne?

- Tak, co on robił z Sorbą? Przecież ksiądz nie ma dzieci, które mógłby posyłać do dwujęzycznej szkoły. - Paulik strzelił palcami. - Jakaś organizacja katolicka? Sekta? Może chodzi o Opus Dei?

Verlaque przekrzywił głowę.

- Nic nie wiem o Opus Dei. Myślę, że są zbyt potężni na nasze małe Aix. - Spojrział na zegarek. - Merde. Spóźnię się na kolację. Do jutra.



- W porządku - powiedział Paulik, odwracając się do komputera. - Ja jeszcze trochę poszperam w internecie.

Verlaque wstał. Wychodząc, usłyszał, jak Paulik mamrocze do siebie, że nie może znaleźć litery „E”. Nadal się uśmiechał, kiedy wychodził na ulicę przez frontowe drzwi Pałacu Sprawiedliwości.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Verlaque, siadając naprzeciwko Marine.

- Nic nie szkodzi - odparła. - Jak widzisz, zamówiłam kieliszek szampana.

Verlaque nawiązał kontakt wzrokowy z kelnerem, a potem wskazał na kieliszek Marine i na siebie. Rozejrzał się po restauracji. Ściany pomalowano farbą o odcieniu czerwieni, z którym coś było nie tak. Zbyt jaskrawy? Za bardzo wiśniowy? Na ścianach wisiało kilka niezbyt interesujących afrykańskich masek, oprawiona fotografia francuskiej wioski z przełomu wieków i parę abstrakcyjnych obrazów.

- Wygląda na to, że właściciele wciąż jeszcze pracują nad stylem tej restauracji - stwierdził.

- Lniane serwetki! - powiedziała Marine, rozwijając swoją i kładąc ją sobie na kolanach.

Verlaque uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, że to Marine wybrała restaurację i zarezerwowała stolik. Humor mu się poprawił, kiedy zerknął na listę win, na której znalazł mnóstwo lokalnych specjałów - w tym wina Hélène Paulik - i tylko kilka win z Bordeaux. Kelner - trzydziestokilkulatek z długim, orlim nosem i błękitnymi oczami - z zapalem wymienił specjalności dnia, polecane przez szefa kuchni. Każde z nich wybrało dania z menu dnia, a kelner zostawił Verlaque'owi listę win, aby ten mógł ją spokojnie przestudiować.

- Bosko - powiedziała Marine, unosząc kieliszek. - Wieczór w małej, uroczej restauracji, tylko z tobą.

Verlaque odłożył na bok listę win i pozwolił, aby okulary na łańcuszku opadły mu na pierś. Delikatnie stuknął swoim kieliszkiem o kieliszek Marine.

- Zgadzam się - powiedział. - Przy okazji, bardzo mi się podoba twój wybór pierwszego dania: foie gras z soczewicą. - Mrugnął do niej. - Królowa i pokojówka. Wytworność i prostota.

- To wybór szefa kuchni, nie mój - zaśmiała się Marine. - To on (lub ona) wymyślił ten zestaw. Twoje ostrygi na ciepło z fenkułem i curry wydają mi się nieco ekstrawaganckie. Tak jakby nie wiedziały, gdzie jest ich miejsce - w Prowansji, w Bretanii czy w Indiach.

Verlaque nie zdołał wymyślić dowcipnej riposty. Uratował go kelner, który wrócił, aby przyjąć zamówienie na wino.

- Białe Châteauneuf-du-Pape - powiedział Verlaque, wskazując wybraną pozycję. - Rzadko widuje się ich białe wina w menu.

Kelner wyprostował się i uśmiechnął.

- To nasze ulubione. Moja żona pochodzi z Awinionu. Jest teraz w kuchni.

- Ach tak? - zapytała Marine. - Czy to ona jest szefową kuchni?

Kelner kołysał się na piętach.

- Tak. Mogę z dumą powiedzieć, że zrywamy z tradycją. Mąż obsługuje gości, a żona pracuje w kuchni.

- Menu wygląda i brzmi fantastycznie. Nie możemy się doczekać swoich dań - powiedział Verlaque.

Nowa para weszła do restauracji, a kelner oddalił się, żeby ją przywitać.

- Zaczynasz im wybaczać nie najlepszy wystrój - zauważyła Marine.

- Jeszcze nie - odparł Verlaque z szerokim uśmiechem.

- Och, to ta włoska para - szepnęła Marine, pochylając się ku mężowi. - Nie odwracaj się.

- Z Jarmarku Miast Partnerskich?

- Tak, ale tylko żona mnie widzi i chyba mnie nie poznaje. Zresztą, dlaczego miałyby mnie poznać? O ile pamiętam, niczego u nich nie kupiłam. Wszystko wydawało mi się trochę za drogie.

W chwili gdy Verlaque i Marine kończyli szampana i walczyli o ostatnią oliwkę, podano im pierwsze danie. Kelner przyniósł białe wino i ku ich rozbawieniu zapytał, które z nich chce go spróbować.

- Przez wszystkie te lata, odkąd jadam we francuskich restauracjach - stwierdził Verlaque - to pytanie zadano mi tylko dwa albo trzy razy.

- Dzisiaj uczą tego w szkole hotelarskiej - wyjaśnił kelner, a zarazem właściciel tej uroczej restauracji. - Wśród kucharzy i sommelierów jest coraz więcej kobiet, także w Europie, chociaż wciąż daleko nam do Ameryki Północnej.

- Dawno skończył pan szkołę? - zapytał Verlaque, ponieważ kelner wyglądał na trzydzieści kilka lat.

- Oboje późno wróciliśmy do szkoły - odparł kelner. - Aline prowadziła biuro podróży, a ja pracowałem w jednym z dużych paryskich banków. Kryzys w branży turystycznej i stres związany z pracą w bankowości skłoniły nas do zmiany zawodu.

Nalał im wina i odszedł, aby mogli się spokojnie delektować pierwszym daniem. Verlaque uniósł łyżkę i zauważył:

- Biuro podróży. To tłumaczy dziwaczny wystrój.

Marine mruknęła coś na potwierdzenie, a potem spojrzała ponad głowę męża i powiedziała:

- Włosi się kłócą...

- To niedobrze, zwłaszcza kiedy planowało się miły wieczór w restauracji. - Spróbował sosu fenkułowo-śmietanowego, bez

wątpienia przetartego przez sito, i przymknął oczy. – Niebo w gębie, a jeszcze nawet nie spróbowałem ostryg.

Przez kilka minut jedli w milczeniu, delektując się wybornym smakiem, aż w końcu Marine otarła usta serwetką i powiedziała:

– Po rozmowie z tobą udało mi się dodzwonić do mamy. Bada związek między père Fernandem i Alainem Sorbą.

Verlaque westchnął, poirytowany.

– Dlaczego twoja matka?

Marine wzruszyła ramionami.

– Ja nie miałam czasu. Jestem zbyt zajęta edytowaniem książki. A poza tym, kto mógłby mieć lepszy dostęp do takich informacji niż moja matka?

– To prawda – odparł. Jedli dalej i planowali bożonarodzeniową kolację, na którą Marine koniecznie chciała zaprosić brata Verlaque’a. On z kolei twierdził, że Sébastien na pewno nie przyjdzie.

– Zaprosisz go mimo to – upierała się, biorąc ostatni kęs foie gras. – *Trop bon* – powiedziała, odchylając się na krześle.

Pojawił się właściciel restauracji. Zabrał puste talerze i nappełnił kieliszek Marine. Chciał dolać wina również Verlaque’owi, ale sędzia nakrył dłonią kieliszek.

– Chciałbym teraz spróbować czerwonego – powiedział. – Ma pan jakąś otwartą butelkę?

– Do kaczi, którą pan wybrał – odparł właściciel – pasowałoby czerwone wino z południowego zachodu. Mam butelkę Madiran Rouge z Gers, którą mogę otworzyć. Co pan na to?

Verlaque złożył ręce jak do modlitwy.

– Czy to na pewno nie kłopot?

– Ani trochę – zapewnił właściciel, a potem się oddalił.

Pojawił się parę minut później z butelką Madiran Rouge, którą pokazał Verlaque'owi przed otwarciem. Odkorkował butelkę i powąchał korek, kiedy z kuchni wyszła jego żona w białym stroju szefowej kuchni. Niosła dwa talerze, trzymając je przez ściereczki.

- Talerze są gorące! - ostrzegła, kładąc je na stoliku.

Marine i Verlaque uścisnęli jej dłoń i przedstawili się. Podobnie jak jej mąż, kobieta miała trzydzieści kilka lat i długi nos, ale jej oczy były brązowe. Verlaque i Marine pochyliłi się nad swoimi talerzami, a potem rozpromienieni podnieśli wzrok na szefową kuchni.

- Limonki? - zapytał Verlaque. - W mojej pieczonej kaczce?

- Mam bzika na ich punkcie - odparła kobieta. - Kiedyś podróżowaliśmy po egzotycznych krajach, a teraz używam limonek, kiedy tylko mogę. Włożyłam całe owoce do wnętrza kaczki, dodałam też skórkę z limonki z miodem i estragonem do sosu.

Spojrzała na Marine i powiedziała:

- Pani danie jest bardziej delikatne. Podsmażona pancetta nada pieczonemu dorszowi słonawy smak i przyjemną chrupkość. Do przygotowania sosu użyłam cytryny i kaparów. Limonka nie pasowałaby do pancetty i kaparów.

Szefowa kuchni i jej mąż udali się do kuchni.

- Uwielbiam to miejsce - powiedział Verlaque, przysuwając krzesło do stolika.

Marine odrzekła ze śmiechem:

- Szkoda, że Włosi nie są nim równie zachwyceni. Teraz oboje milczą, a ona wydaje się naprawdę smutna.

- Może się rozstają. - Verlaque wziął nóż i widelec i już miał odciąć kawałek pieczonej kaczki, kiedy usłyszał znajomy kobiecy głos w niewielkim przedsionku restauracji. Odłożył sztucce.

- Wspomniałaś swojej matce, dokąd się wybieramy?

Marine przełknęła ślinę i otarła usta serwetką.

- Możliwe - przyznała. „To się nie zapowiadało na prawdziwie romantyczny wieczór we dwoje” - chciała dodać, ale nic nie powiedziała, świadoma, że nie powinna mówić matce, dokąd się wybierają, jeśli pragnęła uniknąć takiej sytuacji. Tak naprawdę było coś, o czym Marine chciała porozmawiać z mężem, ale w ostatniej chwili doszła do wniosku, że restauracja nie jest odpowiednim miejscem na taką rozmowę.

- Witajcie! - zawołała Florence, wchodząc do sali zamaszystym krokiem.

Verlaque i Marine wstali i wymienili z nią bises, a właściciel restauracji dostawił do stolika trzecie krzesło. Florence podziękowała mu i zawiesiła kask rowerowy na oparciu krzesła. Na ten widok Verlaque uśmiechnął się do Marine.

- Jedzcie, nie przeszkadzajcie sobie - powiedziała Florence.

- Jesteś głodna, *maman*? - zapytała Marine.

- O rety, twój ojciec i ja jedliśmy wiele godzin temu. Podgrzałam trochę zupy.

Verlaque spojrział na Marine z uniesionymi brwiami i jadł w milczeniu. Był pewny, że Florence Bonnet otworzyła puszkę zupy kupioną w pobliskim supermarkecie.

Florence ciągnęła:

- Jestem taka podekscytowana tą sprawą, że musiałam tu przyjechać i powiedzieć wam, czego się dowiedziałam.

Verlaque zakaszał i otarł usta serwetką. Florence mówiła dalej.

- A poza tym nie odbierałaś telefonu, Marine.

- Ściszyłam go po wejściu do restauracji.

- Nieważne. Na wasze szczęście jestem w świetnej formie. Zadzwoiłam w kilka miejsc i w niespełna pięć minut -

opowiadała, pstrykając palcami – zdobyłam ważne informacje, bardzo dziwne.

- Powiedz nam, czego się dowiedziałaś – poprosił Verlaque.

Florence pochyliła się ku nim i spoglądała to na córkę, to na zięcia.

- Alain Sorba i père Fernand bez wątpienia się znają – wyszeptala. – Sorba jest w zarządzie kapituły Saint-Sauveur!

- Wow! – wykrzyknął Verlaque, a Marine kopnęła go pod stołem.

- *Maman* – powiedziała spokojnie Marine. – Czy właśnie to jest bardzo dziwne?

- Z pewnością rzuca to zupełnie nowe światło na całą sprawę, prawda? – zapytała Florence.

- Może Sorba jest praktykującym katolikiem – zasugerował Verlaque.

- Owszem, jest, jak twierdzą moi informatorzy, których na razie nie chciałabym ujawniać... – Tym razem to Marine zakaszlała i upiła łyk wody, żeby oczyścić gardło. Tymczasem Florence dodała: – Ale jest jedyną osobą świecką w zarządzie. Mój informator twierdzi, że Sorba wdarł się tam siłą.

- Ale jest w dobrych relacjach z père Fernandem? – zapytała Marine.

- Ostatnio się pokłócili – odparła Florence. – Tuż przed koncertem kolęd. Ale nikt nie wie, o co.

Marine spojrziała na Verlaque'a i uniosła brew. Sądziła, że jej matka mogła wpaść na trop.

- Dziękuję, Mme Bonnet – powiedział beznamiętnie Verlaque. – Jeszcze raz porozmawiam z Sorbą.

Marine rzuciła mu szybkie spojrzenie. Wychwyciła sarkazm w jego głosie i wiedziała, że nie zamierza rozmawiać z Sorbą.

Florence uśmiechnęła się i sięgnęła za siebie po kask rowerowy.

- Cieszę się, że mogłam pomóc. - Podniosła się i zaraz dodała: - Nie wstawajcie, jedzcie swoją kolację.

- Proszę, podziękuj tacie za pomoc przy rowerzyście - powiedziała Marine.

- Tak - dodał szybko Verlaque. - Któregoś dnia musimy przyjść tutaj we czwórkę!

Natychmiast pożałował swoich słów. Ale Florence pochyliła się ku nim jeszcze raz i szepnęła:

- Tsss. Wyobrażacie sobie, ile jedzenia można kupić w supermarkecie za cenę jednego z tych dań?

Verlaque już miał odpowiedzieć, ale Marine go ubiegła.

- Tak, możemy to sobie wyobrazić - odparła, po czym odkroiła kawałek ryby i z pełnymi ustami uśmiechnęła się do męża.



## 24.

Następnego ranka Verlaque wyszedł do pracy później niż zwykle, przystając na chwilę w drzwiach, aby pocałować Marine.

- Co będziesz dzisiaj robić? - zapytał.

- Och, zajmę się edycją książki i może zrobię jakieś świąteczne zakupy - odparła. - No i umówiłam się na lunch z Sylvie.

- Daj mi znać, jeśli wpadnie ci do głowy pomysł na prezent dla mojego ojca albo dla Rebekki.

- Dobrze - powiedziała, machając ręką na pożegnanie. Zamykając drzwi, słyszała, jak Verlaque zbiega ze schodów. Podeszła do okien w salonie, przez które widać było wąską rue Adanson. Po dwóch minutach zobaczyła czubek głowy męża i jego ramiona okryte granatowym wełnianym płaszczem. Verlaque pomaszerował ulicą w kierunku Pałacu Sprawiedliwości.

Marine sprzątnęła naczynia po śniadaniu. Umówiła się ze swoją najlepszą przyjaciółką na kawę i świąteczne zakupy. Nie widziała się z Sylvie, która uczyła fotografii na Akademii Sztuk Pięknych, od wieków. Wiedziała, że Sylvie jest zajęta wystawianiem ocen semestralnych i imprezami na uczelni. Czasami przyjaciółki widywały się co drugi dzień, a czasem tylko parę razy w miesiącu, ale Marine nigdy się tym nie martwiła. Za każdym razem czuły się tak, jakby spotkały się poprzedniego dnia. Nierzadko śmiały się razem tak głośno, że przyciągały liczne spojrzenia albo - jeszcze częściej -

wywoływały uśmiech na twarzach aixańczyków, którym udzielała się ich radość.

Marine wzięła torebkę i klucze, wyszła z mieszkania i ruszyła w tę samą stronę, w którą wcześniej poszedł Verlaque – ku centrum miasta.

Verlaque siedział za biurkiem, popijając espresso ze swojej ulubionej filiżanki i czytając już po raz drugi rezygnację Mme Girard, pozostawioną przez nią na biurku w piątkowy wieczór. Nie zdziwiło go, że jego sekretarka – zawsze niezwykle elegancka i w trudnym do określenia wieku – opuszcza Pałac Sprawiedliwości. Planował urządzić dla niej przyjęcie pożegnalne, chociaż nie mógł sobie wyobrazić Mme Girard krążącej wśród kolegów z kieliszkiem taniego szampana w dłoni i z oczami pełnymi łez, powtarzającej, jak bardzo lubiła z nimi pracować i że koniecznie muszą pozostać w kontakcie. Może lunch tylko we dwoje byłby lepszy? Albo kolacja z Mme Girard i Marine w restauracji z wczorajszego wieczoru? Zastanawiał się nad tym, bawiąc się trzymanym w dłoni listem, kiedy przez otwarte drzwi do jego gabinetu wszedł Paulik, swoim zwyczajem pukając we framugę.

- Wszystko w porządku? - zapytał komisarz, siadając naprzeciwko sędziego, który z nieobecny wrokiem obracał w palcach kartkę papieru.

Verlaque wskazał na sąsiednie pomieszczenie, w którym Mme Girard pracowała przy swym nieskazitelnym biurku.

- Właśnie złożyła wypowiedzenie - oznajmił szeptem.

Paulik wstał i zamknął drzwi, a potem znowu usiadł.

- *Merde* - skwitował.

- To nie koniec świata - powiedział Verlaque. - I nie jestem szczególnie zaskoczony. Pracowała tu od zawsze.

- No, właśnie - odparł Paulik. - Nie będziesz miał wpływu na to, kogo dział personalny przyśle na jej miejsce.

Verlaque wbił wzrok w Paulika.

- *Merde*. O tym nie pomyślałem. Teraz do mnie dociera, jak nieocenioną pracę wykonywała dla mnie Mme Girard... - Na chwilę zamilkł. Czuł się winny, że tak rzadko dziękował Mme Girard za jej doskonałą pracę, a także za sporadyczne dyskretne małe śledztwa i delikatne telefony, o które ją prosił. Kto zdoła ją zastąpić?

- Wpadłem tylko na chwilę. Za dziesięć minut mam spotkanie, ale chciałem dać ci znać, że wczoraj wieczorem skontaktowałem się z tym facetem z Lyonu - tym, który nie był zadowolony z wycieczki rowerowej zorganizowanej przez biuro Hainsby'ego i Petita.

- Nie pamiętam, jak się nazywa. Powiedział ci coś ciekawego? - zapytał Verlaque.

- Cédric Farou - odrzekł Paulik. - Owszem, powiedział. Narzekał na zwyczajne problemy - że w niektóre dni wyjeżdżali za późno z powodu problemów z rowerami, że nie smakowały mu posiłki, i tym podobne. Straszny z niego maruda. Ale największe pretensje miał do Cole'a Hainsby'ego.

- O co chodziło?

- O niebezpieczną jazdę samochodem.

- Wniósł skargę?

- Nie, po prostu nie wykupił u nich kolejnej wycieczki. - Paulik spojrział na zegarek i podniósł się z krzesła. - Skończę za jakąś godzinę. Wtedy sprawdzę, czy Flamant już wrócił.

- Jesteś wolny w porze lunchu? - zapytał Verlaque. Nagle wpadł na pomysł, żeby wybrać się do restauracji, w której spędził z Marine poprzedni wieczór. Może mają przyzwoite menu lunchowe?

- Jasne. Do zobaczenia niedługo. - Paulik otworzył drzwi i zapytał: - Znalazłeś jakieś interesujące powiązania między Sorbą i *père* Fernandem?

W głowie Verlaque'a nagle pojawił się obraz w kolorystyce typowej dla starych przezroczy - niewielki biały budynek w stylu art déco z kołyszającym się na wietrze neonem: DR FLORENCE BONNET, PRYWATNY DETEKTYW.

- Nie - odrzekł. - Nie dowiedziałem się niczego ciekawego.

Verlaque jeszcze przez minutę siedział przy biurku, ale kiedy w jego głowie zaczęły się pojawiać kolejne szczegóły agencji detektywistycznej - na przykład rower Mme Bonnet, oparty o jedną ze ścian jej eleganckiego biura, wyłożonego mahoniem i błyszczącym szkłem - wstał, włożył płaszcz i owinął szyję szalikiem. Nie miał pojęcia, dokąd pójść, ale było to lepsze od bezczynnego czekania na informacje.

Kiedy tylko znalazł się na zewnątrz, chłodne, rześkie powietrze i wiatr wyostrzyły mu zmysły. Stanął na schodach i przyjrzał się Place de Verdun z jego przytulną, staromodną kawiarnią; sklepem odzieżowym, którego wystrój nie zmienił się od lat pięćdziesiątych XX wieku, a który oferował praktyczną bieliznę dzienną i nocną dla starszych pań; i z butikiem Hermés na rogu, który zajął miejsce jednej z niezależnych lokalnych księgarni (w Aix zostały jeszcze trzy lub cztery - pocieszał się Verlaque). Z tego miejsca widział też szczyt wieży kościoła protestanckiego. Zszedł na dół, teraz już pewny, że musi się cofnąć i zacząć od początku - od APCA, angielskiego Kościoła protestanckiego w Aix. Cole Hainsby i père Fernand brali udział w śpiewaniu kolęd w tym kościele. Verlaque przeszedł przez plac i pochyłony zaczął brnąć pod wiatr w górę rue Emeric David. Wsunął ręce do kieszeni i wzdrygnął się, kiedy poczuł miękką wełnianą głowę elfa. Zupełnie zapomniał, że go kupił. Po niespełna trzech minutach zadzwonił do drzwi siedziby APCA.

- Dzień dobry, panie sędzio - rzekł Dave Flanagan, ściskając dłoń Verlaque'a, zimną i zaczerwienioną po przechadzce.

- Dzień dobry, wielebny - odpowiedział Verlaque. - Chciałbym zadać panu jeszcze kilka pytań, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Oczywiście - powiedział Dave, kierując się do swego gabinetu.

- Chciałbym też porozmawiać z Mlle Dubois.

Dave wzruszył ramionami.

- Nie ma jej dzisiaj w pracy.

- Nadal jest na zwolnieniu chorobowym?

- *Non* - zaprzeczył Dave. - To znaczy przyszła do pracy, ale potem wyszła.

Verlaque wydawał się zdziwiony.

- Czy to normalne?

- O, tak. A ponieważ jest bardzo dobrą pracownicą, pozwalam jej na to.

Verlaque usiadł naprzeciwko Dave'a.

- Z tego, co wiem, wieczorem przed koncertem kolęd państwo Hainsby pokłócili się tutaj, podczas składkowej kolacji - zagał.

- Tak, to prawda.

- Czy pamięta pan, o co się pokłócili?

Dave potarł podbródek.

- Niestety nie. Widzi pan, to zdarzało się dość często. - Wyrzwał przez szybę w drzwiach swojego gabinetu i powiedział:

- Moja żona Jennifer właśnie weszła. Może ona będzie pamiętać. - Wstał, otworzył drzwi i zawołał żonę.

- *Bonjour, Judge* - przywitała się Jennifer i dodała, nadal po francusku: - Zawiozłam Fanny ciasta.

- Fanny ma szczęście, całe Aix ma szczęście - powiedział z uśmiechem Verlaque. Przesunął się, żeby Mme Flanagan mogła usiąść obok niego.

Dave zwrócił się do żony:

- Kochanie, sędzia Verlaque chciałby wiedzieć, czy pamiętasz, o co pokłócili się państwo Hainsby w sobotni wieczór?

- Tutaj, na kolacji? - zapytała Jennifer. Skrzyżowała ramiona i przez sekundę lub dwie patrzyła w dół, na podłogę.

- Cole stłukł kieliszek - powiedziała, podnosząc wzrok.

- A, tak! - przytaknął Dave.

Verlaque zapytał:

- Czy to był jedyny powód, z jakiego Mme Hainsby zdenerwowała się na męża?

- Nie, było coś jeszcze - odparła Jennifer. - Teraz sobie przypominam. Cole jadł z cudzego talerza. Wziął czyjś talerz i zaczął jeść.

Verlaque spojrzał na Mme Flanagan, osłupiały.

- Bardzo pani dziękuję - powiedział, wstając.

- Ojej! - zawołała Jennifer. - Myśli pan, że...?

- Nie bardzo rozumiem... - powiedział Dave, przenosząc wzrok z żony na sędziego w poszukiwaniu odpowiedzi. - Och! - wykrzyknął po kilku sekundach. - Myśli pan, że to możliwe?

- Bardzo możliwe - powiedział Verlaque, zatrzymując się w drzwiach. - Bardzo państwu dziękuję. Proszę mnie nie odprowadzać.

Pięć minut później Verlaque był z powrotem w swoim biurze, wdzięczny losowi, że centrum Aix jest takie małe. Powiesił płaszcz i usiadł, po czym wybrał numer Paulika i usłyszał komunikat poczty głosowej. Próbował się dodzwonić do Flamanta - z tym samym rezultatem. Podpisał się pod wypowiedzeniem Mme Girard, a potem zaczął krążyć po swoim gabinecie, zastanawiając się, dlaczego pomimo faktu, że wszystko wskazuje na braci Orezzów, zachowanie France Dubois wydaje mu się takie dziwne.

Pojawił się Paulik i przez chwilę obserwował Verlaque'a zza otwartych drzwi.

- Zrobisz dziury w dywanie.

- Chodźmy. - Sędzia sięgnął po swój płaszcz. - Możemy zjeść lunch u mnie, jeśli nie masz nic przeciwko jedzeniu resztek.

- Twoje resztki będą równie dobre jak obiad w restauracji.

- Może w piwnicy znajdzie się kilka niespodzianek.

- Nie marnujmy więc czasu - powiedział Paulik, kierując się do wyjścia. Uwielbiał wina swojej żony, ale uwielbiał też, kiedy jego szef używał słów „piwnica” i „niespodzianka” w jednym zdaniu.

Po drodze Verlaque zdał Paulikowi relację ze swojej wizyty w APCA. Paulik wybrał numer Flamanta i nagrał wiadomość z poleceniem, aby inspektor oddzwonił do niego, kiedy tylko dotrze do biura. Wydawało się, że celem zabójcy od samego początku mógł być père Fernand. Jakiś samochód zatrzymał się za nimi, kiedy szli rue Gaston der Saporta.

- Spokojnie, w porządku - powiedział Verlaque, schodząc na bok, żeby samochód mógł przejechać drogą, która normalnie była deptakiem i mogli nią jeździć wyłącznie pracownicy sklepów i mieszkańcy, którzy mieli przepustki. Było to czarne bmw, a Verlaque zdążył zauważyć, kto siedzi za kierownicą. To był ekspedient z Del Carlo. Machał do grupki turystów, żeby zeszli mu z drogi.

- Patrz! - powiedział Verlaque do Paulika. - To ten zbir Orezzów.

Paulik ścisnął Verlaque'a za ramię.

- Prawy bok auta jest obity.

Szli za samochodem, który jechał bardzo powoli ze względu na tłum pieszych.

- Spójrz na naklejkę na zderzaku. To ten sam salon, w którym Sorba kupił swojego potwora z napędem na cztery koła.

- Zaraz nam odjedzie - zauważył Paulik, widząc, że droga robi się przejezdna i bmw nabiera prędkości. Wyjął swój telefon i zapisał numer rejestracyjny samochodu.

- Jedźmy za nim. - Verlaque ruszył biegiem. - Mój samochód stoi niedaleko stąd, na placu - powiedział, ciesząc się, że poprzednim razem był zbyt zmęczony, aby zaparkować auto w garażu. Kiedy go ostatnio używał? Nie mógł sobie przypomnieć. Pamiętał tylko, jak parkuje, wyłącza silnik i kładzie swoją przepustkę na desce rozdzielczej, tak by policjanci z drogówki od razu ją zauważyli. Wszyscy i tak znali jego samochód, ale przezorny zawsze ubezpieczony.

Skręcili na plac i Verlaque z ulgą spostrzegł swoje piękne, zielone auto. Sięgnął do kieszeni, znalazł kluczyk i otworzył drzwi. Wskoczyli do środka. Sędzia włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił. Porsche wydało przeciągły, zawodzący dźwięk, a potem umilkło. Verlaque spojrział na Paulika, który nic nie powiedział, ale nie zdołał powstrzymać grymasu na twarzy. Verlaque spróbował jeszcze raz, ale ciszy nie zakłócił żaden dźwięk.

- Nie szkodzi - powiedział Paulik. Wyjął z kieszeni telefon, zadzwonił na komisariat policji i podał numer rejestracyjny. Rozkazał, aby ktoś pojechał za bmw i zatrzymał je do rutynowej kontroli.

- Mam nadzieję, że uda się dopasować rysy na prawym boku samochodu i lakier z roweru Damiena Petita - powiedział, zerkając na Verlaque'a, który opuścił ręce i wpatrywał się w przestrzeń.

- Chyba do lunchu napijemy się naprawdę dobrego wina, może Grand Cru - powiedział Verlaque, otwierając drzwi porsche.

Paulik wzruszył ramionami i wysiadł z samochodu. Nie miał zamiaru się kłócić.



## 25.

Tymczasem Marine wybrała się z Sylvie na lunch do restauracji, która tak bardzo przypadła jej i Verlaque'owi do gustu poprzedniego wieczoru. Marine popijała wodę gazowaną, czując wielkie zmęczenie. Uwielbiała Sylvie, ale zakupy z nią były niczym zawody olimpijskie. Za każdym razem, kiedy Marine wybierała jakiś przedmiot, Sylvie podawała dwa lub trzy powody, z jakich nie nadawał się on na prezent. Tymczasem te wybrane przez Sylvie wydawały się Marine za drogie, zbyt luksusowe. Jej rodzicom nie zależało na luksusie, podobnie jak ojcu Antoine'a, który przez całe życie opływał w luksusy, a teraz, na stare lata, cenił sobie prostotę. No i co kupić Rebecce, partnerce ojca Verlaque'a, młodszej od niego o trzydzieści lat i wyglądającej jak Naomi Campbell? Ostatecznie Marine wybrała dla Rebekki efektowny album poświęcony pałacom weneckim. „Przepisy kulinarne w środku!” – głosiła naklejka na okładce. Marine była pewna, że Rebecca nigdy nie skorzysta z żadnego z przepisów, ale wyobrażała sobie tę wierną kopię znanej supermodelki siedzącą przy kominku w chłodny zimowy wieczór i cieszącą oko baśniowymi fotografiami pałaców. Po dwóch godzinach chodzenia po sklepach był to jedyny prezent, jaki udało jej się kupić.

Marine zamówiła zimową *soupe au pistou*, a Sylvie – *pot-au-feu*.

- Możesz wypić kieliszek wina, jeśli chcesz – usłyszała słowa Sylvie. – To, że ja nie piję, nie znaczy, że ty nie możesz.

- Nie, dziękuję – odparła Marine. – Nie mam ochoty na wino. Sylvie potarła skronie i jęknęła.

- Kto by pomyślał, że im będę starsza, tym bardziej huczne będą imprezy na zakończenie semestru? Nigdy nie mieszaj dżinu z wódką. - Spojrzała na przyjaciółkę, oczekując, że się roześmieje, ale Marine patrzyła przed siebie.

Podano im zamówione dania. Sylvie wzięła kawałek chleba i zanurzyła go w bulionie.

- *Pot-au-feu* wyleczy mnie z kaca - orzekła. - Nie ma nic lepszego niż bulion wołowy i warzywa w chłodny dzień.

Spojrzała na Marine, która niemrawo mieszała dużą łyżką swoją zupełną fasolowo-warzywną. Marine westchnęła. Sylvie zjadła chleb - przepyszny w połączeniu ze słonym bulionem. Przełknęła i zapytała:

- Co się z tobą dzieje?

Marine wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze. Opowiedziała Sylvie o swoim zmęczeniu w ostatnim czasie, o dziwnej niechęci do kawy i alkoholu, o nie-rozmowie na temat dzieci, którą odbyła z Verlakiem, i o wyniku testu, który kupiła w aptece. Do końca lunchu nie rozmawiały o niczym innym.

Niespełna godzinę później pożegnały się przed wejściem do restauracji. Marine ruszyła w kierunku Place de Cardeurs, mając nadzieję, że część stoisk nadal będzie otwarta. Może znajdzie coś ciekawego z Włoch albo z Tunezji dla swoich rodziców? Uśmiechnęła się na myśl, że może zrobić Antoine'owi niespodziankę w postaci tunezyjskiego dywaniku, skoro tamtego wieczoru tak nieporadnie dawał jej do zrozumienia, że chciałby taki mieć. Szła teraz pewnym krokiem, w dużo lepszym nastroju.

Była zadowolona, że porozmawiała otwarcie z przyjaciółką. W odróżnieniu od opinii Sylvie na temat prezentów, jej rady w tej sprawie były przemyślane i konstruktywne.

- Chodzi mi tylko o twoje dobro, Marine - powiedziała Sylvie. - Ale musisz jak najszybciej powiedzieć Antoine'owi. Kiedy to zrobisz, poczujesz ulgę. Będziecie mogli rozmawiać

o możliwych rozwiązaniach i podjąć decyzję dobrą dla was obojga.

Marine dotarła do Cardeurs i przystanęła, aby szczerzej owinąć szyję szalikiem. Wiatr hulał po dużym, otwartym placu. Zobaczyła filadelfijczyka przytrzymującego połę płóciennego namiotu, podczas gdy jakaś kobieta usiłowała przymocować ją do masztu. Marine omiotła wzrokiem plac, próbując się rozeznąć w układzie stoisk. Nie pamiętała, gdzie znajduje się stanowisko Tunezyjczyka. Nagle spostrzegła France Dubois, która stała samotnie na wietrze i przyglądała się Amerykanom. Marine pomachała i zawołała France po imieniu. Na widok Marine France odwróciła się i pobiegła za jeden ze straganów.

- France, proszę zaczekać! - krzyknęła. Ruszyła biegiem i zauważyła Niemkę obserwującą całe zajście. Anna Rösch spostrzegła Marine i szybko spuściła wzrok, udając, że zapamiętała czyści ladę.

- *Bonjour* - przywitała się Marine, podchodząc do stoiska z Tybingi. - Co się dzieje? Widziałam, jak przygląda się pani Mlle Dubois.

- Być może - odparła cicho Anna.

- Dlaczego ona się tak zachowuje? Na tym lodowatym wietrze? Anna wzruszyła ramionami.

- Proszę posłuchać... - powiedziała Marine. - Mlle Dubois może mieć kłopoty...

Anna podniosła wzrok z wyrazem zdziwienia na twarzy. Marine ciągnęła swój blef.

- Mlle Dubois jest główną podejrzaną w sprawie zabójstwa Cole'a Hainsby'ego. Muszę się dowiedzieć, dlaczego obserwuje stoisko z Filadelfii. To może jej pomóc. - Marine pochyliła się ku Annie i wyjaśniła, że Hainsby mógł być odpowiedzialny za śmierć rodziców France.

- No cóż, nie wiem zbyt wiele - wyszeptała Anna. Zerknęła na swojego męża, który gawędził z klientką. - Proszę za mną -

dodała i zaprowadziła Marine w zaciszne miejsce na tyłach namiotu.

- Mlle Dubois obserwuje monsieur. Mężczyznę.

- Amerykanina? - zapytała Marine. - Dlaczego?

- Ten człowiek był tutaj w zeszłym roku i nagabywał Mlle Dubois.

- Chce pani powiedzieć, że ją molestował?

- Tak, w bardzo... - Zamilkła na chwilę, unosząc palec. - W niestosowny sposób - dokończyła, znalazłszy odpowiednie francuskie słowo. Chwyciła Marine za ramię. - Powiedziałam *mademoiselle*, że powinna to zgłosić, ale ona się boi. Dlatego przychodzi i go obserwuje.

- Czy widziała to pani na własne oczy? - zapytała Marine. - W zeszłym roku?

- Nie, jesteśmy w Aix pierwszy raz - odparła Anna. - Ale widziałam, jak ten człowiek zaczepia France w tym roku. Próbował z nią porozmawiać, ale było dla mnie jasne, że ona nie chce mieć z nim nic do czynienia. Kiedy już sobie poszedł, zaprosiłam ją na filiżankę gorącej herbaty z alkoholem, a ona się rozkleiła, zaczęła płakać i wszystko mi opowiedziała.

- On oczywiście widzi, że ona go obserwuje - zauważyła Marine.

Anna skinęła głową.

- Myślę, że ona próbuje go skruszyć, wzbudzić w nim poczucie winy. A może zastanawia się, co zrobić. Czeka.

- Dziękuję - powiedziała Marine. - Teraz to wszystko ma sens, jej dziwne zachowanie.

- To urocza dziewczyna - dodała Anna.

- Tak - potwierdziła Marine. - Nie będę pani dłużej zatrzymywać.

Pożegnały się i Marine ruszyła powoli alejką, wypatrując France Dubois. Napotkała stoisko z Kartaginy i podeszła,

uśmiechając się do właściciela, który związał narzutę wykonaną z jaskrawożółtej tkaniny.

Marine dotknęła jej i powiedziała z uznaniem:

- Jest bardzo miękka.

- I doskonała latem, kiedy jest gorąco, ale chcemy się czymś przykryć - dodał Mehdi Abdelhak. - Czy dobrze pamiętam, że była pani tamtego wieczoru w katedrze?

- Ma pan świetną pamięć - odrzekła Marine. - Kilka razy poczęstowałam się pańskimi specjami.

Abdelhak przedstawił się z uśmiechem.

- Nigdy nie zapomnę klienta, zwłaszcza takiego, który uwielbia tunezyjskie jedzenie.

Tak naprawdę jednak Marine wydała mu się tak piękna, że nie mógł oderwać od niej oczu. Przypominała mu żonę, za którą bardzo tęsknił. Żałował, że nie było go stać na drugi bilet lotniczy, aby żona mogła mu towarzyszyć w Aix.

Marine zapytała, czy mogłaby obejrzeć dywany, co Abdelhak przyjął z radością, zwłaszcza że do tej pory sprzedał tylko trzy.

- A co z księdzem? - zapytał, pokazując jej jeden ze swoich ulubionych dywanów. - Czy to prawda, że ktoś do niego strzelał?

- Tak, nie zginął na miejscu - odparła. - Ale nie wiadomo, czy przeżyje.

Mehdi spuścił głowę i złożył dłonie.

- Wezmę ten - zdecydowała Marine. - Będzie pięknie wyglądał w naszej kuchni.

Abdelhak uniósł głowę i spojrzał na nią z wyrazem ulgi i radości na twarzy. Ta transakcja zwróci mu część kosztów podróży.

Właśnie wtedy Marine zauważyła złoty łańcuszek z krzyżykiem na jego szyi.

- Jest pan chrześcijaninem? - zapytała.

Mehdi skinął głową.

- Tutaj mogę nosić ten łańcuszek, ale nie w domu. Wynikłoby z tego zbyt wiele... nieporozumień. Moja żona jest muzułmanką.

- Zakładam, że wie o pana religii.

- O tak, powiedziałem jej o tym, kiedy się poznaliśmy. Nie przeszkadzało jej to wtedy i nadal nie przeszkadza.

- To najmiłsza rzecz, jaką usłyszałam w tym tygodniu - powiedziała Marine, wyjmując z torebki portmonetkę. Zapłaciła, a potem pomogła Mehdiemu zrolować dywanik i związać go sznurkiem na obu końcach.

- Poradzi sobie pani? - zapytał. - Mogę go pani przywieźć po zamknięciu stoiska. Jeśli to na parterze...

- Dziękuję, dam sobie radę - odparła Marine. - Mieszkamy obok katedry, a to jest mały dywanik.

- Dzisiaj wieczorem pójdę do kościoła - powiedział Abdelhak - i zapalę świeczkę w intencji księdza.

Marine skinęła głową i podziękowała. Wzięła dywan i zarzuciła go sobie na prawe ramię, przytrzymując go na końcu obiema rękami.

- Do widzenia i wesołych świąt, gdybyśmy się wcześniej nie spotkali - powiedziała.

W połowie drogi do domu zaczęła żałować, że nie przyjęła propozycji M. Abdelhaka, kiedy zaoferował, że przywiezie jej zakup do ich mieszkania. Ale dywanik miał być niespodzianką dla Antoine'a, no i nie był bardzo ciężki. Marine nie wzięła jednak pod uwagę tego, że wieje. Co jakiś czas spoglądała na jakiś sklep albo inny punkt orientacyjny i mówiła sobie: „Już niedaleko. Właśnie minęłaś Muzeum Historii Aix... a teraz przechodzisz obok tego sklepu, w którym sprzedają drogie świece zapachowe z Paryża...”

Po wejściu do kamienicy zdjęła dywan z ramienia i odpoczęła na ratanowym krześle, które od zawsze stało w kącie, czekając, aż ktoś z niego skorzysta. Nigdy wcześniej na nim nie siedziała. Czuła się jak staruszka. Po kilku minutach ponownie podniosła dywan - naprawdę nie był taki ciężki - i pokonała cztery biegi schodów prowadzące do ich mieszkania. Przekręciła klucz w zamku i biodrem otworzyła drzwi, ale zamarła, gdy usłyszała głosy.

- *Merde* - mruknęła, kierując się prosto do sypialni na tyłach mieszkania.

- Marine! - zawołał Verlaque. - Jesteśmy w jadalni!

- Zaraz przyjdę! - odskrzyknęła z garderoby, wpychając dywanik za rząd kolorowych letnich sukienek. Zamknęła drzwi garderoby i przeszła długim korytarzem do jadalni, w której siedzieli Antoine i Paulik.

Paulik zerwał się i złożył bises na policzkach Marine.

- Marine, musisz spróbować tego wina - powiedział Verlaque, chwytając butelkę. - O, przepraszam, nic nie zostało.

Paulik uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Nic nie szkodzi - rzekła Marine, opadając na krzesło. - Mam dla was nowe informacje.

Opowiedziała im o France Dubois i Jasonie Millerze i o katolicyzmie Mehdiego Abdelhaka.

- Teraz już wiemy, dlaczego Abdelhak fotografował kaplicę Świętego Rocha - zakończyła swoją relację.

- Tak - zgodził się Verlaque. - Ale France Dubois...

- Ach, ona jest nieszkodliwa, Antoine - przekonywała Marine. Poszukała wzrokiem Paulika, licząc na jego poparcie, ale on stał w drzwiach i odsłuchiwał wiadomość na swoim telefonie.

- Mamy to bmw - powiedział Paulik, kiedy się rozłączył. - Prawo jazdy Mareschiego okazało się nieważne, za dużo

punktów karnych, więc moi ludzie zatrzymali jego samochód i teraz go sprawdzają. Porównują ślady na jego boku z lakierem z roweru Damiena Petita.

Verlaque klasnął w dłonie.

- Doskonale.

Marine ziewnęła.

- Możesz później opowiedzieć mi o tym bmw - powiedziała. - Idę się położyć.

Verlaque zerknął na nią z ukosa. Marine nigdy nie ucinała sobie drzemki w ciągu dnia, chyba że latem po kąpieli w morzu. Już miał ją o to zapytać, kiedy Paulik dodał:

- Flamant wrócił i już ma dla nas jakieś informacje.

Verlaque odchylił się na krześle, żeby móc obserwować Marine idącą przez korytarz. Zauważył, że nawet nie zdjęła zimowego płaszcza.



## 26.

Kiedy tylko Marine usłyszała, że drzwi wejściowe się zamknęły, wyskoczyła z łóżka i zadzwoniła do Margaux, która czekała na sygnał w pobliskiej kawiarni. Margaux zjawiła się po dziesięciu minutach i już po chwili Marine siedziała w szlafroku przed lustrem w łazience z włosami ściągniętymi w ciasny kok i osłoniętymi siateczką. Wykrzywiła się do odbicia swojej twarzy bez obramowania z gęstych włosów, ufarbowanych na kasztanowy kolor. Teraz jej rysy stały się bardziej wyraziste.

Margaux błagała Marine, żeby siedziała nieruchomo, gdy nakładała jej na twarz podkład, cienie do oczu i tusz do rzęs. Marine na co dzień nie używała żadnego z tych specyfików.

- Przestań się wiercić - upomniała ją Margaux, rozcierając podkład (zdaniem Marine bardzo gwałtownie) na jej policzkach.  
- Masz szczęście, że nie musisz tak siedzieć kilka godzin, jak to często bywa w mojej branży.

- *Mon dieu* - westchnęła Marine.

- To trwa długo, ale może być całkiem zabawne - ciągnęła Margaux. - Dzięki makijażowi i peruce zupełnie się zmieniasz. Nagle stajesz się inną osobą. Możesz udawać, kogo tylko zechcesz - zmienić akcent, kraj, a nawet epokę.

Marine mruknęła coś przytakująco, rozumiejąc, że może to sprawiać przyjemność niektórym ludziom - ale nie jej. Przyjrzała się swojej twarzy. Dziesiątki piegów zniknęły pod warstwą beżowego podkładu.

- Czas na perukę - powiedziała Margaux. - Zaczekaj, aż to zobaczysz.

Wsunęła dłonie w perukę i nałożyła ją na głowę Marine, wpychając pod nią wystające kosmyki.

Marine przekręciła głowę w jedną i w drugą stronę i uśmiechnęła się szeroko. Wyglądało to całkiem dobrze. Perukę wykonano z kruczoczarnych, równo przyciętych włosów – w stylu Umy Thurman w *Pulp Fiction*, jak powiedziała Margaux. Marine sądziła, że jej gęste, falowane włosy nie zmieszczą się pod peruką, ale Margaux najwyraźniej wiedziała, co robi.

- Teraz ubranie – zarządziła Marine z nieco większą ekscytacją, niż zamierzała.

- Strój wisi w sypialni – odparła Margaux. – Na szczęście nosimy ten sam rozmiar.

Marine wstała, ciasniej owijając się szlafrokiem, i zniknęła w sypialni. Tymczasem Margaux spakowała swoje przybory do makijażu i poszła do kuchni, żeby nalać sobie szklanek wody. Pięć minut później Marine weszła do kuchni, a Margaux na jej widok wzdrygnęła się i rozlała trochę wody na podłogę.

- Już nie wyglądam jak Uma Thurman – stwierdziła Marine, obracając się wokół własnej osi. – To nawet lepiej.

- To prawda – odrzekła Margaux. – Bardziej jak Julia Roberts w *Pretty Woman*.

- Spódniczka jest trochę za krótka, nie sądzisz?

- To dlatego, że jesteś ode mnie wyższa.

- Podoba mi się ta bluzka – powiedziała Marine, krążąc po kuchni i zastanawiając się, co by powiedział Antoine, gdyby nagle wrócił do domu.

- Lamparcie cętki to klasyka – odparła Margaux. – A bluzka jest obcisła i dobrze na tobie leży. Ale muszę coś poprawić.

- Margaux podeszła do Marine i rozpięła jeden guzik bluzki, odsłaniając dekolt. – Niech tak zostanie.

- Dobrze – zgodziła się Marine.

- Umiesz chodzić na tak wysokich obcasach?

- Dam sobie radę.

Margaux spojrzała na zegarek.

- Pora jechać - powiedziała. - Odwiozę cię i zaczekam trochę dalej w samochodzie. Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

- To był mój pomysł - odrzekła Marine. - On ciebie zna, a jeśli nawet pamięta mnie z koncertu kolęd, to jestem świetnie przebrana.

Marine jeszcze przez chwilę przechadzała się po kuchni, aby się przyzwyczać do swojego nowego wzrostu, stroju i koloru włosów. Margaux przyglądała się z uśmiechem, jak jej nowa przyjaciółka wchodzi w rolę, tak jak ona to robiła dziesiątki razy. Nakładając makijaż, wiedziała, że Marine - podobnie jak wiele osób niezajmujących się aktorstwem - będzie się opierać myśli, że tak łatwo można zmienić się fizycznie i że taka przemiana może być bardzo przyjemna.

- Jedźmy - powiedziała Marine dziwnym głosem, chwytając płaszcz i torebkę, również wybrane przez Margaux specjalnie na tę okazję. - Nie chcę się spóźnić.

- Podoba mi się ten akcent à la Sophia Loren - pochwaliła Margaux, powstrzymując śmiech.

Marine była zachwycona, że Margaux go rozpoznała. Zniżyła głos i powiedziała:

- Urodziłam się w Aix, ale dorastałam pod Neapolem, w rodzinnej willi mojej matki.

Zamknęła drzwi wejściowe i potrząsnęła głową, tak by jej nowe, czarne włosy zawirowały wokół twarzy, kiedy powoli schodziła po schodach, mocno trzymając się poręczy. Odwróciła się i ciągnęła swoją opowieść, dodając zmysłową chropawość do swego nowego głosu.

- Mam za sobą bolesny rozwód i wróciłam do Aix, żeby tutaj wychować dzieci. Nie mam pieniędzy na remont willi. Och, tak mi smutno, tak smutno.

- Doskonale - pochwaliła Margaux, choć w głębi ducha uważała, że powtórzenie „tak smutno” było zbyt teatralne. - Jeszcze poćwiczmy w samochodzie. Jak masz na imię?

- Valentina - powiedziała wolno Marine.

- Dobrze, Valentino, spróbuj nie połamąć nóg na tych obcasach.

Pół godziny później Margaux wysadziła Marine przed dwujęzyczną szkołą Four Seasons, po czym zaparkowała samochód nieco dalej przy tej samej ulicy, pod rozłożystym platanem. Zabrała ze sobą scenariusz filmu o Paulu Cézannie, przesłany przez jej agenta. Miała wziąć udział w castingu do roli nieszczęśliwej żony malarza, Hortensji. Margaux uważała, że jest za ładna, aby grać nieatrakcyjną Hortensję, ale przecież współczesna charakteryzacja potrafi zdziałać cuda... Zmarszczyła brwi, powątpiewając, że będzie to interesująca rola. Z drugiej strony fabuła rozgrywała się głównie w Aix, więc Margaux nie musiałyby rozstawać się z rodziną. Poza tym dramaty kostiumowe cieszyły się popularnością i film mógł przynieść spore zyski. Usiłowała skupić się na scenariuszu i nie martwić o Marine.

Tymczasem Marine zdołała bez upadku wejść do szkoły, przedstawić się sekretarce i wspiać się po wąskich schodach do gabinetu Alaina Sorby. Czekać na spotkanie, trzęsła się ze zdenerwowania, czując dotyk mikrofonu, w który wyposażyla ją Margaux, z przewodem biegnącym pod bluzką i z niewielką baterią, która - taką miała nadzieję - była dobrze ukryta pod welurowym żakietem. Ziewnęła i pożałowała, że ostatnio nie ma ochoty na kawę.

- *Bonjour, madame* - przywitał ją Sorba, otwierając drzwi gabinetu i gestem zapraszając ją do środka.

Marine zerwała się z krzesła, a jej krótką spódnica podciągnęła się jeszcze wyżej. Sorba wpatrywał się w jej zgrabne, długie nogi.

- *Bonjour* - odpowiedziała Marine, podając mu rękę. - Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać, i to tak szybko. Moje życie jest... ostatnio... szalone.

- Zapraszam - powiedział Sorba. - Proszę usiąść i opowiedzieć mi o swojej sytuacji.

Marine usiadła, pochylając się nieznacznie do przodu, tak by rozpięta bluzka odsłoniła jej dekolt.

- Jestem tutaj, ponieważ mam dwoje dzieci - zaczęła. - Dwóch synów, obaj chodzą do gimnazjum. To bardzo bystry chłopcy, przekona się pan. Znają włoski i francuski, a ja chciałabym, żeby nauczyli się angielskiego.

- Trafiła pani pod właściwy adres, *madame*... - Sorba zerknął na kartkę papieru leżącą na jego biurku. - *Madame Abbona*.

Marine uśmiechnęła się, mając nadzieję, iż Sorba nie zwrócił uwagi na fakt, że Abbona to nazwisko z północy. Pochodziło z etykiety na butelce wina, jednego z ulubionych win Antoine'a z Barolo.

- Czy oferujecie stypendia? - Pochyliła się ku niemu jeszcze bardziej.

- Obawiam się, że rzadko. Tylko w wyjątkowych sytuacjach.

- Moja sytuacja właśnie taka jest - odparła Marine. - Wyjątkowa.

- Proszę mi o niej opowiedzieć. - Sorba bez powodzenia starał się nie gapić na jej dekolt.

- To długa historia, jak to się mówi. - Marine pozwoliła sobie na stłumiony śmiech. - Urodziłam się w Aix, ale kiedy byłam mała, przeprowadziliśmy się do rodzinnej willi mojej matki pod Neapolem. To piękna willa. Freski na suficie i ścianach, mnóstwo pokoi i widok na morze. Ale jej utrzymanie kosztuje krocie. Personel jest dzisiaj taki drogi... - Bardzo się starała

wyglądać na smutną. – Więc wyszłam za mąż za bogatego człowieka...

– M. Abbonę?

– *Si*. Niestety okazało się, że on wcale nie był taki zamożny, jakiego udawał. Prowadził jakieś szemrane interesy ze znajomym księgowym. W końcu wpadli i obaj trafili do więzienia.

– Och, tak mi przykro – powiedział Sorba, pochylając się do przodu.

– O, nie, żadne „przykro”! – krzyknęła Marine, odgrywając rozzłoszczoną neapolitankę. – Złożyłam pozew o rozwód, ale prawnik powiedział mi, że w tym ich szemranym biznesie wszystko było zapisane na mnie, bez mojej wiedzy. Dali mi te papiery do podpisania, mówiąc, że to inwestycje. On ma wielkie długi, a ja wszystko stracę, nawet rodzinną willę...

– Och, nie!

– *Si*.

– Jeśli pani synowie będą się dobrze uczyć – powiedział Sorba – to może będziemy mogli im trochę pomóc.

Marine spojrzała na niego, wycierając kąciaki oczu chusteczką.

– *Grazie*. Ale to nie wystarczy...

– Willa – domyślił się.

– Mój prawnik mówi, że jeśli szybko spłacę jeden z długów, to może uda się ocalić przynajmniej willę. Jak mam pomóc moim niezamężnym siostrze? Evie, Clarze, Rosie...

Oczy Sorby się rozszerzyły. Wstał i zaczął krążyć wokół swojego biurka. Marine poczuła, że zaschło jej w gardle. Zdała sobie sprawę, że trochę przesadziła z tymi trzema siostrami, ale to jej się po prostu wysnęło. Tak jakby naprawdę stała się Valentiną i miała trzy niezamężne siostry. Marine prawie widziała je w swojej głowie.

Sorba przysiadł na brzegu biurka, obok Marine, a ona dyskretnie zmieniała pozycję, jeszcze bardziej odsłaniając nogi.

- Myśli pan, że może nam pomóc? - zapytała niemal szeptem. - Byłby pan mile widzianym gościem w naszej willi. Clara jest tancerką w klubie nocnym...

- Mam przyjaciół, którzy mogą udzielić pani pożyczki - odrzekł Sorba z uśmiechem. - To pomogłoby pani wydobyć się z tarapatów. Porozmawiam z nimi dzisiaj po południu. Proszę opowiedzieć mi więcej o swojej willi i o swoich biednych siostrach...

Marine uśmiechnęła się i słowa zaczęły z niej wypływać niepowstrzymanym strumieniem. Willa i jej podłogi z płytek ceramicznych, fontanna ogrodowa z osiemnastowieczną rzeźbą przedstawiającą Ledę z łabędziem, palmy okalające przepiękne morskie pejzaże. Stare róże w ogrodzie i garbaty ogrodnik o imieniu Giuseppe. Z równie wielką przyjemnością snuła opowieści o wymyślonych siostrach: Rosa chciała zostać zakonnicą, ale została wyrzucona ze zgromadzenia za „zbyt porywczy charakter”. Eva dawniej pracowała jako modelka, ale teraz pragnęła tylko udoskonalać swój przepis na ravioli...

Tuż przed wyjściem Marine delikatnie pogładziła policzek Alaina Sorby, dziękując mu za pomoc. Kiedy dotarła do samochodu Margaux, dosłownie płonęła z ekscytacji.

- Spokojnie, powoli - powiedziała Margaux na widok Marine, która miała zaczerwienione policzki i gestykulowała gwałtowniej niż zwykle. - Najpierw zdejmijmy z ciebie ten mikrofon.

Pomogła Marine wyjąć przewody spod bluzki i włączyła odtwarzanie. Słuchały przez kilka sekund - jakość dźwięku była doskonała.

- Dobra robota, Valentino!

## 27.

Flamant stał przy drukarce, kiedy Verlaque i Paulik weszli do jego biura - otwartej przestrzeni, którą dzielił z kilkudziesięcioma innymi policjantami. Pomachał kartką papieru i wskazał biurko na prawo od siebie. Paulik i Verlaque znaleźli dwa wolne krzesła i przystawili je do biurka, przy którym Flamant już na nich czekał.

- Kiedy zacząłem szperać w komputerze - zaczął Flamant, przeglądając swoje wydruki - okazało się to całkiem łatwe. *Père* Fernand Janin miał bogatą karierę.

- Znalazłeś jakieś powiązania z miastami partnerskimi? - zapytał Paulik. - Wystawcy z jarmarku przyrządzili i podawali jedzenie w niedzielny wieczór, a my jesteśmy prawie pewni, że to *père* Fernand był celem zabójcy.

Flamant wydawał się zdezorientowany, więc Verlaque opowiedział mu o kłótni państwa Hainsbych o to, że Cole jadł z cudzego talerza. Flamant wyciągnął kartkę, na którą właśnie patrzył, i powiedział:

- Tak, jest kilka powiązań. Fernand Janin przez jakiś czas pracował w Tunezji.

Verlaque i Paulik wymienili spojrzenia.

- On uwielbia tunezyjskie jedzenie - powiedział Verlaque. - Ciągle to powtarzał w niedzielę. Przypuszczam, że nie był w Kartaginie?

- Nie, w Tunisie - odparł Flamant.

Paulik wyjął notatnik i przeczytał zapisane w nim nazwiska.

- Czy gdziekolwiek pojawiło się nazwisko Mehdi Abdelhak?



- Nigdy go nie słyszałem - odpowiedział Flamant. - Ale trzeba będzie przyjrzeć się bliżej im wszystkim. Tylko pobieżnie sprawdziłem Tunezyjczyków, ale dotarłem też do innych, fascynujących informacji. Podczas pobytu Janina w Tunezji nie wydarzyło się nic szczególnego, czego nie można powiedzieć o jego pobycie w Afryce. To dlatego chciałem z panami porozmawiać...

- Gdzie w Afryce? - zapytał Paulik.

- W Etiopii, która kiedyś była kolonią...

- Włoską - wtrącił Verlaque. - Co tam się stało?

Próbował sobie przypomnieć twarze Włochów z Perugii. On był postawnym, łysym mężczyzną, a jego partnerka była niską, drobną kobietą z rudawymi włosami. Trochę jak Bruno i Hélène Paulikowie - pomyślał.

Flamant przeczytał informacje zapisane na jednej z kartek, a potem pokazał ją Verlaque'owi i Paulikowi.

- Janin był w Etiopii dziesięć lat temu - relacjonował. - W wiosce na północ od Addis Abeby. Zachęcał mieszkańców do protestów przeciwko międzynarodowym grupom zajmującym się sprzedażą odzieży używanej w Etiopii. To duży biznes w Afryce. Nie miałem o tym pojęcia.

- A co w tym złego? - zapytał Paulik. - Czy Etiopczycy nie potrzebują używanych ubrań?

- Nie tam, gdzie działają lokalne zakłady odzieżowe. A tak właśnie było w miejscowości, w której Janin był księdzem.

- Używana odzież z Zachodu była zagrożeniem dla lokalnych firm - domyślił się Paulik.

- Właśnie tak - przytaknął Flamant. - Rynek używanej odzieży jest wart ponad trzy miliony dolarów rocznie. Ubrania przywożone z Zachodu są sortowane i sprzedawane w Afryce Wschodniej. Zapewniają pracę ludziom, którzy sprzedają je na bazarach, ale wykańczają lokalne firmy odzieżowe. Janin

współpracował z dwiema małymi fabrykami i stał na czele protestów przeciwko jednemu z lokalnych importerów używanych ubrań, Elite. Starał się doprowadzić do bezwzględного zakazu sprzedaży używanej odzieży w Afryce do roku 2019.

- Czy taki zakaz zostanie wprowadzony? - zapytał Verlaque.

- Mało prawdopodobne. Ma zbyt wielu przeciwników, zwłaszcza w USA, które sprzedają tony używanych ubrań na całym świecie.

- A my czujemy się tak dobrze, kiedy oddajemy tym organizacjom swoje ubrania - zauważył Paulik.

- To prawda - przytaknął Flamant. - W zeszłym tygodniu moja dziewczyna zrobiła czystkę w naszej garderobie i pojechała do jednej z chrześcijańskich organizacji dobroczynnych, żeby oddać nasze stare ubrania. Byliśmy z siebie bardzo zadowoleni.

- A co z tą firmą... Elite? - zapytał Verlaque. - Co się wydarzyło?

- Robotnicy z tych dwóch lokalnych zakładów wyszli na ulice pod przywództwem père Fernanda - odrzekł Flamant. - Ale jeden z nich był prawdziwym bojówkarzem, trochę świrem. Pewnej nocy podpalił magazyn Elite, no i wszystkie tanie T-shirty i używane dżinsy poszły z dymem.

Flamant podał im kserokopię artykułu w gazecie.

- Problem w tym, że właściciel Elite, Vito Giraldi, był wtedy w magazynie. Jego bliscy zeznali, że miał paranoję - jak widać, nie bez powodu. Gęsty dym i płomienie sprawiły, że nie mógł się wydostać. Giraldi zginął na miejscu.

- Co było dalej? - zapytał Paulik.

- Fernand Janin wrócił do Francji kilka miesięcy później - odparł Flamant. - Przez pewien czas pracował w jednym z

paryskich kościołów, a potem wysłano go tutaj. A firma Elite bez swojego założyciela szybko przestała istnieć.

- Tamtej nocy straciła też wszystkie zapasy, jak sądzę - dopowiedział Verlaque. - Z nazwiska założyciela wnioskuje, że Elite była włoską firmą.

- Ale nie pochodziła z Perugii - powiedział Flamant. Podniósł jedną z kartek i przeczytał: - Bari, w regionie Puglia.

Paulik zjrzał do swojego notatnika.

- Człowiek, który prowadzi włoskie stoisko, nazywa się Matteo Ricci.

- A jego partnerka? - zapytał Verlaque.

Paulik przeczytał na głos:

- Vittoria Romano.

- Chyba nie ma bezpośredniego związku - stwierdził Flamant. - Ale pomyślałem, że to interesujące.

- Z pewnością mogło to stanowić motyw próby zabójstwa père Fernanda - powiedział Paulik. - Choć to nie jego wina, że jakiś szaleniec podpalił magazyn.

- Musimy się tylko dowiedzieć, czyj to był motyw - dodał Verlaque. - Dobra robota, inspektorze Flamant.

Przez kilka sekund wpatrywał się w podłogę, a potem zapytał:

- Czy to możliwe, że Matteo Ricci używa fałszywego nazwiska?

- Ja też o tym pomyślałem - odparł Flamant. - Dlatego zadzwoniłem do pracownicy magistratu, która zajmowała się rezerwacją stoisk na jarmark świąteczny. Dowiedziałem się od niej, że wystawcy muszą okazać paszporty i wypełnić cały plik dokumentów. Miasto sprawdza również ich referencje. Są bardzo ostrożni ze względu na zagrożenie atakiem terrorystycznym. Kiedy zasugerowałem, że ktoś mógł się

prześlizgnąć pod fałszywym nazwiskiem, myślałem, że ta kobieta odgryzie mi głowę.

- To zupełnie niepodobne do pracownicy magistratu - powiedział Verlaque ze śmiechem.

Verlaque siedział przy biurku, zajęty sporządzaniem listy restauracji, do których mógłby zabrać Mme Girard na pożegnalny lunch. Ku jego wielkiej uldze kobieta nie zgodziła się na przyjęcie pożegnalne w biurze (czego się zresztą spodziewał), ale przyjęła jego zaproszenie na lunch. Problem polegał na tym, że żadna z restauracji w Aix nie wydawała mu się odpowiednia dla tak wielkiej damy. Jedyne tutejsze lokale z gwiazdkami Michelin niedawno zamknięto, ponieważ szef kuchni przeszedł na emeryturę. Awinion i Les Baux-de-Provence były za daleko - o czym mieliby rozmawiać przez ponad godzinę jazdy samochodem? Pozostawała więc Marsylia i jej słynna trzygwiazdkowa restauracja nad brzegiem morza. Verlaque zajrzał do portfela, ale nie znalazł wizytówki, więc zaczął szukać restauracji w internecie. Szybko znalazł jej stronę internetową z olśniewającymi fotografiami białej rezydencji w otoczeniu szmaragdowej wody i ze zdjęciem młodego szefa kuchni z włosami do ramion, który niedawno przejął stery od swojego ojca. Restauracja od niemal stu lat pozostawała w rękach jednej rodziny, a babka starego szefa kuchni była tancerką kabaretową na przełomie XIX i XX wieku. Verlaque przyjrzał się obecnemu szefowi, który był przystojnym gwiazdor filmowy, i pomyślał, jak wiele się zmieniło w branży restauracyjnej. Atrakcyjny wygląd stał się bardzo ważny. Pokręcił głową na widok tatuaży na przedramionach młodego szefa kuchni. Widocznie dzisiaj nawet przystojni mężczyźni tatuowali swoje ciała. Wziął telefon i wybrał numer podany na stronie internetowej. Czekając na połączenie, wpatrywał się w zdjęcie na monitorze i próbował zrozumieć, cóż takiego ów młody człowiek uznał za tak ważne, że postanowił to uwiecznić

na swoich przedramionach. Nie tak dawno zastanawiał się nad tym samym tutaj, w Aix, zafascynowany – a może raczej zde gustowany – czyimiś tatuażami, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie to było. W kawiarni? Usłyszał w słuchawce głos pracownika restauracji i zarezerwował stolik na najbliższy piątek. Rozłączył się i przypomniał sobie, gdzie widział tamte tatuaże – u Włoszki na Jarmarku Miast Partnerskich. Przypomniał sobie jej imię i nazwisko: Vittoria Romano. Pięknie.

Verlaque spojrział na zegar. Zbliżał się koniec dnia pracy, a on nie mógł się uwolnić od obrazu wytatuowanej Vittorii Romano. Jedynym, co łączyło ją z *père* Fernandem, był fakt, że była Włoszką, podobnie jak właściciel magazynu z odzieżą w Etiopii. Zadzwoił telefon i Verlaque odebrał:

- *Oui, Verlaque ici.*

- Panie sędzio – w słuchawce odezwał się wysoki głos. – Mówi Collot z laboratorium. Porównaliśmy zadrapania na boku bmw z lakierem z roweru potrąconego na północ od Aix.

- Doskonale – powiedział Verlaque. – A co z kierowcą bmw? Gdzie teraz jest?

- Alexandre Mareschi znajduje się w pokoju przesłuchań, panie sędzio.

- Dziękuję. – Verlaque rozłączył się i wyszedł z gabinetu. Podobał mu się formalizm funkcjonariusza Collota, którego jeszcze nigdy nie spotkał. Mme Girard tego dnia nie było w pracy. Jej biurko jak zwykle lśniło czystością – nie było na nim żadnych kartek ani śmieci. Verlaque popatrzył na oprawioną fotografię trójki jej uśmiechniętych dzieci i przypomniała mu się niedawna uwaga Marine na temat idealnego dzieciństwa. Jego zdaniem szanse na szczęśliwe dzieciństwo gwałtownie spadały z pojawieniem się każdego kolejnego dziecka w rodzinie. Troje dzieci to ryzykowne przedsięwzięcie. Jego rodzice nie poradzili sobie z dwojgiem. Jak to możliwe?

Pomyślał o sobie i SÉbie w dzieciństwie. Nie byli szczególnie wymagający. Pragnęli tylko miłości, czułości i pewnej liczby bajek na dobranoc. I dobrego jedzenia - jeśli chodziło o niego. Sébowi zupełnie na tym nie zależało.

Dlaczego okazało się to takie trudne dla jego zamożnych, wykształconych rodziców? Szedł przez puste biuro i nagle poczuł, że na czoło wystąpiły mu krople potu. Usiadł na wolnym krześle, obejmując głowę rękoma, z łokciami opartymi na kolanach. Wziął kilka głębokich oddechów, usiłując wyrzucić z głowy nieprzyjemne obrazy. Zamiast tego pomyślał o Marine, o jej uśmiechu, piegach i długich, szczupłych palcach. Na jednym z nich nosiła pierścionek zaręczynowy Cartiera, który Verlaque dostał od swojej babki. Wstał i wytarł czoło chusteczką z pudełka na biurku Mme Girard, a potem spojrzął na zegarek. Była prawie szósta. Zbliżała się pora zamknięcia stoisk bożonarodzeniowych, a jego wciąż zaprzętały myśli o tatuażach Vittorii Romano. Idąc schodami w dół, zadzwonił do Marine i zapytał, czy mogłaby wstąpić do Włochów i kupić trochę sera. Byłoby wspaniale, gdyby przy okazji udało jej się rzucić okiem na tatuaze na przedramionach Vittorii.

- Później ci wyjaśnię - obiecał. - To tylko przeczucie.

Marine zgodziła się, ale wydawała się skonsternowana i nieco poirytowana jego prośbą. Rozłączył się w chwili, gdy dotarł do pokoju przesłuchań numer dwa.

- *Bonsoir* - przywitał się, otwierając drzwi, bardziej z czekającym nań policjantem niż z Mareschim, który siedział na krześle z założonymi rękami. Policjant skinął głową, a Verlaque usiadł naprzeciwko swojego ulubionego sprzedawcy ubrań.

- Od razu przejdę do rzeczy - zaczął Verlaque - bo zbliża się pora kolacji. Czerwony lakier na boku pańskiego czarnego bmw pasuje do czerwonego lakieru pokrywającego drogi rower szosowy, który został potrącony na północ od Puyricard.

Zauważył, że ramiona Mareschiego opadły, a twarz się ściągnęła. Do tej pory Mareschi sądził, że trafił na policję z powodu naruszenia przepisów drogowych.

- Dlaczego potrafił pan rowerzystę? Damiena Petita, młodego człowieka, którego, jak sądzę, nigdy pan nie spotkał?

- To prawda, nigdy go nie spotkałem.

- Więc dlaczego zepchnął go pan z drogi?

- Jest mi winien pieniądze.

Verlaque zapytał:

- Jak to możliwe, że jest panu winien pieniądze, skoro nigdy się nie spotkaliście?

- Jego partner jest mi winien pieniądze.

- Powinien pan mówić o Cole'u Hainsbym w czasie przeszłym - on nie żyje.

Verlaque'owi wydawało się, że widzi strach w ciemnych oczach młodego człowieka.

- Ja go nie zabiłem.

- Doprawdy? To bardzo dobry motyw. Jaką kwotę od pana pożyczył?

- Sześćdziesiąt tysięcy euro.

Verlaque gwizdnął i odchylił się na krześle.

- To mnóstwo pieniędzy jak na ekspedienta.

Mareschi bez słowa wpatrywał się w stół.

Verlaque spróbował jeszcze raz.

- Kto dokładnie pożyczył Hainsby'emu te pieniądze?

Młody człowiek nadal milczał.

- Chce pan dodać morderstwo do listy swoich przestępstw? Już teraz jest imponująca...

- Nie zabiliśmy Hainsby'ego!

- „My”?

- Słyszeliśmy, że Amerykanin przekreślił się w kościele, że został otruty. My tego nie zrobiliśmy! On był nam winny

pieniądze!

- Więc próbowaliście zabić też jego partnera? - zapytał Verlaque. - Ku przestrodze dla innych? Czy dla równego rachunku?

- Nie! Chcieliśmy tylko odzyskać swoje sześćdziesiąt tysięcy. Niby jak mielibyśmy je odzyskać, gdyby obaj byli martwi?

- Jak taki miły człowiek, jak Cole Hainsby, znalazł takich typów, jak pan?

Mareschi nie odpowiedział, ale Verlaque przypuszczał, że pośredniczył w tym Alain Sorba. Wyobraził sobie, jak Cole Hainsby przychodzi do Sorby z prośbą o radę.

- Gdzie pan był w niedzielę po południu? - zapytał.

- Daleko od katedry - odparł Mareschi. - I mogę to udowodnić. We trzech - ja, Jean-Paul i Michel - pojechaliśmy do Marsylii na lunch. Jedliśmy w Miramar, może pan to sprawdzić. Wyszliśmy stamtąd około szesnastej i pojechaliśmy do kasyna w Aix. Graliśmy w karty do późnej nocy.

Verlaque skinął głową. Poprosi kogoś, żeby zadzwonił do miejscowej jaskini hazardu i sprawdził, czy Mareschi mówi prawdę.

- A tamtego dnia wcale nie próbowałem zabić Petita - zapewnił Mareschi. - Chciałem mu tylko przypomnieć...

- Żeby nie zadawał się z takimi ludźmi, jak pan?

- Hej! Jean-Paul zawsze powtarza, że tacy ludzie jak my pomagają innym. To dlatego ludzie do nas przychodzą i skomlą o pieniądze.

- Jean-Paul? Michel? Kogo ma pan na myśli, mówiąc „my”?

Mareschi odchylił się na krześle i zacisnął usta.

W drodze do domu Verlaque zadzwonił do Marine, ale połączył się z pocztą głosową. Szedł ulicą Gaston Saporta i już miał skręcić w lewo, w stronę domu, kiedy tuż obok katedry spostrzegł jednego z braci Orezza. Mężczyzna stał w drzwiach



ulubionego baru père Fernanda. Rozmawiał z kimś, kto znajdował się w środku, gniewnie przy tym gestykulując. Potem odwrócił się na pięcie i odszedł, kierując się w stronę obwodnicy. Verlaque przyśpieszył kroku, kiedy zobaczył, że osobą, na którą spadł gniew Orezzy, była Pierrette. Kiedy Verlaque dotarł do lokalu, kobieta stała już za kontuarem i wkładała szklane naczynia do małej zmywarki. Podeszedł do baru i usiadł na wolnym stołku, obok starszego mężczyzny z pożółkłymi wąsami, który pił pastis i czytał „La Provence”.

- Poproszę to samo - powiedział Verlaque, gestem wskazując pastis.

Staruszek usłyszał jego słowa i z uśmiechem uniósł szklankę.

- Za pastis w zimie - powiedział.

- Dzisiaj było prawie ciepło - odparł Verlaque i też się uśmiechnął.

- To prawda - powiedziała Pierrette, stawiając przed Verlakiem szklankę z alkoholem, miseczkę z kostkami lodu i karafkę wody.

- To dlatego, że nie było wiatru - dodał starszy mężczyzna i wrócił do swojej gazety.

- Orzeszki? - zaproponowała Pierrette.

- Jasne, dziękuję - odrzekł Verlaque. Obserwując Pierrette, pomyślał o Florence Bonnet i o jej odkryciu, że Sorba i père Fernand ostatnio się poróżnili. Dlaczego Sorbie tak bardzo zależało na stanowisku w zarządzie kapituły? To nie mogło przyciągnąć do szkoły większej liczby uczniów, gdyż rodzice byli w większości ekspatami. Pierrette postawiła przed Verlakiem miseczkę orzeszków ziemnych, a on wziął garść, nieco zdziwiony, że są świeże.

Dolał wody do pastis i wrzucił do szklanki dwie kostki lodu, zastanawiając się, czy Pierrette pamięta go z tamtego

wieczoru. Kobieta spojrzała na niego i po chwili wahania podeszła i położyła dłonie na wyłożonym linoleum barze.

- Słyszałam, że père Fernand może z tego wyjść - powiedziała.

A więc mnie pamięta - pomyślał Verlaque.

- Tak - odparł - nie jestem religijny, ale przyszło mi do głowy, żeby zapalić w kościele kilka świec w jego intencji.

- Ja też o tym myślałam - powiedziała. - I chociaż z wielu powodów jestem przeciwna temu, co głosi Kościół katolicki, trzeba przyznać, że czasem robi też coś dobrego.

Verlaque spojrzał na jej koszulkę z tęczą i wizerunkiem Fidela Castro i przytaknął skinieniem głowy. Pierrette ciągnęła:

- Zwłaszcza tacy księża, jak père Fernand.

Verlaque poszukał wzrokiem starego człowieka, ale nie było go przy barze. Po chwili wypatrył go na drugim końcu lokalu. Mężczyzna przyglądał się dwóm innym starszkom rozgrywającym partię szachów. Verlaque skorzystał z okazji, aby porozmawiać z Pierrette otwarcie.

- Przed chwilą widziałem tu jednego z braci Orezzów - powiedział. - Wyglądał, jakby pani groził. A może był po prostu wściekły...

Pierrette zerknęła w stronę starszych mężczyzn, a potem przeniosła wzrok na Verlaque'a.

- Dam sobie z nim radę.

- Obawiam się, że nie, Pierrette. - Na te słowa nieznacznie się od niego odwróciła, a Verlaque mówił dalej, bojąc się, że może stracić szansę na szczerą rozmowę. - W Aix dzieje się coś niedobrego. Jeden człowiek zginął w katedrze, a drugi został w niej postrzelony. Katedra znajduje się tuż obok, pani bar niemal do niej przylega.

- Zawsze podobała mi się ta ironia losu - odparła Pierrette. - Tak jak mojemu dziadkowi, który był komunistą i ateistą.

- Bracia Orezzaowie są powiązani z jednym z ludzi, którzy ucierpieli w tym kościele - ciągnął Verlaque. - Z amerykańskim biznesmenem. Ale co mają wspólnego z naszym przyjacielem w sutannie?

- *Père* Fernand mi pomagał - powiedziała szybko, cichym głosem. Potarła oczy i mruknęła: - Jestem tym wszystkim taka zmęczona.

Nalała sobie pastis i dodała o połowę mniej wody niż Verlaque do swojego drinka.

- Czego oni chcą? Jak pomagał pani *père* Fernand? - zapytał Verlaque.

- Chcą przejąć ten bar, oczywiście.

Verlaque wypuścił powietrze.

- Oczywiście. To świetna lokalizacja.

- Naprzeciwko Sciences Po, w którym bogate dzieciaki z burżuazyjnych rodzin uczą się o polityce - dopowiedziała. - I na trasie do ścisłego centrum, którą codziennie przemierzają setki nadzianych turystów.

- A pani nie chce go sprzedać?

- Nigdy w życiu - odrzekła. Rozejrzała się i dodała szeptem: - Gdzie by się podzieli ci wszyscy staruszkowie?

Verlaque miał ochotę zerwać się z miejsca i ją uścisnąć. Zamiast tego uniósł szklankę i wzniesli toast.

- A *père* Fernand się im postawił? - zapytał.

Mrugnęła dwa razy i skinęła głową.

- Byłaby pani gotowa zeznawać przeciwko nim? Możemy zapewnić ochronę pani i lokalowi.

Ponownie skinęła głową, tym razem z uśmiechem.

Staruszek wrócił na swoje miejsce przy barze i powiedział:

- Oni będą grali do rana. Proszę mi nalać jeszcze jeden pastis, umili mi oczekiwanie na partię ze zwycięzcą.

- Już się robi, panie Yannicku - powiedziała Pierrette.

Verlaque dopił swojego drinka i położył na barze kilka monet.

- Do zobaczenia - powiedział.

Pierrette skinęła głową i zajęła się drinkiem Yannicka, a Verlaque wyszedł, nie mogąc się doczekać spotkania z Marine.

Po powrocie do domu zastał ją w pomieszczeniu na poddaszu, w którym urządziła sobie biuro, w otoczeniu książek pozdejmowanych z półek. Usiadł w fotelu i obserwował, jak Marine przegląda półki, od czasu do czasu wyjmując książki albo przesuwając je tak, żeby przez szparę w środku rzędu zobaczyć, co jest za nim.

- Wiedziałam, że pewnego dnia będę żałować tego ustawienia - powiedziała, nawet się nie odwracając.

- Chcesz powiedzieć, że na każdej z tych półek są dwa rzędy książek? - zapytał Verlaque. - Jeden z przodu i drugi za nim?

- Tak. Przynajmniej są z grubsza uporządkowane tematycznie. Kiedy odeszłam z uniwersytetu i opróżniłam swój gabinet, sądziłam, że będę miała mnóstwo czasu na uporządkowanie książek.

- Domyślam się, że szukasz czegoś, co jest potrzebne do twojej książki - powiedział Verlaque, po czym podniósł się i przeciągnął. - Mam ochotę na kieliszek wina. A ty?

- Nie, dziękuję.

Verlaque popatrzył na Marine z uniesionymi brwiami.

- Słucham? Nie chcesz wina?

- I nie szukam tej książki dla siebie - Marine zmieniła temat.

- To dla ciebie. W związku z twoją sprawą.

Verlaque z powrotem usiadł.

- Brzmisz jak twoja matka.

Marine roześmiała się, a potem pstryknęła palcami.

- Bingo!

Sięgnęła w głąb półki i wyjęła książkę. Trzymała ją w uniesionej dłoni i machała nią w powietrzu. Była to cienka książeczka w pożółkłej, miękkiej okładce. Marine pocałowała Verlaque'a, a potem usiadła przy biurku, otworzyła książkę i zaczęła pośpiesznie ją kartkować w poszukiwaniu spisu treści.

- Co to za książka? - zapytał Verlaque, zaintrygowany.

- Włoskie opowiadania z XIX i początku XX wieku.

- Ożeniłem się z tobą częściowo z powodu twoich upodobań literackich.

- O, jest - wymamrotała, ignorując jego żart. - Strona 145. „Wielebny Orzeszek” Luigiego Capuany. To sycylijski pisarz, urodzony w Katanii w 1839 roku.

- To jest po włosku czy w przekładzie na francuski?

- Po francusku - powiedziała, przewracając strony. - Mój włoski był wtedy za słaby. Kupiłam tę książkę w gimnazjum.

Verlaque uśmiechnął się, zdumiony, że poślubił kobietę, która kupowała takie książki przed ukończeniem szesnastego roku życia.

- Zaczekaj, przyniosę sobie kieliszek wina. Na pewno niczego nie chcesz?

- Nie, dziękuję - powtórzyła Marine. - Tylko się pośpiesz.

- Dobrze, dobrze - zawołał Verlaque ze schodów. Kilka minut później wrócił na poddasze, niosąc duży kieliszek wina o słomkowej barwie. Usiadł, upił łyk i oznajmił:

- Jestem gotowy.

Marine powiedziała:

- „Orzeszek” to przezwisko młodego bohatera tego opowiadania, Lucia, który był wcześniakiem. Położna podniosła go i powiedziała: „Jest malutki jak orzeszek”. To przezwisko do niego przyłgnęło.

- Nawet kiedy został księdzem?

- Tak - odparła Marine.

- Czyli chodzi o père Fernanda? Posłuchaj, mam pewne informacje na jego temat...

- Nie. Chodzi o Lucia Jakiegośtam - imię wytatuowane na przedramieniu Vittorii Romano. Jest tam również mały orzech włoski.

- Ja też go zauważyłem. Wyglądał bardzo dziwnie... Słuchaj, Marine - powiedział Verlaque, unosząc dłoń. - Myliłem się co do znaczenia tatuażu. Za tym wszystkim stoją bracia Orezza i Alain Sorba.

Opowiedział jej historię Pierrette. Marine odchyliła się na krześle i westchnęła.

- Myślę, że tatuaż to lepszy trop.

Verlaque parsknął.

- Wielebny Orzeszek? - upił duży łyk wina.

- Naprawdę myślisz, że drobni przestępcy w rodzaju braci Orezza mogliby do kogoś strzelić? W kościele? Tylko dlatego, że chcą kupić bar?

- Wydaje mi się to bardziej prawdopodobne niż historia o orzeszku. Właścicielka baru właśnie potwierdziła...

- Włosi są w to w jakiś sposób zamieszani - powiedziała Marine i potarła oczy.

Verlaque wiedział, że był dla niej niemiły. To on wysłał Marine na tę bezsensowną eskapadę, a ona się zgodziła, chociaż przez telefon wydawała się bardzo zmęczona.

- Jak udało ci się zobaczyć jej tatuaż? Było trudno?

- Tak - odparła. Nie powiedziała mu, że kiedy do niej zadzwonił, usiłowała zmyć grubą warstwę makijażu, który Margaux nałożyła jej na twarz. Jakkolwiek ów występ w przebraniu i odgrywanie roli przed Sorbą bardzo jej się podobały, czuła się wyczerpana. To trochę jak praca wykładowcy - pomyślała - kiedy czujesz na sobie dziesiątki młodych oczu.

- Na dworze jest zimno - ciągnęła - więc kobieta miała na sobie sweter z długim rękawem. Kupiłam ser i poprosiłam o szklankę wody, którą ona uprzejmie mi podała. Wtedy umyślnie wylałam trochę wody na jej przedramię. Co robisz, kiedy pomoczysz rękę, mając na sobie ubranie z długim rękawem?

Verlaque odstawił kieliszek i spojrzał na swoją prawą rękę. Potrząsnął nią i odruchowo podciągnął rękaw marynarki.

- Sprytnie - pochwalił ją ze śmiechem.

- Chwyciłam papierowe serwetki, które leżały na kontuarze, i zaczęłam wycierać jej przedramię - opowiadała Marine. - Właśnie wtedy zobaczyłam orzech włoski - z charakterystycznymi pofałdowaniami - oraz imię. Przypomniało mi się to opowiadanie, bo jej bohater ma na imię tak samo - Lucio.

- Przypomniałaś sobie to wszystko z powodu imienia Lucio? - zapytał Verlaque, który wątpił, że to dziwaczne opowiadanie może mieć istotne znaczenie dla sprawy, ale nie chciał urazić Marine.

- Tak, dlatego że Lucio stał się jednym z moich faworytów.

- Faworytów?

- Ulubionych imion. Wiesz, kiedy nastolatki wybierają imiona dla swoich przyszłych dzieci.

- Nic o tym nie wiem. - Verlaque wziął łyk wina i patrzył na Marine znad kieliszka. Zamknęła książkę i trzymała ją w dłoniach, wachając papier z zamkniętymi oczami.

- Czy miałaś jakieś inne ulubione imiona? - zapytał cicho.

- Rosa - odrzekła.

## 28.

Verlaque spotkał Paulika na schodach Pałacu Sprawiedliwości. Przywitał się z nim uściskiem dłoni i powiedział:

- W większość dni przychodzimy do pracy równocześnie.

- Telepatia - odparł Paulik z uśmiechem.

- Nie, to znaczy, że jestem od ciebie wolniejszy, skoro moje mieszkanie jest oddalone o trzy minuty spacerem, a twój dom - o kwadrans jazdy samochodem.

- Szczerze mówiąc, posiadanie dziecka bardzo w tym pomaga - powiedział Paulik. - Léa zaczyna szkołę o ósmej.

- Prawda, zapomniałem - odrzekł Verlaque.

- Flamant przysłał mi wiadomość - oznajmił Paulik. - Przyjechał do pracy bardzo wcześnie i dowiedział się jeszcze czegoś o tej włoskiej rodzinie.

- Zapomnij o tym - powiedział Verlaque, otwierając drzwi i przepuszczając komisarza. - Père Fernand pomagał właścicielce małego baru obok Saint-Sauveur odeprzeć atak braci Orezzów, którzy próbowali ją zastraszyć, żeby sprzedała im swój lokal.

- Och, więc père Fernand znowu się w coś zaangażował. Próbował pomóc tej biedaczce.

- Tak, ta kobieta nazywa się Pierrette Lapierre.

- Co takiego? - zdziwił się Paulik. - Ma słowo Pierre w imieniu i w nazwisku, biedactwo.

- Wiem, Bruno - odparł Verlaque i uśmiechnął się mimo woli.

- Czy ona jest gotowa zeznawać?



- Tak. - Verlaque pomyślał o tatuażu Vittorii Romano, o imieniu Lucio i o orzechu włoskim, ale nie wspomniał o tym Paulikowi. Wszystko to wydawało się mało istotne w porównaniu z Pierrette i groźbami braci Orezzów, których był naocznym świadkiem poprzedniego wieczoru.

- Czy Mlle Lapierre wie na pewno, że jeden z braci Orezzów strzelał do *père* Fernanda?

- Nie.

- W jaki sposób otruli Cole'a Hainsby'ego? - zapytał Paulik, kiedy wchodzili po schodach.

Verlaque przystanął i spojrzał na komisarza. Zanim zdążył odpowiedzieć: „Nie wiem”, wpadli na sędziego z Marsylii, przywitali się z nim uściskiem dłoni i wymienili uprzejmości. Sędzia - szczupły, wymizerowany mężczyzna z siwymi włosami i orlim nosem - był wielbicielem starych samochodów. Zapytał Verlaque'a o jego porsche.

- Jest w warsztacie - odparł Verlaque. - Chyba będę musiał podjąć decyzję, z którą mierzą się wszyscy właściciele starych samochodów: czy mam utopić w nim fortunę, czy też go sprzedać i kupić nowszy model? Wczoraj wieczorem siedziałem do późna - paliłem cygaro i spisywałem listę wszystkich „za” i „przeciw”.

Sędzia życzył Verlaque'owi powodzenia i pożegnał się - musiał wracać do Marsylii.

Paulik zachichotał, kiedy razem z Verlakiem ruszyli dalej.

- Hélène i ja też robimy takie listy. Ale ostatnią spisaliśmy bardzo dawno, jakieś dwanaście lat temu.

- To rzeczywiście dawno - powiedział Verlaque. - Widocznie podejmowanie decyzji przychodzi wam łatwiej niż mnie.

- Wtedy próbowaliśmy zdecydować, czy powinniśmy mieć dzieci. Rozmawialiśmy o tym przez pięć lat, odkąd się pobraliśmy.

To nie była łatwa decyzja. A może raczej powinienem powiedzieć – to była decyzja, której nie traktowaliśmy lekko.

Verlaque skinął głową i wymamrotał:

- *Merci.*

Czuł się trochę przytłoczony nadmiarem informacji. Paryżanin nigdy nie byłby taki bezpośredni. Nie musiał pytać Brunona Paulika, czy decyzja, którą podjęli, była dobra. Paulikowie uwielbiali swoją córkę, podobnie jak on sam.

- Spotkamy się za kilka minut – powiedział nagle Verlaque.

- Dobrze – odparł Paulik, mając nadzieję, że nie sprowadził rozmowy na zbyt osobiste tory. – Będę z Flamantem, gdybyś mnie potrzebował.

Verlaque odwrócił się i ruszył do swojego gabinetu. Po wejściu zamknął drzwi i sięgnął po telefon.

- *Oui, cheri?* – Marine odebrała po pierwszym sygnale. Verlaque nie mógł tego zobaczyć, ale jego żona stała w kuchni z uśmiechem na twarzy.

- Sprawdziliśmy – mężczyzna, który zginął w pożarze magazynu w Etiopii, Vito Giraldi, nie był spokrewniony z żadną z osób prowadzących stoisko z Perugii.

- Vittoria Romano nigdy nie wyszła za mąż?

- Nie.

Marine przez chwilę milczała. Verlaque słyszał jej oddech.

- Nazwisko panięskie mojej matki brzmiało Ardevol... – powiedziała.

- Tak...

- Kiedy byłam małą, ona czasami żartowała, że Bonnet i Ardevol to strasznie nudne nazwiska w porównaniu z nazwiskiem jej dziadka ze strony matki.

- Czyli?

- Voltaire

Verlaque parsknął śmiechem.

- Żadnego pokrewieństwa ze słynnym filozofem, jak przypuszczam?

Usłyszał uśmiech w głosie Marine, kiedy odrzekła:

- Żadnego. Ale na pewno rozumiesz, do czego zmierzam... nazwiska mogą sięgać kilku pokoleń wstecz.

- Warto spróbować. Dziękuję. - Rozłączył się i niemal wybiegł ze swojego gabinetu. Przeszedł korytarzem, a potem zszedł po schodach prosto do pomieszczenia, w którym Flamant siedział zgarbiony przed komputerem.

Flamant zauważył Verlaque'a i zerwał się z krzesła, przywołując go ruchem dłoni.

- Coś nowego? - zapytał Verlaque, siadając na krześle.

- Właśnie znalazłem związek między Elite Clothing i tymi ludźmi z Perugia - odparł Flamant. - Czekaliśmy z wyjaśnieniem na pana przyjście.

- Czy ogniwem łączącym jest Vittoria Romano? - zapytał Verlaque, niemal bez tchu.

- Tak - odrzekł Flamant. - Vito Giraldi był jej dziadkiem ze strony matki.

- To ten człowiek, który zginął w pożarze - powiedział Paulik.

- Właśnie ten - potwierdził Flamant. - Nie zauważyłem tego powiązania od razu, bo ich nazwiska są różne. Firma została zamknięta - jak już wiecie - a jej ojciec popadł w depresję i popełnił samobójstwo.

- Ach - wymamrotał Verlaque.

- Jego syn, Lucio Romano, też się stoczył. Z małymi przerwami spędza czas w więzieniu w Bari.

- Lucio? - zapytał Verlaque, myśląc o tatuażu. Marine należały się przeprosiny. Nie, raczej szampan. Tylko że ona ostatnio najwyraźniej nie miała ochoty na wino.

- Tak - odparł Flamant.

- Jak ci się udało dokopać do tego wszystkiego w tak krótkim czasie? - chciał wiedzieć Paulik.

- Ten Tłumacz Google jest niesamowity - odrzekł Flamant, bez powodzenia usiłując stłumić ziewnięcie. - Z początku, kiedy szukałem tylko imion i nazwisk, było to bardzo łatwe. Ale kiedy te nazwiska zaczęły się pojawiać w lokalnych włoskich gazetach, tłumaczyłem całe artykuły. To mnie doprowadziło do rodziny Romano, a później skontaktowałem się z Interpołem i z *carabinieri* w mieście Bari, żeby potwierdzić wszystkie informacje.

Verlaque pomyślał o pracownicy magistratu, której nie spodobały się pytania Flamanta o najemców stoisk.

- Czy to możliwe, że Matteo Ricci to tak naprawdę Lucio Romano? - zapytał, nie mogąc przestać myśleć o tatuażu Vittorii Romano.

Flamant potrząsnął głową.

- Mnie też to przyszło do głowy, bo nie mogę sobie wyobrazić Vittorii strzelającej do księdza, zwłaszcza z daleka. Ale nie, Matteo Ricci naprawdę istnieje, i chyba jest jej chłopakiem. - Uniósł palec. - Ale - ciągnął - jeszcze trochę poszperałem i odkryłem, że Matteo i Lucio są najlepszymi przyjaciółmi. Jeden z policjantów z Bari mi o tym powiedział. Wszyscy ich znają.

- Oto motyw Mattea Ricci - powiedział Paulik.

- Wezwijmy najpierw ją, a dopiero potem jego - zaproponował Verlaque, patrząc na Paulika. - Co o tym myślisz?

- Doskonale - odparł Paulik, biorąc do ręki telefon. Poinstruował innego policjanta, żeby zaczekał na Vittorię Romano na jej stoisku i kiedy tylko się pojawi, przywiózł ją do Pałacu Sprawiedliwości. Rozłączył się i powiedział:

- Flamant, jedź do domu i trochę się prześpij albo zrób sobie drzemkę na dole, w pokoju wypoczynkowym.

- Tak jest - odrzekł Flamant i znowu ziewnął.

- Te nowe informacje nie ułatwiają sprawy, prawda? - zapytał Paulika Verlaque po wyjściu Flamanta. - Zanim tu przyszedłem, byłem przekonany, że to bracia Orezzaie są odpowiedzialni za zamach na père Fernanda i za przypadkowe zabójstwo Cole'a Hainsby'ego.

- Czy właścicielka baru będzie zeznawać przeciwko nim? - zapytał Paulik.

- Tak, wczoraj wieczorem zgodziła się zeznawać.

- Nie możemy ich oskarżyć o morderstwo tylko dlatego, że jej grozili.

- Przynajmniej możemy ich powiązać z próbą przejechania rowerzysty.

- Niestety tylko jednego z nich - zauważył Paulik. - I nie jest to żaden z braci Orezzaów.

Marine zaparzyła sobie herbaty i niosła ją na górę, na poddasze, kiedy usłyszała dźwięk domofonu. Spojrzała na zegarek, zaskoczona i poirytowana, że ktoś może sprzedawać bezużyteczne produkty, ubezpieczenia albo abonament telefoniczny przed dziesiątą rano.

- *Oui?* - powiedziała do słuchawki domofonu, próbując nadać swojemu głosowi szorstkie brzmienie.

- Mme Bonnet? - odezwał się kobiecy głos. - Przepraszam, że panią niepokoję. Czy mogłabym z panią porozmawiać? Och, przepraszam, mówi France. France Dubois.

- Proszę wejść, France. Czwarte piętro, ostatnie. - Szybko napełniła czajnik wodą, postawiła go na kuchence i zapaliła gaz. Była lekko rozdrażniona. Planowała poprawić rozdział książki, a zaraz po lunchu miała wizytę u lekarza. Lubiła jednak France i była ciekawa, co ją sprowadza.

France dotarła pod jej drzwi i kobiety przywitały się nieśmiało *bises*.

- Proszę mi mówić Marine - poprosiła Marine, odsuwając się, aby France mogła wejść do mieszkania. - Mme Bonnet to moja matka.

France zachichotała.

- Pani matka to dla mnie profesor albo doktor Bonnet - powiedziała. - Ale dobrze, Marine. To pani matka podała mi adres. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.

- Ależ nie - zapewniła Marine, choć niezupełnie tak było. Lokalizacja ich mieszkania - na małej, ślepej uliczce - była znana niewielu osobom poza bliskimi przyjaciółmi i członkami rodziny.

- Chodźmy do kuchni, zrobię herbatę.

France podążyła za Marine, podziwiając marmurowe blaty i drogie niemieckie sprzęty, które dotąd widywała tylko w czasopismach.

- Mam gdzieś trochę herbatników LU - powiedziała Marine, otwierając szafkę. - O ile mój mąż wszystkich nie wyjadł.

France zaśmiała się uprzejmie, z łatwością wyobrażając sobie, jak Antoine Verlaque potajemnie wyjada ciastka. Miała poczucie, że zna go lepiej od czasu ich rozmowy przy pomniku króla Rene. Wcale nie był tak groźny, jak mówiono w Aix.

Marine zaparzyła więcej herbaty i zaniósła ją do salonu, podczas gdy France niosła kubek dla siebie i herbatniki, które Marine znalazła i ułożyła na talerzu.

- Przepraszam za ten zapach cygara, France - powiedziała Marine. - Najwyraźniej mój mąż siedział do późnej nocy i palił.

- Och, nawet lubię ten zapach, zawsze go lubiłam - odparła France z uśmiechem. - Ojciec mojej mamy palił kubańskie cygara.

France rozglądała się po salonie i jadalni. Marine pomyślała, że zachowywała się podobnie podczas pierwszej wizyty w mieszkaniu Antoine'a.

- Czy jest prawdziwy? - zapytała France i wskazała obraz olejny przedstawiający Wenecję, który wisiał obok stołu w jadalni.

- Nie - odparła Marine, uśmiechając się i nalewając France herbaty. - To znaczy tak, to jest autentyczny obraz z XVIII wieku, ale namalowany przez artystę ze szkoły Canaletta, a nie przez niego samego.

Marine spojrzała na niewielki obraz olejny, dobrze wiedząc, że choć jest bardzo piękny, to duża czarna abstrakcja w ich sypialni, namalowana przez Pierre'a Soulages'a około 1983 roku, ma dużo większą wartość niż krajobraz Giudekki autorstwa ucznia znanego malarza.

- Wow! - wykrzyknęła France. - Pewnie zastanawia się pani, dlaczego tu jestem.

- To pytanie przyszło mi do głowy. Chciałaby pani porozmawiać o kimś z Jarmarku Miast Partnerskich?

- O więcej niż jednej osobie - odparła France. - Nie jestem pewna, od czego zacząć.

- Może od tego, co jest najtrudniejsze?

France podmuchała na swoją herbatę. Herbata zaparzona przez kogoś innego jest dużo lepsza niż ta zrobiona w domu - pomyślała.

- Dobrze. Opowiem pani o Jasonie Millerze. Wiem od Anny, że pani o niego pytała. O to, co się wydarzyło.

Marine skinęła głową.

- Obserwowała go pani.

- Chciałam go tylko zmusić, żeby zastanowił się nad tym, co zrobił. Chciałam, żeby miał wyrzuty sumienia.

- Co on zrobił, France? - zapytała Marine, pochylając się ku niej.

France westchnęła.

- W zeszłym roku chodził za mną po Place de Cardeurs. Pewnego razu złapał mnie za jednym z namiotów i zaczął się do mnie dobierać. Innym razem mogłabym przysiąc, że śledził mnie w drodze do domu.

- Dlaczego pani tego nie zgłosiła?

- Bo tak naprawdę on nie zrobił niczego wielkiego.

Marine ponownie skinęła głową.

- I zwierzyła się pani Annie?

- Tak - odrzekła France. - Ona zauważyła, co się dzieje, i zapytała mnie o to. Jest bardzo miła.

- A Cole Hainsby? - zapytała Marine. - Czy naprzykrzał się pani w podobny sposób?

- M. Hainsby? Ależ skąd! Poznałam go dopiero przed koncertem kolęd.

Marine odetchnęła z ulgą.

France mówiła dalej.

- Pani mąż sądził, że mogłam chcieć go zabić z powodu moich rodziców. Ale to by niczego nie zmieniło, prawda?

- Nie.

- Siostra Jasona Millera mówi, że nie przyjadą w przyszłym roku, więc problem sam się rozwiąże.

- Naprawdę? Dlaczego nie przyjadą? Nie, żeby mnie to martwiło.

- Powiedziała, że wynajem stoiska jest za drogi, a oni mają dużo pracy u siebie.

- A ta druga sprawa, o której chciała pani porozmawiać? - zapytała Marine i wzięła ciastko, choć tak naprawdę wcale nie miała na nie ochoty.

- Chodzi o Włochów - odparła France. - Tych z Perugii. Myślę, że M. Verlaque powinien wiedzieć.

- Proszę mówić.



- Po pierwsze, oni wcale nie są z Perugii. - France wyprostowała się, zadowolona z informacji, jakie udało jej się zdobyć.

- Kiedyś jeździłam do Perugii z rodzicami. Mówię trochę po włosku...

Marine uśmiechnęła się. Bratnia dusza - pomyślała. France mówiła dalej.

- Pytałam ich o Perugię, z początku zupełnie niewinnie. Cieszyłam się, że mogę porozmawiać z kimś z tego miasta. Ale okazało się, że niewiele o nim wiedzą, więc później zadałam im kilka szczegółowych pytań, żeby złapać ich w pułapkę. Udało się. Za każdym razem udzielili błędnej odpowiedzi.

Marine poczuła niepokój.

- Czy oni się zorientowali?

- Och, nie, byłam bardzo dyskretna. To łatwe, bo większość ludzi mnie nie zauważa.

Marine chciała zaprotestować, ale France machnęła ręką.

- Pomyślałam, że powinna pani powiedzieć mężowi o Włochach, skoro prowadzi śledztwo w sprawie tych morderstw. Nie twierdzę, że są winni, ale na pewno kłamią. Poza tym... może to nieistotne, ale pierwszego dnia, kiedy poszłam się z nimi przywitać i zapytać o kolację po koncercie kolęd, mieli na stoisku mnóstwo porozwieszanych zdjęć. Wie pani, wszyscy tak robią. Kilka fotografii przedstawiało jego, tego mężczyznę, na polowaniu. Trzymał dużą strzelbę, a u jego stóp leżał zabity dzik. Do fotografii były przymocowane jakieś odznaki.

- To nic niezwykłego, France - powiedziała Marine. - Myślistwo jest popularne we Włoszech, podobnie jak tutaj.

- Tak, wiem. Ale kiedy znowu tam poszłam, już po zamachu na *père* Fernanda, tych zdjęć już nie było.

- To rzeczywiście ciekawe... - Marine podsunęła France talerz z ciastkami. - Proszę się częstować, zanim mój mąż

wszystkie pochłonie.

Paulik włączył dyktafon. Verlaque siedział po jego lewej ręce, a umundurowany funkcjonariusz stał za nimi, tyłem do ściany. Vittoria Romano bawiła się paczką papierosów. Verlaque pamiętał, jak Marine relacjonowała mu kłótnię włoskiej pary w restauracji, i był zadowolony, że tym razem Vittoria Romano jest sama. Wiedział też, że jest winien Marine przeprosiny za poprzedni wieczór - za to, że zbagatelizował jej hipotezę dotyczącą włoskiej pary i wytatuowanego orzecha.

- Zaczniemy od początku - powiedział Paulik. - Kto wpadł na pomysł, żeby dodać pokruszony paracetamol do posiłku père Fernanda?

Vittoria milczała. Verlaque widział, że dosłownie gryzie się w język.

- Trzeba było zrobić to szybko - ciągnął Paulik. - Przy bufecie panowało duże zamieszanie. Ale nie mogliście wiedzieć, że père Fernand ustawi się w kolejce za człowiekiem znanym z roztargnienia i nieuważności. Cole Hainsby zdołał zabrać talerz père Fernanda, a później rozchorował się i umarł jeszcze tego samego wieczoru. Potrzebowaliście więc planu B, i to szybko. Matteo Ricci jest myśliwym. W Prowansji są doskonałe warunki do polowania, zwłaszcza o tej porze roku, więc Matteo miał ze sobą strzelbę.

- Ricci wygrał wiele konkursów myśliwskich - dodał Verlaque. - Rozmawialiśmy z jego kolegami myśliwymi, którzy potwierdzili, że świetnie strzela z daleka.

Verlaque blefował. Tuż przed rozpoczęciem przesłuchania dostał esemesa od Marine z wiadomością przekazaną przez France Dubois.

Vittoria Romano objęła rękoma głowę.

Paulik mówił dalej.

- Najpierw pani dziadek, potem ojciec, a teraz brat. Wszyscy oni - pani zdaniem - padli ofiarą działań père Fernanda.

Nadal na nich nie patrzyła. Poprzedniego wieczoru Verlaque do późna czytał opowiadanie Luigiego Capuany, dopalając cygaro. Nawet nie przypuszczał, jak użyteczne okaże się to opowiadanie. Intuicja i doskonała pamięć Marine jak zwykle nie zawiodły. Teraz spróbował innej taktyki.

- Orzech włoski - powiedział. - Pani brat, Lucio. Był wcześniakiem, prawda? Nazwano go imieniem bohatera opowiadania Capuany, czyż nie? A pani go chroniła jak siostra Celeste w tym opowiadaniu. Ale w odróżnieniu od jego bohatera Lucio nie został księdzem, aby nadać swemu życiu sens, lecz zajął się drobną przestępczością. I podobnie jak Lucio z opowiadania Capuany, pani brat zawsze dawał się wykorzystywać. Jest zbyt potulny i dobroduszny. Większym oszustom łatwo go było wrobić. Dlatego Lucio obrywa za innych i co chwila trafia do więzienia.

Vittoria siedziała ze spuszczoną głową, wpatrując się w blat stołu.

- Idź do diabła ze swoją historią o orzechu - wyszeptała po włosku.

- Jeśli Vittoria Romano nie zacznie mówić - powiedział Verlaque, idąc obok Paulika piętnaście minut później - to porozmawiamy sobie z Matteo Riccim. Facet musi wychodzić z siebie, zastanawiając się, dlaczego wciąż ją trzymamy

- Im dłużej będziemy ją trzymać - odparł Paulik - tym bardziej nerwowy stanie się Ricci.

Verlaque polecił:

- Wyślij ekipę, niech przeszuka jego stoisko. Jeśli jest zapalonym myśliwym, to może nie potrafi się rozstać ze swoją strzelbą.

- Chociaż milion razy łatwiej byłoby ją wrzucić do morza - rzekł Paulik. - Ale zgadzam się z tobą.

Kiedy dotarli na jarmark, Ricci nakładał do plastikowego pojemnika świeży makaron dla pary elegancko ubranych

starszych aixańczyków. Verlaque obserwował mężczyznę, który pomimo uśmiechu na twarzy nie przypominał pozostałych przedstawicieli miast partnerskich. Nie wkładał serca w to, co robił. Verlaque zastanawiał się, czy mógł to zauważyć wcześniej - zanim poznał historię magazynu z odzieżą w Etiopii.

Starsza para odeszła. Ricci zauważył Verlaque'a i Paulika.

- Gdzie jest Vittoria? - zapytał toporną francuszczyzną.

- Zostanie u nas trochę dłużej - odparł Paulik. - A tymczasem chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

- Jestem zajęty.

Verlaque odwrócił się. Przy stoisku nie było nikogo innego.

- W tej chwili nie ma pan żadnych klientów - powiedział. - To nie zajmie dużo czasu.

- Usunął pan fotografie z polowań i swoje medale - zaczął Paulik.

Ricci wzruszył ramionami.

- Dzisiaj wielu ludzi jest przeciwnych polowaniom. Pomyślałem, że tak będzie lepiej.

- Możemy je zobaczyć?

- Wyrzuciłem je.

- Wyrzucił pan medale i swoje zdjęcia z wygranych konkursów łowieckich? - zapytał Verlaque. - To dziwne.

- Może dla pana.

- Pański pokój w hotelu i furgonetka są właśnie przeszukiwane - poinformował go Verlaque.

- Bez nakazu? - zapytał Ricci, patrząc mu prosto w oczy.

- Jako sędzia nie potrzebuję nakazu - odparł Verlaque.

Ricci wzruszył ramionami.

- I dobrze. Niczego pan nie znajdzie.

- Radzę panu zamknąć na dzisiaj. Nasz zespół jest już w drodze, żeby przeszukać pańskie stoisko.

- Już tu są - powiedział Paulik, odwracając się w kierunku dwóch samochodów policyjnych, które zaparkowały na końcu placu.

- Zatrzymamy Mlle Romano do czasu, gdy policjanci zdadzą nam raport z przeszukania pańskich rzeczy.

Verlaque i Paulik odwrócili się na pięcie i odeszli, zanim Ricci zdążył odpowiedzieć. Usłyszeli, jak klnie pod nosem i z głuchym odgłosem odkłada nóż. Zapalił papierosa i wyszedł z namiotu. Oparł się o maszt i obserwował, jak sześciu policjantów wchodzi do środka i zabiera się do pracy. Verlaque i Paulik z drugiej strony namiotu obserwowali, jak policjanci w białych rękawiczkach ostrożnie podnoszą przedmioty - bloki sera, kartony plastikowych naczyń i sztuczków - oglądają je, obracając je w dłoniach odzianych w rękawiczki, a potem odkładają z powrotem. Oczywiście Verlaque'a skanowały wnętrza stoiska w poszukiwaniu długiego, cienkiego przedmiotu, który mógłby skrywać strzelbę. Kołysał się na piętach, aby nie zmarznąć. Marzył o serwowanym przez Włochów espresso marki Illy. Policjanci kontynuowali przeszukiwanie, a po piętnastu minutach jeden z nich rzucił Paulikowi zrezygnowane spojrzenie.

- *Merde* - zaklął szeptem Paulik. Verlaque zerknął na Ricciego, który palił trzeciego lub czwartego papierosa i grał w jakąś grę na swoim telefonie.

Verlaque omiół spojrzeniem całą scenę, od góry i boków stoiska po jego wnętrze - od tylnej ściany po kontuar na przedzie. Później przeniósł wzrok na zewnątrz, na prowizoryczny bar, jaki urządziła większość sprzedawców z miast partnerskich (z wyjątkiem tych z Bath i z Kartaginy) - miejsce, w którym klienci mogli zjeść, a przynajmniej odstawić swoje napoje.

- Bruno, czy zauważyłeś, że kolumny wyglądają jakoś inaczej? - zapytał.

Paulik był zaskoczony, że sędzia użył jego pierwszego imienia.

- Tak - odparł. - Na jednej z nich brakuje blatu.

- Tak właśnie myślałem - powiedział Verlaque.

Paulik podszedł do stoiska i zamienił kilka słów z jednym z pracujących wewnątrz policjantów. Ten zwrócił się do swojej koleżanki i coś powiedział, po czym oboje wyszli z namiotu. Kobieta ruszyła w kierunku zaparkowanego na placu samochodu policyjnego. Po minucie wróciła z kilofem. Matteo Ricci podniósł wzrok znad telefonu i jego twarz w jednej chwili zbladła. Policjanci ostrożnie położyli kolumnę na boku, a kobieta zaczęła delikatnie uderzać kilofem w jej górną część. Verlaque podszedł, aby się temu przyjrzeć, a Paulik powiedział szeptem:

- Góra wygląda, jakby ktoś ją niedawno zagipsował.

Verlaque odparł, również szeptem:

- Zniszczył blat - celowo albo przez przypadek - próbując dostać się do środka.

Paulik skinął głową. Obserwowali, jak policjantka delikatnie odłupuje kawałki gipsu, a jej kolega bierze je w dłonie odziane w rękawiczki i odkłada na bok. Ostatnim uderzeniem kobieta oderwała duży kawał gipsu z górnej części kolumny, a Paulik powiedział:

- W porządku, wystarczy.

Postawili kolumnę pionowo, a Paulik nachylił się, sięgnął do środka i wyciągnął strzelbę. Ricci odwrócił się, aby uciec, ale nie miał szans. Za nim stało czterech policjantów, z których jeden miał już przygotowane kajdanki.

## 29.

Zaraz po powrocie do Pałacu Sprawiedliwości Verlaque zadzwonił do Debry Hainsby. Ku jego uldze kobieta odebrała po drugim sygnale, a on opowiedział jej o Włochach i wyjaśnił, że Cole nie był celem zabójcy. Słyszał ciężki oddech Debry, potem gwałtowny wdech, a później już nic.

- Jest tam pani, *madame*? - zapytał.

- Tak - odparła niemal szeptem.

- Czyli pani mąż nie zrobił nic złego.

- Poza typowym dla siebie roztargnieniem - powiedziała. - Po prostu zjadł z niewłaściwego talerza.

- Bardzo mi przykro.

Pociągnęła nosem i powiedziała:

- Dziękuję, że pan zadzwonił.

- Jak się pani czuje? A dzieci?

- Mary spędza całe dni z głową w książkach, a Sean nie wychodzi ze swojego pokoju - odrzekła Debra. - Ale w przyszłym tygodniu zaczynają nową szkołę. Myślę, że to im pomoże. Mam też dobre wiadomości...

- Naprawdę?

- Za dwa tygodnie zaczynam nową pracę - powiedziała. - w HeliIndustries.

- To wspaniale!

- Tak, jestem bardzo podekscytowana. Zamieścili ogłoszenie w internecie, a ja na nie odpowiedziałam. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej powiedzieli, że zrobiłam na nich dobre wrażenie, kiedy odwiedziłam ich siedzibę jakiś czas temu z... Alainem Sorbą.

Verlaque uśmiechnął się, ciesząc się z jej sukcesu. Wiedział, że Debra się nie przechwala, tylko pragnie się z kimś podzielić radosną nowiną.

- To świetna firma. Jeszcze raz gratuluję - powiedział.

Przed pożegnaniem zażartowali na temat przypadkowego spotkania w kawiarni naprzeciwko Pałacu Sprawiedliwości. Verlaque nie powiedział jej o związkach Alaina Sorby z braćmi Orezzo ani o ich groźbach pod adresem Damiena i Pierrette. Debra Hainsby miała wystarczająco dużo na głowie, a poza tym z jakiegoś powodu, którego Verlaque nie potrafiłyby wytłumaczyć, pękało mu serce na myśl o Mary i Seanie (choć nigdy ich nie spotkał). Rozłączył się, a potem ku swemu zadowoleniu ujrzał w drzwiach gabinetu Paulika.

- Espresso? - zaproponował komisarzowi.

Po wyjściu z gabinetu swojego lekarza na rue Espariat Marine wpatrywała się w Place d'Albertas po drugiej stronie wąskiego deptaku, a jej oczy próbowały przywyknąć do popołudniowego słońca. Był to niewielki plac, z trzech stron otoczony rzędami budynków, z niezbyt interesującą fontanną pośrodku. Był jednak wybrukowany kamieniami rzeczными, układającymi się w cudownie naturalny, nieregularny wzór, który dodawał temu miejscu uroku. Dwa rzędy osiemnastowiecznych trzypiętrowych kamienic odrestaurowano i pomalowano na intensywnie żółty kolor. Trzecia fasada, na tyłach placu, wciąż czekała na swoją kolej i nie prezentowała się zbyt elegancko. Przybrudzona, brązowa farba łuszczyła się i odpadała płatami ze ścian, a cały budynek wydawał się dziwnie pochylony, jakby zaraz miał się zawalić prosto na fontannę.

Marine ruszyła ulicą w kierunku Pałacu Sprawiedliwości. Było jej słabo, a równocześnie czuła się szczęśliwa i oszołomiona. W swoim trzydziestosiedmioletnim życiu tylko dwa razy miała takie uczucie - kiedy już wiedziała, że poślubi Antoine'a (choć w dniu ślubu, w ich ukochanym nadmorskim



miasteczku we Włoszech, które ona i Antoine nazwali Paradiso, była niezwykle spokojna), oraz w dniu, w którym zdała egzamin adwokacki.

Kiedy dotarła do drzwi wejściowych i do niewielkiego, przeszklonego pomieszczenia ochrony, pokazała swój dowód osobisty i poprosiła, aby strażnicy przekazali jej mężowi, że chciałaby się z nim spotkać. Funkcjonariusz uśmiechnął się, rozpoznając Marine, rzucił obowiązkowe spojrzenie na jej dokument tożsamości i położył go na tacy razem z dokumentami innych gości. Podniósł słuchawkę i zamienił kilka słów z Verlakiem, ale Marine nie słyszała przez szybę ich rozmowy. Niecierpliwie kołysała się na palcach. Strażnik otworzył małe okienko i powiedział:

- Proszę wejść na górę, *madame*. Sędzia czeka na panią w swoim gabinecie. Wie pani, gdzie to jest?

- Tak, dziękuję - odparła Marine. Odwróciła się i przeszła przez duży wewnętrzny dziedziniec w kierunku szarych podwójnych drzwi. Trzy piętra w górę - pamiętała - potem w lewo i dalej korytarzem, aż dotrze do gabinetu Mme Girard, połączonego z niewielką poczekalnią. Przywitała się z Mme Girard i zobaczyła męża, stojącego w drzwiach swojego gabinetu.

- Jaka miła niespodzianka! - zawołał. - Wejdz. Bruno też tu jest.

- Och - powiedziała, próbując ukryć zawód. Weszła do gabinetu Verlaque'a i wymieniła z Paulikiem powitalne *bises*.

- Byłam w okolicy... u lekarza na rue Espariat - wyjaśniła - i pomyślałam, że wpadnę.

- Tak? - zapytał Verlaque.

- Pójdę już - powiedział szybko Paulik.

- Nie, przecież dopiero co przyszedłeś - zaprotestował Verlaque i przysunął spod ściany krzesło dla Marine. - Marine

będzie chciała to wszystko usłyszeć. *Chérie*, znaleźliśmy strzelbę na stoisku z Perugii.

- Doskonale! Czy Włosi się przyznali? - zapytała.

- Jeszcze nie, ale Vittoria Romano wciąż jest na dole i wkrótce się przyzna. Czekamy na informację, czy z tej broni niedawno strzelano i czy pasuje do pocisków użytych w zamachu na *père* Fernanda.

Marine wiedziała, że to nie jest dobry moment na wyznanie, że w przebraniu poszła do Alaina Sorby i go nagrała. Nagranie czekało w bezpiecznym miejscu, w jej gabinecie na poddaszu. Mogła pokazać je Antoine'owi później.

- *Père* Fernand z tego wyjdzie - oznajmiła Marine. - Matka zadzwoniła do mnie dziś rano, po dziwnej wizycie France Dubois.

- Mlle Dubois świetnie się spisała, zauważając te fotografie z polowań - powiedział Paulik.

- Jest bardzo bystra - przytaknęła Marine. - Zna angielski i trochę włoski, a może jeszcze jakieś inne języki. I jest bardzo dyskretna.

- Według wielebnego Dave'a ona praktycznie kieruje APCA - dodał Verlaque.

Marine przekrzywiła głowę. Verlaque spojrział na żonę i powiedział:

- Masz jakiś pomysł, prawda?

- Nie mógłbyś jej zatrudnić? - zapytała. - Na miejsce Mme Girard?

Verlaque uśmiechnął się.

- To niezła myśl.

Paulik parsknął śmiechem.

- Nie ma szans.

- Dlaczego? - spytała Marine.

- Mme Girard zaczęła wieki temu - odparł Paulik. - Teraz każda kandydatka na tę posadę będzie musiała do ciebie trafić z naszego działu personalnego.

- Podsunę im jej CV. Położę je na samej górze - powiedział z uśmiechem Verlaque.

Paulik znów się zaśmiał.

- Powodzenia! To nie takie proste. Podanie Mlle Dubois musiałaby zaakceptować ta hetera, która kieruje działem personalnym.

Verlaque przekręcił głowę w stronę Paulika. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Tylko nie ona! Gabinet na pierwszym piętrze, na końcu korytarza?

- Właśnie ta.

- Śmiertelnie mnie przeraziła, kiedy dostałem tutaj pracę - przypomniał sobie Verlaque. - Ręka mi drżała, gdy wypełniałem dokumenty.

Marine i Paulik wybuchnęli śmiechem.

- Antoine, poproś Mme Girard, żeby wydrukowała i przyniosła ci procedurę zatrudniania nowych pracowników - poradziła Marine.

Verlaque chwycił za telefon i już dwie minuty później w gabinecie pojawiła się Mme Girard. Miała na sobie - Marine koniecznie musiała powiedzieć o tym Sylvie - czerwoną dzianinową sukienkę Sonii Rykiel.

- Proszę - powiedziała Mme Girard, podając Verlaque'owi zadrukowane kartki. - I bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego.

- Nie, nie, nie - zaprotestowali równocześnie Verlaque, Marine i Bruno Paulik.

Verlaque dodał:

- Mme Girard, bardzo trudno będzie panią zastąpić, ale zasłużyła pani na odpoczynek.

- Dziękuję - odpowiedziała Mme Girard, po czym zwróciła się do Marine: - Mme Bonnet, wygląda pani olśniewająco.

Marine uniosła dłonie do szyi.

- Dziękuję.

- Wygląda pięknie, prawda? - zgodził się Verlaque. Ale coś nie dawało mu spokoju. Przypomniał sobie: dlaczego była u lekarza?

Mme Girard wyszła, a Marine zabrała się do lektury przyniesionych przez nią dokumentów, podczas gdy Verlaque i Paulik rozmawiali o Włochach i o komplikacjach związanych z uczestnictwem cudzoziemców - nawet jeśli są obywatelami Unii Europejskiej - w procesie sądowym we Francji.

- Co robisz, Marine? - zapytał po chwili Verlaque.

- Szukam kruczków prawnych - odparła.

- Ja mogę to zrobić...

- Nie trzeba, już znalazłam - powiedziała.

- Naprawdę?

- Punkt 3.6, „O zatrudnianiu osób z zewnątrz posiadających kwalifikacje, których brakuje w puli dostępnych pracowników magistratu” - przeczytała, przybliżając kartkę do twarzy, żeby móc odczytać drobny druk. - Bardzo interesujące. I jeszcze następny punkt, 3.7: „Znajomość języków obcych jest przykładem kwalifikacji, które mogą uzasadniać rozważenie i zatrudnienie kandydata z zewnątrz”.

- Angielski! - wykrzyknął Verlaque.

- Yes! - powiedział Paulik, śmiejąc się i unosząc pięść w geście zwycięstwa. - Potrzebujemy kogoś ze znajomością angielskiego - ciągnął po francusku. - Kiedy kontaktujemy się z Interpolem w Brukseli, często jest to wspólny język, używany

przez wszystkich, mimo że funkcjonują tam cztery języki urzędowe

Marine czytała dalej.

- Posłuchajcie tego. „Rozmowa kwalifikacyjna może zostać przeprowadzona w języku, który jest podstawą zatrudnienia kandydata”.

- Mogę przeprowadzić rozmowę z Mlle Dubois po angielsku!  
- powiedział Verlaque.

- Hetera nie zrozumie ani słowa - dodał Paulik. - Możecie porozmawiać o tym, co jedliście na śniadanie.

- Hm, może trochę się pośpieszyłem. Może Mlle Dubois jest zadowolona ze swojej obecnej posady - zastanawiał się Verlaque.

- Nie - rzekła Marine. - Powiedziała mi, że szuka nowej pracy. Wspominała też o remoncie mieszkania. Mam do niej zadzwonić?

- A mogłabyś to zrobić? Teraz?

Marine uśmiechnęła się, wiedząc, że kiedy jej mężowi coś przyjdzie do głowy, nie potrafi odpuścić.

- Jasne - odparła i wyszła z gabinetu. Zauważyła, że Mme Girard nie ma przy biurku, więc szybko wybrała numer France. Niespełna dwie minuty później była z powrotem w gabinecie Verlaque'a.

- I co? - zapytał.

- Podałam jej twój adres mailowy. Wysłała ci swoje CV.

- Doskonale. Bardzo ci dziękuję.

- Powinienem już iść - odezwał się Paulik.

- Nie, to ja pójdę - powiedziała Marine, spoglądając na zegarek. - Antoine, kolacja punktualnie o siódmej. W porządku?

- Doskonale - powtórzył, po czym wstał, żeby pocałować ją na pożegnanie. - Wiesz co? Zaprośmy France Dubois do nas w Boże Narodzenie.

Marine przystanąła w drzwiach i odwróciła się z uśmiechem na twarzy. Spojrzała na Brunona Paulika, który stał z rękami na biodrach i z nieco kpiącą miną.

- Z naszymi dwiema rodzinami? - zapytała Marine. - Z twoim sztywnym ojcem i moją apodyktyczną matką?

- Ona jest zupełnie sama.

- Zadzwoń do niej po powrocie do domu - powiedziała Marine i pocałowała męża. - To świetny pomysł, Antoine.

- Duch Święt! - rzekł Paulik ze sztuczną wesołością.

- Nie zaczynaj - ostrzegł Verlaque, celując w niego wiecznym piórem.

Zadzwoił telefon Verlaque'a, a on szybko rzucił Marine: „Do zobaczenia później” i odebrał, gestem pokazując Paulikowi, żeby usiadł. Marine pomachała na pożegnanie, sfrustrowana, że będzie musiała poczekać jeszcze kilka godzin. Tak będzie lepiej - pomyślała. W drodze do domu kupi kwiaty i szampana. Wyszła, zamykając za sobą drzwi gabinetu.

- To z Bari - powiedział szeptem Verlaque, zasłaniając dłonią słuchawkę. Przez chwilę mówił do telefonu, posługując się mieszkanką angielskiego i włoskiego, a potem się rozłączył.

- Z moją łamaną włoszczyzną nie było łatwo wytłumaczyć, jak znaleźliśmy strzelbę. Musiałem wymyślić włoskie odpowiedniki blatu i kolumny. Użyłem francuskich słów i dodałem na końcu „o”. Zerknął na Paulika, który z kolei wyglądał przez okno z uśmiechem na twarzy, a potem cicho się zaśmiał.

- Co cię tak bawi? - zapytał Verlaque.

- Te kolumny! Oto ja - wyszkolony w obserwowaniu ludzi, szukaniu wskazówek, uważności. Na przykład dzisiaj - pamiętałem, że na tych kolumnach powinny być cztery blaty. Od razu to zauważyliśmy, prawda? Ale w życiu rodzinnym zdarza mi się przeoczyć wyraźne sygnały.

- O czym ty mówisz?

- Na przykład byłem zupełnie ślepy, kiedy Hélène zaszła w ciążę - powiedział Paulik, przenosząc wzrok na kolegę. Verlaque uniósł brwi.

- Jakie sygnały? - zapytał. Ta opowieść przynajmniej dotyczyła Hélène - kogoś, kogo Verlaque dobrze znał - a nie jednego z licznych kuzynów Paulika z gór Luberon.

- Hélène nagle zrobiła się strasznie zmęczona. A przecież zawsze zrywa się z łóżka o świcie.

Verlaque turlał swoje pióro po biurku.

- Co jeszcze? - zapytał, czując nagłą suchość w gardle.

- Najbardziej oczywistym sygnałem było wino. Przestała je pić. Proponowałem jej lampkę, a ona nakrywała dłonią kieliszek i odmawiała. Hélène jest producentką wina, a ja zamiast dodać dwa do dwóch... - I nieomal dodał: „Jakim byłem idiotą!”, ale nie chciał przesadzić.

Verlaque poczuł, że jego czoło i górna warga zaczynają się pocić.

- Dlaczego ci nie powiedziała? Nie chciałeś mieć dzieci?

- Och, nie, oboje chcieliśmy. Kiedy spisaliśmy tę listę „za” i „przeciw”, o której ci wcześniej wspomniałem, kolumna „za” była o wiele dłuższa. Ale Hélène z początku nie była pewna. Chciała mieć pewność, zanim mi powie. Kilka dni później dostała potwierdzenie od lekarza... którego gabinet mieści się na rue Espariat... - powiedział i zakasłał dla większego efektu. - Człowieku! Ależ świętowaliśmy!

- Rue Espariat. - Verlaque zerwał się z miejsca, niemal przewracając krzesło. Paulik oparł się wygodnie i obserwował, jak Verlaque chwyta swój płaszcz i zapina guziki, opuszczając co najmniej trzy. Próbował powstrzymać uśmiech.

- Dokąd idziesz? - zapytał. - Nie chcesz poczekać na raport balistyczny? Zadzwoń lada moment.

- Możesz odebrać ten telefon, Bruno - odrzekł Verlaque, pośpiesznie okręcając szalik wokół szyi. - Muszę lecieć... Poza tym obaj wiemy, jakie będą wyniki.

- Tak, to prawda - przytaknął Paulik, podnosząc się z krzesła. Przeszedł przez pokój i wymienił z Verlakiem uścisk dłoni, jak zawsze po zamknięciu sprawy.

- To będzie dobra wiadomość, Antoine.



[www.smakslowa.pl](http://www.smakslowa.pl)

